

Lidia **LISZEWSKA**
Robert **KORNACKI**



Podaruj mi szczęście

Kojąca opowieść o uważnym budowaniu nowego życia. Bez wymazywania starego i wbrew nieszczęściom. Docierasz do kulminacyjnego momentu tej powieści i czujesz się częścią świata jej bohaterów.

JANUSZ LEON WIŚNIEWSKI



Podaruj mi
szczęście

Lidia **LISZEWSKA**
Robert **KORNACKI**

Podaruj mi szczęście



Copyright © Lidia Liszewska, 2019
Copyright © Robert Kornacki, 2019
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2019

Redaktor prowadząca: Adriana Biernacka
Redakcja: Karolina Borowiec
Korekta: Joanna Pawłowska
Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka | panbook.pl
Projekt okładki: Anna Damasiewicz
Fotografie na okładce: © Marjeta Sustarsic | Depositphotos.com, © Chantal de Bruijne, © Nella | Shutterstock
Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-66431-50-8

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-99-10
redakcja@czwartastrona.pl
www.czwartastrona.pl

PROLOG

Luigi Graziano nie lubił poniedziałków. Nie był w tym odosobniony, większa część redakcji zazwyczaj do południa kryła się za monitorami, markując pracę i regenerując się po weekendowych szaleństwach. Jedynie ekspres do kawy chodził na pełnych obrotach, dwojąc się i trojąc, by nadażyć z tłoczeniem życiodajnego płynu w coraz to nowe kubki, podstawiane przez dziennikarzy.

Luigi stanął przy maszynie już drugi raz tego poranka i zamienił kilka słów z Paolem Brescą, specem od sportu. Nie mieli sobie zbyt wiele do powiedzenia, więc po zdawkowym powitaniu sączyli espresso, pocierając oczy i ziewając ukradkiem. Paolo, podobnie jak i Luigi, należał do młodszej części zespołu „Gazzetta di Montova”. Za szklanym przepierzeniem, w miejscu zwanym szumnie gabinetem, ze słuchawką telefonu przy uchu nad biurkiem pochylał się ich szef, Giancarlo Marchi. W odróżnieniu od tej dwójki młokosów redaktor naczelny był mężczyzną w sile wieku, z sumiastym siwym wąsem. Teraz podniósł wzrok i odkładając słuchawkę, przywołał do siebie Luigiego.

– *Puttana!* – wyszeptał mało elegancko dziennikarz i odstawił kubek, po czym ruszył w kierunku „gabinetu”. Najbardziej chciałby wrócić już do domu, a tymczasem szykowała się robota. I to wyjątkowo nudna, bo dobrego tematu naczelny nie zleciłby przecież jemu.

– Luigi, wyglądasz jak siedem nieszczęść! – usłyszał na powitanie, kiedy wsunął głowę przez uchylone drzwi. – Wchodź, co się tak czaisz?

– Też się cieszę, że widzę szefa w dobrym humorze... – zażartował, uzupełniając dowcip krzywym grymasem. Starszy mężczyzna przyjrzał mu się uważnie, przez moment wahając się, czy odwzajemnić uśmiech, a następnie

wskazał telefon.

– Dzwonił Valdano, nie dotrze dziś do pracy.

– I? – Luigi nie wiedział, po co szef przekazuje mu tę informację.

– Zrobisz coś za niego. W prefekturze szykują małą konferencję podsumowującą miniony rok. I to jest zadanie w sam raz dla ciebie.

– Policja? Od poniedziałku? Nie ma to jak dobrze zacząć! – Luigi w lot zorientował się, że konferencja wcale nie będzie, jak to ujął szef, „mała”, a perspektywa ślęczenia nad nudnymi wykresami i policyjnymi statystykami jawiła mu się jako dopust boży.

Za jakie grzechy? – pomyślał, ale posłusznie skinął głową.

– Zaczynają... – Marchi zerknął na swoją drogą certinę, prezent od wydawcy na któryś tam jubileusz z kolei – ...za godzinę. Zrób z tego perełkę! – dodał jeszcze i wrócił do swoich zajęć, bezwiednie podkręcając przy tym siwego wąsa.

Luigi obrócił w ustach kolejną soczystą puttane, założył zimową kurtkę i wyszedł z redakcji. Luty w Mantui nie rozpieszczał temperaturą, a dziennikarz był dodatkowo niewyspany i bez śniadania. Drogę do prefektury postanowił więc pokonać z przystankiem w którejś z gościnnych trattorii usytuowanych przy Piazza delle Erbe. Wychował się w tym mieście, ale wciąż pozostawał pod wielkim urokiem Rotonda di San Lorenzo i każdego z innych zabytków, jakich wiele było tu na wyciągnięcie ręki – chociażby uznawanej za jedną z najważniejszych budowli włoskiego renesansu bazyliki Sant’Andrea. Przeszedł obok wiekowej budowli, omijając z trudem turystów, których w Mantui nie brakowało niezależnie od pory roku. Przez witrynę dostrzegł kilka wolnych miejsc w Trattorii da Titto, więc nie namyślając się, wszedł i zamówił pożywny posiłek. Jeśli ma się męczyć na konferencji, musi być do tego odpowiednio przygotowany, ocenił, pochłaniając śniadanie.

W siedzibie policji było... właściwie nie wiedział, jak to nazwać. Było po policyjnemu. Para starszych turystów mówiących po niemiecku usiłowała złożyć zawiadomienie o kradzieży; pewnie oskubał ich jeden z miejscowych kieszonkowców. Ściany oblepiały plakaty informujące o nieaktualnych już akcjach prewencyjnych. W powietrzu unosił się zapach taniej kawy i jeszcze

tańszych męskich dezodorantów.

Luigi szybko przeszedł do sali konferencyjnej, w której miało odbyć się spotkanie. W środku dostrzegł kolegów z innych redakcji; przy stole prezydialnym siedzieli jeden z miejskich radnych oraz komendant ze swoim zastępcą. Graziano zajął miejsce gdzieś z boku i niemal natychmiast zapadł w letarg. Byle przetrwać tę godzinę, pomyślał i przeszedł w tryb czuwania.

Wszystko wskazywało na to, że czekali jedynie na niego, bo w momencie, w którym Luigi zapadł się w fotelu, konferencja się rozpoczęła. Usytuowany pod sufitem projektor błysnął i po chwili wyświetlił pierwszy slajd.

– Skoro wszyscy dotarli, to możemy zaczynać – powitał dziennikarzy Paul Perantoni, komendant policji w Mantui, rzucając kontrolne spojrzenie w kierunku dziennikarza, który dotarł przed sekundą. – W ubiegłym roku odnotowaliśmy łącznie jedynie dwieście dwadzieścia cztery wypadki drogowe. Warte uwagi jest to, że jest to o siedemnaście koma siedemdziesiąt osiem procenta mniej w stosunku do poprzedniego roku, w trakcie którego zostało wykrytych dwieście sześćdziesiąt sześć incydentów.

Nie lubię poniedziałków. – Luigi powtarzał to w myślach, bo nie miał już złudzeń, że po powrocie do redakcji resztę dnia spędzi na przekładaniu drętowego żargonu policyjnego na coś bardziej przystępnego dla zwyczajnego odbiorcy.

– Podczas dwustu dwudziestu czterech wypadków drogowych zarejestrowanych w ubiegłym roku sto siedemdziesiąt cztery osoby zostały ranne – monotonnym głosem odczytywał kolejny slajd komendant Perantoni. – To dwieście jeden mniej niż przed rokiem! W czterdziestu ośmiu przypadkach wystąpiły uszkodzenia pojazdu lub mienia. Mieliśmy też dwa wypadki śmiertelne.

Przy tym ostatnim zdaniu Luigi drgnął, bo dopiero teraz przypomniał sobie, że jedno z tych zdarzeń relacjonował dla swojego obecnego pracodawcy. To było jego pierwsze zadanie w redakcji „Gazzetta di Montova” i pierwszy trup, z jakim zetknął się w swoim życiu. Ale wypadek ten pamiętał także z innego powodu – zginęła wtedy kobieta. Polka, którą widywał czasem, jak spacerowym krokiem przechadzała się po Piazza Sordello, ściskając pod pachą duży brulion. Podobała mu się, choć była od niego wyraźnie starsza. Krótkie śledztwo pozwoliło mu się zorientować, że mieszka na przedmieściach Mantui i przebywa

tu legalnie, w ramach artystycznego kontraktu. To wyjaśniało zarówno brulion, jak i ołówki, którymi szkicowała jakieś kształty. Ciekawiło go jakie, ale nie mógł ich dostrzec. Nie chciał być niegrzeczny – i tak przyglądał się jej zbyt natarczywie. Ona jednak zdawała się go nie dostrzegać, pogrążona w swoim świecie.

– Dane z badań miejscowej policji świadczą, że większość wypadków drogowych występujących na terytorium Wergiliusza to kolizje i nieustąpienie pierwszeństwa – przerwał jego rozważania radny Rebecchi Iacopo. Na ekranie mignął kolejny slajd. – Dochodzi do nich przede wszystkim przez nieuwagę i roztargnienie kierowców pojazdów uczestniczących w wypadku. Choć to żadna reguła. – Iacopo powiódł wzrokiem po zebranych, ale nie rozwinął myśli. Nie musiał, chyba wszyscy obecni w sali mieli przed oczami najbardziej tragiczne zdarzenie sprzed kilku miesięcy.

Luigi doskonale pamiętał, co było przyczyną wypadku, w którym zginęła Polka. Kierowca ciężarówki uderzył w jej auto z ogromnym impetem. Później skosił dwójkę przechodniów; młodzi ludzie, zapatrzeni w siebie, nawet nie zdążyli uświadomić sobie pojawiającego się zagrożenia. Kiedy strażacy wyciągnęli kobietę z wraku pojazdu, żyła jeszcze przez kilka minut. On znalazł się tam wtedy przez zupełny przypadek, spieszył się na briefing poświęcony nowej miejskiej inicjatywie, Baby Bag. Ktoś wymyślił, że noworodki otrzymywać będą wyprawkę, śmieszna torbę z pakietem prezentów i gadżetów promujących Mantuę. W sumie miły gest, ocenił w myślach Luigi – i wtedy to się stało. Usłyszał huk i zawrócił; na miejscu błyskawicznie pojawiła się karetka pogotowia i policjanci. On sam w drżących rękach trzymał aparat fotograficzny, próbując zebrać myśli i zmusić się do działania. Kiedy w końcu odważył się i podszedł bliżej, usłyszał, jak jeden z ratowników mówi coś w obcym języku. W medyku Luigi rozpoznał swojego kuzyna; Biagio pochylał się nad raną i uważnie słuchał. Trwało to chwilę, jakieś sekundy, po czym ratownik podniósł głowę. Graziano zobaczył wtedy jego twarz ściętą grymasem bezsilności. To był koniec, ta kobieta zmarła. Luigi rozpoznał ją dopiero w redakcji, powiększając zdjęcie. Kuzyn powiedział mu później, że miała na imię Matylda. I że w Polsce czekali na nią mąż i dwie małe córeczki.

Zdecydowanie nie lubię poniedziałków, pomyślał, wstając z miejsca. Miał

dosyć na dziś. Wszedł z prefektury, nie oglądając się za siebie. Wolnym krokiem, nie zważając na podmuchy wiatru, ruszył w kierunku Casa di Giulio Romano. To tam widział ją po raz ostatni. Żywą. Nie wiedział jeszcze, że kiedyś pozna i opíše jej historię, ale zanim zdoła tego dokonać, upłynie naprawdę dużo wody w rzece Mincio. Nie wiedział też, że to zdarzenie będzie miało wpływ i na jego życie.

Żuraw [*Grus grus*] to ptak północy – gdzie jego zagęszczenie jest największe na świecie. To tutaj właśnie istnieją miejsca zwane złotowiskami, gdzie tysiące żurawi gromadzi się, odpoczywając podczas jesiennej wędrówki na zimowiska. Na nietlickich bagnach w okolicach Giżycka i Miłek, na terenie dawnego jeziora, osuszonego jeszcze przez Niemców, w szczycie jesiennych zgromadzeń ptaków nocuje nawet dziesięć tysięcy żurawi.

Na podstawie opowieści ornitologa z Mazur, Szymona Czernka

„Podczas wodzenia piskląt rodzice odbywają wymianę wszystkich lotek, które wypadają im niemal jednocześnie. Wskutek tego tracą lotność i odzyskują ją dopiero po kilku tygodniach, gdy ich pisklęta uzyskują zdolność latania. Taki przebieg pierzenia u żurawi jest związany z potrzebą opieki nad pisklętami. Gdyby dorosłe latały w czasie wodzenia bardzo małych piskląt, to spłoszone, mogłyby nadmiernie się od nich oddalić, a skoro nie mogą tego zrobić, to same muszą zapewnić sobie bezpieczeństwo, przebywając w spokojnej okolicy, gdzie pisklęta mogą dorastać do czasu uzyskania lotności. Równie ryzykowne byłoby, gdyby pisklęta mogły latać, a ich rodzice nie. Wówczas także rodzina mogłaby łatwo ulec rozpadowi. Trzyma się razem dzięki temu, że i młode, i dorosłe zaczynają latać mniej więcej w tym samym czasie. Pod koniec lata poszczególne rodziny gromadzą się w większe stada, które gromadzą się z innymi, by jesienią wspólnie wędrować ku zimowiskom, pojawiać się w ogromnej liczbie na złotowiskach, głośno nawoływać, tańczyć i łączyć się w pary. Dobrane jesienią pary trzymają się razem do wiosny, a później wspólnie wędrują do rewiru znanego jednemu z partnerów, by tam tokować, tańczyć, budować gniazdo i wychowywać następne pokolenia coraz mniej płochliwych ptaków [...]”.

Andrzej G. Kruszewicz, *Ptaki Polski*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Różanka i Halszka

Ostatni list od matki wykuły na pamięć. Kosma zadbał o to, by córki znały jak najwięcej szczegółów z jej życia. Pomagały mu w tym malowidła Matyldy oraz lekko pożółkłe karty papeterii. Ten ostatni list, w którym zapowiadała swój powrót, zgodnie traktowali jak relikwię. Mimo to Halszka i Różanka potrzebowały aż kilkunastu lat, by pokonać dręczącą je traumę i fizycznie dotrzeć do miejsca, w którym zginęła Matylda. Ojciec jeździł tam co roku. Wiedziały, że propozycja, by w kolejną rocznicę jej wypadku odbyli tę podróż we trójkę, zaskoczyła go, ale sprawiła jednocześnie ulgę. Wielokrotnie opowiadał, że krótkie, samotne wypady pozwoliły mu zrozumieć, dlaczego Matylda tak mocno pokochała Mantuę. Z czasem on sam spoglądał na te wąskie uliczki z coraz mniejszą niechęcią. Nadeszła właściwa chwila, by tę wiedzę przekazał dziewczynkom. Kiedy więc zapytały, czy zabierze je ze sobą, odpowiedział po prostu: „Tak”. Chciał dodać, że czekał na to od dawna, ale nie był w stanie wykrztusić ani słowa więcej. Nie wyglądało jednak, by potrzebowały dodatkowej zachęty; zajęły się przygotowaniem do wyjazdu, uznając najwyraźniej temat za wyczerpany.

Takie właśnie były, poukładane i niemal samowystarczalne. Z wiekiem stawały się coraz wierniejszymi kopiami swojej matki, budząc tym bolesne zdumienie zarówno Kosmy, jak i dziadków z Warszawy. Starszy pan Radecki, dopóki żył, starał się spędzać z nimi jak najwięcej czasu. W każdym ich gościu odnajdował swoją córkę, z której stratą nigdy się nie pogodził. Swoją miłością

obdarzał dorastające dziewczynki sprawiedliwie, dzieląc między nie nie tylko uściski i ciepłe słowa, ale i drobne prezenty. Nie szczędził im wskazówek i rad; on pierwszy dostrzegł też budzące się talenty. Młode Makarskie nie w pełni poszły w ślady Matyldy, nie odziedziczyły aż tak rozwiniętej umiejętności kreowania piękna przy pomocy kolorów, ale od pierwszego kontaktu dało się dostrzec ich wrażliwość i umiejętność obserwacji otoczenia. Widziały więcej, poświęcały uwagę temu, co inni pomijali lub uznawali za mało interesujące. Były spostrzegawcze i wyczułone na piękno rzeczy zwyczajnych. A kiedy obdarzały je swoim zainteresowaniem, nawet proste przedmioty i miejsca błyskawicznie nabierały barw, stając się wyjątkowymi. Zupełnie jakby uroda i zmysłowość tych dwóch dziewczyn udzielały się otoczeniu. Bo trzeba przyznać to wprost – były piękne. Obie też tak samo mocno przeżyły śmierć dziadka Radeckiego, bo utraciły nie tylko kolejnego ważnego członka najbliższej rodziny, ale i mentora oraz prawdziwego przyjaciela.

Kilkanaście miesięcy po mężu odeszła babcia Radecka. Halszka i Różanka spodziewały się tego, widząc, jak osamotniona kobieta więdnie i traci apetyt na życie. Po rozmowie z ojcem poprosiły, by przeprowadziła się do nich, ale próbę namówienia jej podjęły bez specjalnej wiary, że cokolwiek wskórają. Kobieta nawet nie siliła się na wymyślanie powodów odmowy, sięgając po banał o nieprzesadzaniu starych drzew. Chciała do samego końca być blisko ukochanego męża, odwiedzać go na Powązkach i jak wcześniej o coś pytać czy dzielić się wrażeniami. Znosiła ból po stracie córki i męża z godnością, nie chciała obarczać swoją traumą nikogo więcej. „Pozwólcie mi tu zostać” – powiedziała po pogrzebie ukochanego, a oni zrozumieli, że tak musi być. Odjechali ze złamanymi sercami, pełni obaw, ale pogodzeni z jej decyzją. Rok później pochowali ją w kwaterze obok. Dziewczynkom nie ostał się niemal nikt, kto bezpośrednio łączyłby je z Matyldą. W Warszawie mieszkali już tylko ich przyrodni bracia. Ojciec uznał, że to i tak sporo. On od dawna nie miał już nikogo.

Tak czy inaczej, to dziadek Radecki był najczęściej obecny we wspomnieniach bliźniaczek. Wcześniej to on pielęgnował ich pasje, a tych dorastającym dziewczynkom nie brakowało. Różanka przerabiała chyba wszystkie rodzaje dziecięcej, a później młodzieńczej aktywności, począwszy od

hodowli zółwi błotnych, białych myszek i patyczaków, skończywszy na pierwszych próbach odkryć archeologicznych w przydomowym ogródku. Równie dużą uwagę poświęcała strzelaniu z łuku, co lekcjom jazdy konnej, choć po prawdzie te ostatnie przestały ją zajmować zaraz po tym, jak ojciec kupił córce kompletny strój jeździecki. Halszka, w przeciwieństwie do siostry, była zadziwiająco stała w swojej fascynacji otaczającą przyrodą, a dokładnie jej skrzydlatą częścią. Odkąd nauczyła się poprawnie wymawiać słowo „ornitolog”, na pytanie, kim chce zostać w przyszłości, odmieniała ten termin we wszystkich możliwych przypadkach, zawsze z tą samą iskrą w rozpalonym spojrzeniu. Pierwszy „dorosły” atlas ptaków, który dziadek podarował jej na dziesiąte urodziny, zaledwie w parę tygodni przestał mieć przed dziewczynką tajemnice. Dziecięca pasja jednak zaczęła szybko przekształcać się w prawdziwy kłopot. Szkolne podręczniki i treści w nich zawarte na długi czas stały się dla dziewczynki mało zajmujące i gdyby nie groźba trzymania pod kluczem tak upragnionych albumów, jak i bardzo dokładnej izraelskiej lornetki, dziewczynka szybko dorobiłaby się zestawu szkolnych uwag i kompanii jedynek.

Jako nastolatka cykl rozwoju mazurskich ptaków znała na pamięć; potrafiła bezbłędnie odróżnić jaja zięby od jaj gila, pliszkę żółtą od cytrynowej i nigdy nie myliła kłaskania słowika szarego z godowym trelem rudzika. Na wszystkich drzewach rosnących wokół domu rozwieszane były budki lęgowe, przy których budowie asystowała ojcu albo dużo starszym braciom, gotowym nieba przychylić przyszłemu zoologowi. Wybierała nieprzemakalne obuwie i odzież z Gore-Texu zamiast sukienek oraz tych wszystkich drobiazgów, które szczelnie wypełniały świat młodej kobiety. Wydawać by się mogło, że z artystyczną duszą matki łączy ją niewiele, ale kiedy przyjrzało się bliżej, na czym dziewczyna skupia największą uwagę w obserwacjach ptasiej menażerii, dawało się zauważyć, że kompozycje barw tej części przyrody budzą w niej tak samo silny zachwyt jak zwyczajnie i prawa, którymi rządzi się natura. Jeśli nie obserwowała ptaków, potrafiła całe godziny spędzić na odwzorowywaniu najdrobniejszych szczegółów upierzenia konkretnych gatunków, a później ozdabiać kolorowymi grafikami ściany pokoju, który wciąż dzieliła z siostrą.

Ta wspólna przestrzeń była jednym z niewielu punktów stycznych, gdzie spotykały się ich tak nadszpiewanie różne, zważywszy na swoje bliźniacze

pochodzenie, światy. Halszka aspirowała do bycia polską Elizabeth Gould i wyglądało na to, że tak jak dziewiętnastowieczna rysownicza, którą dziewczyna obrała sobie za wzór, ma wszystko, by ten cel osiągnąć. I chociaż jej siostra bliźniaczka preferowała poznawanie świata w nieco odmienny sposób, słowo „podróż” dotyczyło ich obu, z tą tylko różnicą, że Halszka planowała najpierw zakotwiczyć na wydziale biologii gdańskiego uniwersytetu, Różanka zaś szkolnej ławy miała zdecydowanie dość. Przynajmniej na najbliższe dwa lata. No, może rok – jej decyzja o planowanej przerwie w edukacji topniała w zależności od temperatury rozmów z ojcem i oznak zaniepokojenia w jego oczach. Wiedziała, że Kosma chce dla niej jak najlepiej, ale zawsze gotowa była podnieść argument, że przecież radzi sobie znakomicie. I poniekąd wchodzi w jego buty. Może „Róża(nka) wiatrów”, jej podróżniczy blog i autorski kanał na YouTube, nie mógł się pochwalić taką oglądalnością jak dawne programy telewizyjne jej ojca, ale zasięg stale rósł i od kilku tygodni mogła nawet mówić o sukcesie, bo liczba subskrybentów przekroczyła trzydzieści tysięcy. Z pewnością była to zasługa tego, że potrafiła relacje z nawet niezbyt dalekich eskapad przedstawić w wyjątkowo interesujący sposób.

– Kamera cię lubi! – usłyszała któregoś razu od wiekowego już Edmunda Kiszczaka, dawnego szefa jej ojca, ale przede wszystkim wielkiego przyjaciela ich rodziny. – No, no, moja panno! Oby tak dalej!

Namaszczona w ten sposób przez byłego dyrektora programowego jednej z największych prywatnych stacji telewizyjnych w kraju, ze wzmożoną energią rozwijała swoją pasję, a dziadek Radecki w tajemnicy przed Kosmą finansował zakup niezbędnego ekwipunku.

Czas od momentu, w którym ich ojciec budził się z kopytkiem My Little Pony wepchniętym w usta, do chwili, kiedy do drzwi „Kosmo-domu”, jak nazywali teraz stodołę, stukali niepewnie pierwsi adoratorzy bliźniaczek, minął szybko, lecz nie bezboleśnie. Dzisiaj z zażenowaniem wspominały okres buntu, w jaki wpadły, zdawszy sobie sprawę, że ich pani od tańca stała się pełnoprawnym domownikiem. Iza bowiem posłuchała głosu serca, który akurat w tym wypadku brzmiał identycznie jak głos rozsądku, i została przy Kosmie. Choroba nie obchodziła się z nią tak łaskawie, jak kilka lat wcześniej w przypadku gospodarza „Kosmo-domu”, ale kobieta nawet na chwilę nie porzuciła prób, by

zastąpić dziewczynkom matkę. Matkę, nie Matyldę – powtarzała im przy każdej okazji, na co one obruszone zazwyczaj odpowiadały, że matka jest tylko jedna. Te słowa głęboko ją raniły, choć przecież wiedziała, że to dziecięce gadanie, do którego nie powinna przywiązywać wagi. Ale i tak brała je do siebie, ukrywając przed Kosmą prawdziwy powód pogorszenia nastroju. Choroba, która po kilku latach niemal skazała ją na wózek inwalidzki, była wystarczającym wytłumaczeniem. Kiedy jednak po raz pierwszy powiedziały do niej: „mamo”, poczuła, że otwiera się nowy rozdział. Ciekawszy i pełen przyjemniejszych zaskoczeń. Bliźniaczki również rozumiały, że trzeba kiedyś do kogoś zwrócić się w ten właśnie sposób, nie można latami tylko tęsknić i czekać na cud.

Zadziwiające, że Halszka i Różanka doszły do takiego wniosku niemal jednocześnie. Ich emocjonalna inteligencja rozwijała się w tym samym tempie, podpowiadając identyczne rozwiązania. Były przecież bliźniaczkami, związanymi ze sobą wyjątkową więzią.

– Mamo, ja go chyba kocham. – Różanka objęła Izę za szyję, stojąc za wózkiem. Oczy kobiety momentalnie się zaszkliły, a ręka sięgnęła do tyłu w poszukiwaniu dłoni dziewczyny.

– Co powiedziałaś? – zapytała, odwracając się i patrząc na nią uważnie.

– Kocham go...

– Nie, to akurat zrozumiałam bez błędu. Co powiedziałaś wcześniej?

– Powiedziałam do ciebie: „mamo”. Nie powinnam? – Różanka wyglądała na zdezorientowaną.

– Nie wiem, Róża. A ty jak myślisz?

– Myślę... Myślimy obie – poprawiła się po chwili – że zawsze tego chciałyśmy, tylko nie wiedziałyśmy, czy tak można. Czy nie zrobimy tym przykrości mamusi, bo mogłaby pomyśleć, że o niej zapominamy. No wiesz, dzieci kombinują w ten sposób, prawda, Hal?

– Najprawdziwsza! – potwierdziła druga z sióstr Makarskich, materializując się przy nich w tym momencie, jak zwykle z lornetką na szyi i notesem w ręce. – A o czym rozmawiacie?

– O mamie, a w zasadzie o naszych dwóch mamach – wyjaśniła Różanka.

– O mamie Matyldzie i mamie Izie? – upewniła się młoda ornitolożka.

– Bardzo was kocham, chyba to wiecie? – Iza była wyraźnie wzruszona. –

I cieszę się, że nie jesteście już takie całkiem małe. Będę szczęśliwa, jeśli zechcecie obie zwracać się do mnie w ten sposób.

Ruszyły ścieżką wzdłuż sadu pogrążone w swoich myślach. Kółka wózka grzęzły w piasku, skrzypieniem wyznaczając tempo nieśpiesznego spaceru.

– Ojciec znów zapomniał naoliwić! – Z wyrzutem w głosie odezwała się Halszka. – Przez ten hałas spłoszymy każdego ptaka w okolicy.

– Już taki jest ten wasz tata, kochany, ale z krótką pamięcią! – Uśmiechnęła się najstarsza z kobiet. – Ale *à propos* kochania, czy nie powinniśmy wrócić do początku rozmowy?

Halszka rzuciła im zdezorientowane spojrzenie, na co pozostałe parsknęły śmiechem.

– No to od początku. Jest taki chłopak, wiesz który, Hal? Ten blondyn...

Blondyn musiał się okazać kompletną oferumą, bo jego imienia po latach nie mogła przypomnieć sobie żadna z sióstr. Ostał się w ich pamięci tylko dlatego, że był przyczynkiem do rozmowy z Izą, a to z kolei wyznaczyło wyraźną cezurę w relacjach z przybraną matką. Potrzebowały wiele czasu, by je sobie poukładać, choć od samego początku czuły się w jej towarzystwie bezpiecznie i dobrze. Nawet wtedy, kiedy stan jej zdrowia powodował lęk w małych dziewczęcych główkach oraz zdumienie, kiedy przy ich wózkach z lalkami stanął w końcu jej, inwalidzki. Iza nie była na niego skazana, mogła – choć z trudem – poruszać się na własnych nogach, ale uznali, że przy częstych wyjazdach Kosmy dobry, skandynawski półautomatyczny wózek będzie sporym ułatwieniem.

– Nie jest to volvo, ale to jednak wciąż szwedzka konstrukcja – powiedział Makarski, demonstrując zasady działania sprzętu. Elektryczny silnik zaszumił cichutko, kiedy uruchomił go odpowiednim przełącznikiem. – Pracuje nie gorzej niż moja dwieście czterdziestka czwórka. Która pierwsza chce się przejechać?

Pierwsze były obie dziewczynki, co pozwoliło na oswojenie sytuacji. Dla Izy nie była to bowiem prosta sprawa i długo walczyła ze sobą, zanim podjęła decyzję o zastosowaniu takiego rozwiązania. Czuła, że do momentu, kiedy porusza się o własnych siłach, choroba nie złoży jej zupełnie. Ale tych sił

czasem po prostu brakowało. A dwie dorastające dziewczynki, mały prosiak i starzejący się pies momentami stanowiliby trudną do ogarnięcia gromadę nawet dla w pełni zdrowej kobiety. Iza, chora od kilku lat na stwardnienie rozsiane, musiała pozwolić sobie na pomoc; było to niezbędne zwłaszcza pod nieobecność Kosmy.

Dziewczynki wiedziały o jej problemach od samego początku. Wy tłumaczyli im, że ich dotychczasowa instruktorka tańca jest poważnie chora, potrzebuje opieki i zamieszka z nimi na Mazurach. I choć od zawsze uwielbiały jej lekcje, to patrzyły na nią podejrzliwie, zastanawiając się, czy wypada się do niej przytulić lub zapytać o coś, na co ojciec z pewnością nie znałby odpowiedzi. Nie mogły jednak nie zauważać, że między dorosłymi dzieje się coś ważnego, a obecność kobiety w domu w jakiś sposób wpływa na nich wszystkich. Z czasem zrozumiały, że ten wpływ bezpośrednio przekłada się na ciepło domowego ogniska. Czuły się kochane przez ojca, ale dopiero uczucie, którym obdarzyła je ta młoda kobieta, uzupełniło wszystkie braki i niedostatki. Cała ich czwórka tworzyła rodzinę, mocno doświadczoną przez los, ale przez to bardziej świadomą swoich potrzeb i powinności. A Halszka i Różanka prawdziwą matkę nosiły głęboko sercu, choć tak naprawdę było to coraz bardziej mgliste wspomnienie jej głosu, ciepła i dotyku. Może dlatego tak długo opierały się przed podróżą do Mantui, bojąc się, że taka wyprawa będzie ostatnim pożegnaniem, po którym nie zostanie im już nic? Albo co gorsza, że nie poczują w tamtym miejscu żadnego drgnienia, ścisku, czegokolwiek? Co, jeśli będą jedynie stać, bezsensownie gapiąc się na zmieniające się światła oraz przejeżdżające samochody?

– Śpisz? – Różanka przesunęła się ostrożnie na łóżku, unosząc lekko głowę. Halszka oddychała miarowo, ale nie zdążyła jeszcze zasnąć. Odwróciła się i zapaliła małą lampkę przy łóżku.

– Nie, ale powoli zasypiam.

– Myślę, że pojedę tam z ojcem!

– Świetnie, ale...

– I ty też powinnaś pojechać z nami! – Siostra przerwała jej zdecydowanie i usiadła na łóżku.

– Zwariowałaś? Nie mam teraz co robić, tylko jeździć z kamerą i podziwiać

okolicę! – Halszka była pewna, że siostra wpadła na pomysł jakiegoś nowego nagrania i będzie ją ciągnąć ze sobą. Czasem przyłączała się do jej wypraw, bo przy okazji mogła podglądać ptaki, ale wołała to robić w swoim tempie. A asystowanie przy kolejnych dublach Różanki i szukanie najlepszych ujęć tylko burzyło jej własne plany. Przecież na głowie miały jeszcze maturę, więc...

Włączenie się po mazurskich ostępach akurat teraz nie było jej zdaniem najszcześniejszym pomysłem.

– O czym ty mówisz? – Różanka spojrzała na nią zdziwiona. – Mam na myśli wyjazd z ojcem do Mantui. Już pora, Hal.

W pokoju zrobiło się cicho, obie przez chwilę intensywnie myślały, wpatrując się w sufit. Halszka przygryzła wargę, a Różanka nerwowo machała nogą. Po chwili bezwiednie zamieniły się i teraz to noga Hal kołysała się w powietrzu.

– To będzie... – Różanka obliczyła w myślach – tydzień po ostatnich egzaminach. Tata się ucieszy. I mama też.

– Dobrze, pojedziemy tam. Rzeczywiście już pora. – Halszka uśmiechnęła się słabo i zanurkowała pod kołdrę. Nie musiały mówić nic więcej, była to jedna z zalet bycia bliźniakiem. Róża zgasła światło i po chwili ich pokój wypełnił się miarowymi oddechami. Tej nocy spało im się wyjątkowo dobrze.

Podróż do Włoch ojciec pozwolił im zaplanować samodzielnie, dodając od siebie tylko te punkty, które nie zmieniały się od lat – dwa dni w Mantui, z obowiązkowym długim spacerem uliczkami opisywanymi przez Matyldę w listach, oraz spotkanie z Biagiem Betitem i jego żoną, Anetą. Biagio był tym sanitariuszem, który podjął nieudaną próbę reanimacji Matyldy, to on także jako pierwszy zatelefonował do Kosmy, by łamaną polszczyzną poinformować o wypadku. Aneta, którą pochodzący z głęboko wierzącej rodziny przystojny Włoch poznał na Światowych Dniach Młodzieży i poślubił krótko potem, była stomatologiem. Zaraz po studiach przeniosła się do Mantui, by wieść spokojne życie u boku Biagia, w wolnych chwilach uczyła go też języka polskiego. Nie mieli dzieci, nad czym mocno ubolewała, nie mniej zresztą niż jej włoska *suocera*. Aneta bardzo przeżyła śmierć Polki na dyżurze swojego męża, ten wypadek był przecież szeroko komentowany w miejscowych mediach, a i jej

pacjenci nie stronili od snucia opowieści na ten temat. Kobieta mocno zaangażowała się więc w pomoc Kosmie oraz chłopcom, którzy wraz z nim przyjechali, by zabrać ciało zmarłej do kraju. Od tego czasu utrzymywali kontakty, te zaś w miarę upływu lat przerodziły się w szczególną więź, może nawet przyjaźń. Mimo to Kosma stanowczo odmawiał, gdy prosili go, by goszcząc w Mantui, zatrzymywał się u nich, za to co roku bardzo celebrował spotkanie z mężczyzną, na którego rękach jego żona zamknęła oczy na zawsze.

– Tym razem odwiedzę was z córkami – zapowiedział się telefonicznie, czym ucieszył zarówno Anetę, jak i jej włoskiego męża. Oboje widzieli dziewczynki tylko na zdjęciach, więc perspektywa poznania dorosłych już panien była dla nich wyjątkowo miła.

– To może zatrzymacie się u nas? – zapytał nieśmiało Biagio całkiem znośnym już polskim. Lekcje pobrane u żony przyniosły efekty. – Zapraszamy, Aneta będzie szczęśliwa.

– *Grazie, amico mio.* – Kosma również przez te lata podszkolił się w języku rozmówcy. – Zaproponuję im to. Myślę, że zgodzą się z przyjemnością. *Ci vediamo presto!*

Kiedy postawił przed bliźniaczkami decyzję: hotel czy nocleg u miejscowej rodziny, te nie wahały się ani przez moment. Dużo atrakcyjniejszą ofertą była możliwość goszczenia u Biagia i jego żony niż w anonimowym hotelu, choćby oferował on najbardziej wypasione SPA i śniadanie prosto do łóżka. Choć, pomyślały, i ten wybór nie musi oznaczać braku frykasów podstawianych pod sam nos – ojciec z pewnością zadba, by nie chodziły głodne, a jego opowieści z dotychczasowych pobytów w Mantui zawierały aż nadto przykładów kulinarnych osiągnięć gospodarza. Biagio lubił gotować i jak większość Włochów wprost uwielbiał efektami swoich działań raczyć, kogo się tylko dało. I zawsze było tam smacznie, pachnąco i ciekawie. Kosma przekonał się o tym bardzo szybko i bez żalu zrezygnował ze wspólnych kolacji na mieście, przedkładając nad nie zaproszenia do zapoznania się z kuchnią rodziny Betitów.

Ostatnie dni wyjątkowo deszczowego w tym roku maja powoli znikwały z kalendarza, ustępując miejsca rozpychającemu się upałami czerwcowi.

Dziewczynki miały już za sobą komplet egzaminów maturalnych. Radość ze spodziewanych zaliczeń mącił im jedynie fakt, że tu na miejscu nie za wiele było osób, z którymi mogłyby dzielić swoje sukcesy. Ojciec i Iza poświęcali im dużo czasu na co dzień, byli więc na bieżąco i zdążyli już się oswoić z ich wynikami. Dwaj starsi bracia odzywali się co prawda regularnie, ale już ich przyjazd na Mazury musiał wiązać się z wyjątkowym świętem. Dziewczyny doskonale wiedziały, że zarówno Marcel, jak i Marek potrzebują dużo ważniejszego powodu do porzucenia swoich zajęć niż zaliczenie matur przez przyszywane siostry. Raz, że byli od nich przecież o, lekko licząc, dwadzieścia lat starsi, a dwa, że konkurencja w ich branży powodowała, że o wolne chwile musieli się naprawdę postarać. Interes, który prowadzili z ojcem, Wiktorem, miewał upadki i wzloty, na szczęście z przewagą tych ostatnich, ale to wszystko okupione było koniecznością maksymalnego zaangażowania. Ot, to nie tylko urok życia w stolicy, ale i naturalny efekt bycia dorosłym. Halszka i Różanka starały się to zrozumieć, licząc na przychylniejszą reakcję – przyrodniej, podobnie jak i bracia – siostry. Niestety, Michalina nie planowała w najbliższym czasie przyjazdu na Mazury. Miała po prostu za dużo na głowie, a każda z piętrzących się spraw wymagała pilnego działania. Zwłaszcza znalezienie dla syna szkoły, w której mógłby rozpocząć naukę po wakacjach, co w przypadku dziecka urodzonego i wychowanego nad Tamizą nie było tak oczywistą kwestią. Poza tym pod znakiem zapytania stała jej praca; na dobrą sprawę rozgłośnie, w której pracowała wcześniej, opanowała nowa generacja radiowców i jej powrót na stare śmieci nie był taki pewny. Co prawda Kaśka, jej matka i była żona Kosmy, deklarowała pomoc na każdym z tych pól, ale Michalina nie chciała o tym nawet słyszeć. Telefonicznie pogratulowała więc dziewczynkom, obiecując, że odwiedzi je w połowie wakacji, kiedy tylko stanie stabilniej na nogach. Siostry z kolei odpowiedziały, że nie zamierzają czekać tak długo, i zapowiedziały swoją wizytę w Łodzi.

– Jak tylko wrócimy z Mantui! – rzuciła od niechcienia Halszka.

– Skąd? – Michalina była pewna, że się przesłyszała. Doskonale zdawała sobie sprawę ze zbliżającej się rocznicy, ale nie przypuszczała, że w podróż z ojcem wybiorą się i one.

– Dobrze słyszałaś – odpowiedziała Różanka i puściła oko do Halszki.

Rozumiały zdziwienie Michaliny, same jeszcze nie zdążyły przyzwyczać się do myśli, że czeka ich ten wyjazd. – Jedziemy z tatusiem. A później widzimy się w Łodzi!

Po tej rozmowie każda z nich uśmiechnęła się i zamyśliła na kilka chwil. Ich patchworkowa rodzina była efektem splotu wydarzeń spowodowanych jednym listem. On sam przepadł gdzieś, choć każde z nich szukało go na własną rękę. Był jak Święty Graal, jak początek i koniec rodzinnej historii. Może kiedyś uda im się na niego trafić? Ten pierwszy list nie pozwoli im przeżyć życia raz jeszcze, odzyskać straconych osób, ale może dać im odpowiedź, kim była ta kobieta, która dwójce z nich dała życie, a jednej zabrała ojca...

Kiedy patrzysz na mapę i widzisz Italię oblewaną przez wody Morza Liguryjskiego, Tyrreńskiego, Jońskiego i Adriatyckiego, nie sposób zapomnieć, co – prowadząc swe wojska – mówił o tym kraju Napoleon Bonaparte. Zdaniem Cesarza Francuzów do włoskiego buta, zupełnie jak do prawdziwego, stopę wkłada się od góry. Mantua leży niemal na samej górze, w regionie Lombardia. Obie Makarskie wiedziały, że na początku 1797 roku Napoleon wkroczył zwycięsko do Mantui, a chwilę później utworzył się w niej trzeci batalion Legionów Polskich posiłkujących Lombardię. Dowodzący nim Ludwik Dembowski musiał jednak wraz z Bonapartem przełknąć gorzkie porażki, ustępując Austriakom już dwa lata później. Mantua powróciła pod skrzydła Francji na mocy traktatu pokojowego z 1802 roku, za to flaga Królestwa Włoch zawisła w mieście dopiero 64 lata później. Burzliwe dzieje tego regionu widać było w każdej budowlu, krętej uliczce i czasem w twarzach mieszkańców, w których krwi mieszały się wpływy kilku narodowości.

Dla bliźniaczek nie to było jednak najciekawsze, ojciec obiecał im bowiem, że wybiorą się na przedmieścia Mantui i pokaże im miejsce, w którym odkryto nie tak dawno szkielety ludzkie z okresu neolitu. Wśród szczątków znalazły się dwa złączone w uścisku, co natychmiast uruchomiło szereg spekulacji, a w świat pobięła pobudzająca wyobraźnię wieść o „kochankach z Valdaro”. Kobieta i mężczyzna leżeli zwrócenii do siebie twarzami, ich nogi i ręce krzyżowały się. Oboje mieli nie więcej niż po dwadzieścia lat, choć z badań antropologicznych

wynikało, że on był od niej nieco starszy. Za to ona była wyższa o trzy centymetry. Pięć tysięcy lat temu nie grzebano w ten sposób ludzi, zresztą blisko trzydzieści szkieletów znalezionych w pobliżu „Amanti di Montova” pochowanych było osobno. Badacze orzekli, że ta dwójka nie zginęła śmiercią nagłą, ułożenie ich ciał wynikać musiało z zamierzonego działania kogoś, kto przygotowywał pochówek. Uczucie łączące zmarłych kobietę i mężczyznę wydawało się najwłaściwszym wytłumaczeniem. I jako takie rozpałało wyobraźnię turystów, w tym dwójki nastolatków z Polski wypatrujących swojej wielkiej miłości.

– Po badaniach archeologicznych nie ma już śladu – odezwał się Kosma, kiedy czekali w hali odlotów na możliwość wejścia na pokład samolotu. – Prowadzono je przecież w dwa tysiące siódmym roku, podczas prac budowlanych. Podjedziemy tam, żebyście miały pełny obraz, ale sami kochankowie są już w muzeum i tam można ich oglądać do woli.

– W Mantui? – dopytała Różanka.

– Tak, jest tam znakomite Narodowe Muzeum Archeologiczne.

– Kruca fuks, mało czasu na wszystko... – Córka zasepiła się w odpowiedzi. W głowie rodził się jej już pomysł na małe nagranie z relacją z wyprawy do Włoch.

– No właśnie! Nie zapominajmy, po co tam właściwie jedziemy! – Halszka nerwowo pokręciła się na ławce. – Nie sposób nadrobić zaległości podczas jednego tylko pobytu.

– Dobrze, już dobrze, nie nakręcaj się. Ptaszki też jakieś upolujemy... – ugodowym tonem zakończyła rozmowę Róża. W samą porę, bo z głośników popłynął komunikat wzywający ich do boardingu. Posłusznie się podnieśli i ruszyli w stronę bramki.

– Wiesz, że nie chodzi mi o ptaki! – sapnęła jeszcze gniewnie Hal do ucha siostry. – Jedziemy tam ze względu na mamę. Uwielbiam tę nastrojową historię z kościotrupami w tle, ale sprowadza nas do Mantui zupełnie inna, mniej romantyczna kwestia.

– Nie gniewaj się, nie zapominam o tym. – Róża objęła ją i przyciągnęła do siebie. – Masz rację, żadnych niepotrzebnych ruchów, tylko mama, tata i my.

– I kilka zabytków w pobliżu. – Hal uśmiechnęła się słabo. – I trochę dobrego

jedzenia, i prawdziwa włoska kawa...

– Prawdziwa włoska kawa? – Kosma powtórzył ze zdumieniem. – A co to takiego? Czy to coś z gatunku fasolki po bretońsku, ruskich pierogów czy karpia po żydowsku?

Obie dziewczyny w odpowiedzi pokazały mu język, po czym śmiejąc się i przekomarzając w podobnym stylu, cała trójka zajęła miejsca w samolocie. Lot zapowiadał się spokojnie, kapitan poinformował o pogodzie na trasie, warunki atmosferyczne były dobre i nie zwiastowały żadnych problemów. Te kilkadziesiąt minut podróży w przestworzach każde z nich wykorzystało na drzemkę. W przypadku Kosmy była to pełna regeneracja i odpoczynek. Po tylu latach na próżno doszukiwać by się mógł mocnej ekscytacji związanej z podróżą w tamto miejsce. Ale w samej Mantui miał takie momenty, kiedy łzy napływały mu do oczu. Mimo upływu czasu gdzieś w sercu tkwił jeszcze żal, że nie dane mu było poznać Matyldy tak dobrze, jak tego pragnął. I że ta miłość nie rozkwitła pełnią barw i zapachów, choć zdążyła wydać na świat Halszkę i Różankę. Jego córki trzymały się za ręce przez cały lot, zupełnie jakby miały nie naście, ale po kilka lat i bały się nieznanego.

– Co czujesz? – szepnęła Różanka, kiedy pilot wyrównał pracę silników i maszyna znalazła się na odpowiednim pułapie. W dole widać było już tylko miniaturowe miasto, przecięte błękitną wstęgą rzeki.

– Czuję, że mogliśmy zrobić to wcześniej – odpowiedziała równie cicho Halszka. – Mama na to zasługiwała.

– I tata też. – Róża mocniej ścisnęła siostrę za rękę.

– Tak, i tata też... Śpij już, przed nami długi dzień.

Nie doczekała się odpowiedzi, ale słysząc miarowy oddech siostry, po chwili zasnęła również. Obie miały nieprawdopodobną wręcz zdolność adaptacji do zastanych warunków, co pozwalało im zasypiać niemal na zawołanie. Widząc obok drzemiącego od dawna Makarskiego, nie sposób było oprzeć się wrażeniu, że była to umiejętność przekazywana w genach. Cała trójka ocknęła się solidarnie na chwilę przed komendą o konieczności zapięcia pasów. Samolot zbliżał się do lotniska. Kosma zerknął na swoje córki, a widząc na ich twarzach niepewne uśmiechy, postanowił dodać im otuchy.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział z naciskiem na ostatni wyraz. –

Dziękuję wam, że jesteście tu ze mną. Pokażę wam miejsca, które pokochała wasza mama. Pokażę wam Matyldę.

Pierwsze, na co zwrócił uwagę Kosma, kiedy rozgościli się w przytulnym domu rodziny Betitów, to polskie akcenty w wystroju wnętrza. Widać było, że gospodyni nie ma włoskich korzeni i nie stosuje rozwiązań typowych dla tego kraju. Patentów, które podczas noclegów w hotelach zawsze budziły opór Makarskiego.

– Dziękuję za tradycyjną pościel – zwrócił się do Anety, z uznaniem przyglądając się normalnej kołdrze, solidnej poduszce i bawełnianemu prześcieradłu.

– Słucham? – Kobieta wyglądała na lekko zdziwioną tą uwagą. Stali w progu pokoju, który miał zająć Makarski, w sypialni obok miejsce dla siebie gościły jego córki. Kosma wskazał ręką na łóżko, a kobieta uśmiechnęła się lekko. – A, o tym mówisz. Zdażyłam już zapomnieć, a to był mój pierwszy zakup do domu. Na szczęście Ikea stanęła na wysokości zadania i nie musiałam kołdry ciągnąć tu znad Wisły.

Kosma doskonale wiedział, o czym mówi ich gospodyni. Za każdym razem, kiedy odwiedzał Włochy, musiał przyzwyczajać się do miejscowego sposobu siania łóżka. Najpierw *coprimaterasso*, pokrycie materaca materiałem frotte z gumką, później właściwe prześcieradło zwane *lenzuollo sotto*, a do przykrycia kolejne prześcieradło – *lenzuollo sopra*. I właśnie to ostatnie budziło niepokój w Makarskim, przyzwyczajonym do ciepłych kołder, niezbędnych przy mazurskich chłodach. Zanim zdążył przywyknąć do tego rozwiązania, musiał już wyjeżdżać, a efekt był taki, że chodził po Mantui niewyspany. Widząc w domu przyjaciół tradycyjną pościel, odetchnął głęboko.

– Po raz pierwszy zasnę tu jak dziecko – rzekł ze śmiechem.

– Jak niewiele trzeba do szczęścia! Widzisz, mogłeś skorzystać z zaproszenia dużo wcześniej. – Betito dołączył do nich, wnosząc przy okazji dość ciężką walizkę którejś z dziewczyn. – Uff, co one tu zapakowały?

– Nie interesuj się, bo kociej mordki dostaniesz! – Jego żona pchnęła go lekko w stronę pokoju bliźniaczek. – Idź, zapytaj, czy wszystko im się podoba.

– Kociej mordki? – powtórzył Włoch niepewnie. Najwyraźniej lekcje żony nie zawierały tego zwrotu. – My nie mamy kota. *Di cosa stai parlando?*

– Srando, nie parlando. Pospiesz się, *ragazzo!* – Aneta najwyraźniej grała w tej rodzinie pierwsze skrzypce, co zaraz wyjaśniła sama, zwracając się do Kosmy: – Muszę go trochę temperować, bo gotów przegadać pół dnia, koncentrując się na głupotach. Jak się rozpakujecie, zejździe na dół, przyda nam się filiżanka kawy.

– Prawdziwej włoskiej? – Kosma puścił do niej oko, a w pokoju obok nagle zrobiło się cicho, zupełnie jakby Halszka i Różanka również czekały na odpowiedź.

– *Mamma mia!* Tylko taką tu pijemy – odpowiedziała Aneta i ruszyła schodami w dół. Jej śmiech słychać było jeszcze długo, po chwili zmieszał się z intensywnym zapachem mielonych ziaren arabiki.

Wystarczyło kilka godzin, by młode Makarskie poczuły się w gościnnym domu włosko-polskiego małżeństwa jak u siebie. Nie spieszyło im się, więc resztę dnia domownicy i przybysze spędzili na rozmowach, snując opowieści i poznając się wzajemnie. Betito okazał się wcieleniem wszelkich stereotypów, jakie przypisuje się Włochom – do każdego tematu musiał wtrącić swoje trzy grosze, gestykulując przy tym zawzięcie i bezwiednie podnosząc głos. Był w tym jednak bardzo uroczy, więc z miejsca zaskarbił sobie sympatię obu dziewczyn. Aneta wcale nie odstawała od męża, na każdym kroku dając wyraz radości z powodu przyjazdu całej rodziny Makarskich.

– No, prawie całej... – wtrącił w pewnym momencie Kosma. – Nie poznaliście jeszcze Michaliny i Izy, ale wydaje mi się, że akurat te dwie panie przedstawimy wam dopiero, kiedy przyjedziecie z rewizytą do nas, do Polski.

– Chętnie! – Biagio klasnął w dłonie z zadowoleniem. – I powiem ci, przyjacielu, że w tym roku już nie będzie żadnych wymówek. Przyjedziemy na pewno!

Obietnicę potwierdzili toastem z włoskiego wina, które w tym domu i w ich towarzystwie smakowało wyjątkowo dobrze. Kosma, od czasu przebytej choroby stroniący od wszelkich używek, przyglądał się wesołej gromadce

z nieodgadnioną miną.

– Nie przeszkadzajcie sobie. Zadzwońię do Izy, a później się położę, jutro czeka nas długi dzień – powiedział cicho.

– Dobrze się czujesz? – Anecie zmiana nastroju gościa wydała się dziwna. – Wszystko w porządku?

– Tak, nie zwracajcie uwagi na starego zrzęde. Jestem zmęczony i nie chcę wam psuć nastroju, więc pójdę do siebie. – Kosma podniósł się zza stołu i pocałował w czoło obie córki. – Gdybyście dziś się gdzieś wybierały, nie przesadzajcie z długością spaceru. Jutro...

– Wiemy, co będzie jutro, tato! – grzecznie, ale stanowczo przerwała mu Różanka. – Wstaniemy skoro świt.

Pożegnali go uśmiechem i wrócili do przerwanej rozmowy. Biagio aż się palił do pokazania Polkom najbliższej okolicy, a i Aneta nabrała ochoty na przechadzkę wąskimi uliczkami Mantui. Przekazali więc Kosmie najpotrzebniejsze instrukcje dotyczące dostępu do spiżarni, łazienki i wygodnego fotela na tarasie, po czym ruszyli przed siebie.

Dzień chylił się już ku końcowi, ale w gorącym klimacie dopiero teraz życie towarzyskie zaczynało się na dobre. Przed domy wychodziły całe rodziny, głośno rozmawiając i pozdrawiając się z daleka. Halszka z Różanką ze zdumieniem spostrzegły, że od wyjścia z domu minęła ponad godzina, a ich gromada zdołała ujść nie więcej niż dwa kilometry – co chwilę musieli bowiem przystanąć, zamienić kilka zdań z innymi spacerowiczami, wśród których nie brakowało pacjentów Anety, członków dalekiej rodziny jej męża lub znajomych, którzy widząc dwie dziewczyny o słowiańskim typie urody, zagadywali ich życzliwie. Biagio śmiał się głośno, szczęśliwy, że jego goście wzbudzają wyraźne zainteresowanie. Jego zadowolenie sięgnęło zenitu, gdy zza jednego z budynków wyszedł młody mężczyzna o typowej urodzie południowca podkreślonej śnieżną bielą koszuli i zębów.

– *Luigi, vieni da noi!* – zawołał, a adresat zaczepki na dźwięk swojego imienia przystanął i rozejrzał się wokół. Kiedy dostrzegł rodzinę Betita, rozłożył ręce w powitalnym geście i skierował się do nich. Przeniósł wzrok na stojące z tyłu dziewczęta i zamarł w pół kroku.

– To kuzyn Biagia, miły chłopak – wyjaśniła Aneta, zaskoczona jego reakcją. –

Dawno go nie widzieliśmy. Pracuje w gazecie, jak na Włocha jest bardzo poukładany – szepnęła jeszcze na ucho stojącej najbliżej Halszce.

Rzeczony kuzyn stał teraz jednak osłupiały, wpatrując się to w jedną, to w drugą Makarską, i kręcił głową z niedowierzaniem.

– *Non capisco* – mówił raz za razem. – *Non capisco...*

Halszka z Różanką spojrzały po sobie, domyślając się, że to właśnie one są powodem lekkiej konfuzji spotkanego przystojniaka. Ten stał dalej jak zahipnotyzowany, a na jego twarzy malowały się zdziwienie, niepewność, ale też cień uśmiechu.

– *So, let me introduce...* – Aneta zgrabnie przeszła na angielski i przedstawiła obie Polki, uznając, że w tym języku będzie im łatwiej rozmawiać, bez potrzeby symultanicznego tłumaczenia. A widząc rozpalony wzrok kuzyna swojego męża, którym omiatał każdą z bliźniaczek, uznała że ta trójka żadnego wsparcia językowego nie będzie potrzebować. Nie zdążyła jeszcze poznać dobrze Halszki i Różanki, ale kobieca intuicja jasno podpowiadała, że przynajmniej jednej z nich mocniej zabiło serce na widok nowo poznanego. Gdyby miała wskazywać, pokusiłaby się o wytypowanie Różanki – to właśnie ta Makarska rzuciła w stronę Luigiego zdecydowanie dłuższe spojrzenia. A i on bez ociągania stanął tuż przy niej, prostując się i ledwo dostrzegalnym ruchem poprawiając włosy.

– *Okay*, skoro proporcje się lekko poprawiły i zyskałem męskie wsparcie, to siądźmy gdzieś na chwilę – zaproponował Biagio i wskazał ręką najbliższy lokal. – *Trattoria Domenica* będzie miłym wyborem, może spotkamy jeszcze kogoś znajomego.

Wieczór mijał w wyśmienitej atmosferze, dziewczyny zostały uraczone dobrym winem, ale też i informacjami o miejscowych atrakcjach i ciekawostkach, a nawet o bieżących wydarzeniach, do których Luigi – z racji zawodu – miał stały dostęp. Opowiadał im więc o swojej pracy, a one odwzajemniały się historyjkami z mazurskiej głuszy. Włoch z uwagą słuchał o ich planach na najbliższy czas; Halszka chciała rozpocząć studia, Różanka nadal zastanawiała się nad odłożeniem dalszej nauki i spędzeniem kilku miesięcy w podróży.

– Dokąd chcesz pojechać? – zapytał, odrywając mały kawałek pizzy, z której

lokal Domenico sływał w okolicy. – Masz plan, towarzysza i wszystko inne?

– Nie, nic z tych rzeczy! – Różanka zaśmiała się w odpowiedzi. – Mam tylko marzenia.

– *I have a dream, a fantasy, to help me through reality...* – zaśpiewał Luigi ciepłym głosem, od którego przeszedł ją dreszcz po całym ciele. Trochę też z powodu Abby, którą w jej rodzinie kochali wszyscy, nawet ojciec, choć skrzętnie to ukrywał.

– *And my destination makes it worth the while, pushing through the darkness still another mile.* – Różanka dokończyła wers i spojrzała na niego uważnie. – Dlaczego sięgnąłeś właśnie po tę piosenkę?

– Dlaczego? – zastanowił się przez chwilę, a jego oczy zabłyśły magicznym blaskiem. – *I believe in angels, something good in everything I see. I believe in angels, when I know the time is right for me*^[1] – dokończył, przysuwając się do niej niebezpiecznie blisko. Jego usta znalazły się niemal przy jej uchu, a w jej nozdrza uderzył delikatny zapach perfum, z których przebijała nuta ananasa i paczuli. Był prowokacyjny i intrygujący, spodobał jej się, choć nie znała go wcześniej. Przez tę chwilę Różance wydawało się, że są tu tylko we dwoje. Zdawali się nie zauważać, że rozmowa przy stoliku zamarła i wszyscy wpatrują się w nich jak zaczarowani. Aneta mocno ścisnęła dłoń męża, a Halszka obserwowała rozgrywającą się scenę z równym napięciem, z jakim podpatrywała zwykle najciekawsze ornitologiczne okazy.

– Włochy, i wszystko jasne – powiedziała ostrożnie, nie chcąc burzyć nastroju. Zrobiła to jednak na tyle głośno, że reszta wybuchła śmiechem, a speszona Różanka wyprostowała się gwałtownie.

– Teraz już mniej więcej wiecie, o co tutaj chodzi. – Aneta czule spojrzała na swojego męża, a Biagio Betito odwzajemnił się jej pocałunkiem. Siedzieli tak przez chwilę, pogrążeni we własnych myślach. Ciszę przerwała Różanka.

– Grosik za twoje myśli! – zawołała i klepnęła siostrę w kolano.

– Myślę o jutrzejszym dniu, o mamie i o tym strasznym miejscu, gdzie to wszystko się wydarzyło. – Halszka spoważniała i spojrzała na nią smutno. – Myślę o tym, co przeżywali wtedy ojciec i Marcel z Markiem.

– Ja... Ja poznałem waszego ojca, pamiętam też waszą mamę. Byłem tam chwilę po wypadku – odezwał się Luigi, wprawiając wszystkich w konsternację.

– Jak to? – Aneta pierwsza odzyskała głos. – Jakim cudem?

– Wy już tego nie pamiętacie – zwrócił się do kuzyna i jego żony. – Ale to był mój początek w gazecie, zaraz po szkole. Szedłem na jakąś konferencję i nagle usłyszałem huk. Podbiegłem sprawdzić, co się stało, i zobaczyłem ciebie, Biagio, jak pomagasz tej kobiecie.

– To była mama? – szepnęła Halszka.

– Tak, jeszcze o tym nie wiedziałem – odpowiedział Luigi, zamykając jej dłoń w swoich, jakby chciał dodać jej otuchy. – Zrobiłem wtedy kilka zdjęć i dopiero w redakcji, powiększając fotografie, poznałem ją.

– Poznałeś? – Różanka spojrzała na niego zaskoczona. – Co masz na myśli?

– Widziałem ją już wcześniej. Wasza mama była piękna, więc od razu zwróciłem na nią uwagę, kiedy spacerowała po Mantui. Wyglądała na smutną, zawsze ze szkicownikiem pod pachą, smutna i piękna; tak ją zapamiętałem.

– Pewnie tęskniła za domem... – Obie siostry Makarskie zareagowały jednocześnie.

– Pisałem o tym wypadku do gazety, a później jeszcze kilka razy przypominałem to tragiczne zdarzenie, kiedy wasz ojciec kładł w tym miejscu kwiaty. – Luigi uśmiechnął się do własnych wspomnień. – Rozmawiałem z nim nawet raz czy dwa, ale nie chciał się wypowiedzieć do artykułu.

– Cały Kosma! Wasz tata wziął to wszystko na siebie – wtrącił się do rozmowy Biagio. – Zawsze nam tu powtarzał, że nie nosi w sobie nienawiści, ale żał z powodu tego, co się stało, będzie z nim na zawsze.

– Wiedziałem, że przyjeżdża tu co roku, ale nie miałem pojęcia, że się przyjaźnicie! – Luigi był wyraźnie poruszony. – A kiedy zobaczyłem te dwie dziewczyny, tak bardzo podobne do tamtej Polki, zaniemówiłem...

– Uff, przez chwilę myślałem, że masz udar! – Starszy kuzyn był wyraźnie rozbawiony wspomnieniem miny Luigiego z początku wieczoru. – Ale ja też przeżyłem podobny szok, widząc je na żywo. Kosma pokazywał nam zdjęcia, lecz dopiero teraz przekonałem się, jak bardzo jesteście podobne do mamy.

– Jutro rocznica jej śmierci – przypomniała Aneta, zwracając się do Luigiego. – Halszka i Róża przyjechały z ojcem po raz pierwszy. To dla nich wyjątkowy dzień, zaopiekujesz się nimi?

– Los połączył nas przed wielu laty wbrew naszej woli – odparł zapytany. –

Skoro już tak się stało, nie sprzeciwiamy się mu i nie walczymy z tym, co nas spotyka. Jeśli nie macie nic przeciwko, będę wam towarzyszył.

Obie dziewczyny bez słowa kiwnęły głowami, a Biagio zerknął na zegarek, dając znak do zakończenia spotkania.

– Mam jutro dyżur od rana, więc jeśli nie macie nic przeciwko...

Mieli, ale cała piątka zgodnie podniosła się z krzeseł i po uregulowaniu należności ruszyła w drogę powrotną. Gwar na ulicach stopniowo słabł, daleko mu było jednak do ciszy nocnej. Gromady spragnionych towarzystwa, rozmów i dobrych napitków będą peregrynować ulicami Mantui jeszcze długo w noc.

Luigi dotknął nieśmiało ramienia Różanki, dając znak, by się z nim zrównała. Kiedy to się stało, spowolnił krok, uzyskując w ten sposób kilka metrów dystansu do reszty grupy.

– Coś się stało? – Dziewczyna cieszyła się z jego towarzystwa, była też zadowolona z zachowaniem mężczyzny.

– Powiem ci coś, tylko się nie śmiej! – zaczął ostrożnie. – Za długo już czekałem na to wszystko, co miało mnie spotkać. Na te wszystkie wspaniałe rzeczy pisane mi w horoskopach.

Różanka milczała, słuchając uważnie. Nie miała wielkiego doświadczenia w kontaktach z płcią przeciwną, ale ten starszy od niej o kilkanaście lat Włoch wydawał się jej sympatyczny i... szczery. Tak o nim myślała – że to, co mówi i robi, jest szczerze. Podobał się jej i czuła niemal fizyczne przyciąganie. Poza tym musiała naprawdę skupić się na tym, co do niej mówi, bo choć jego angielska gramatyka była bez zarzutu, to włoska wymowa nie pomagała w odbiorze.

– Chciałem ci tylko powiedzieć, że nic nie dzieje się bez powodu. I że jeśli będziesz potrzebowała towarzysza podróży, to tu, w Mantui, będzie taki na ciebie czekał. – Pochylił się i, choć tego nie była pewna, przelotnie pocałował ją w ucho. Dotknęła jego dłoni i odwróciła się, by nie mógł zobaczyć jej twarzy. Zbyt wiele się na niej działo, przynajmniej połowę z tych emocji chciała zostawić dla siebie.

– No to opowiadaj! – Halszka była bezlitosna; kiedy tylko znalazły się już w łóżku, nakazała siostrze spowiedź z wydarzeń, które miały miejsce wcześniej.

– Co o nim myślisz?

– O Luigim? Ociekał sosem, a pikli było więcej niż na zdjęciu...

– Co ty wygadujesz? Chyba za dużo wina poszło wieczorem! – Halszka wybałuszyła oczy ze zdumienia. – Albo się przegrzałaś!

– Oj daj spokój, mówię tylko, że najczęściej jest tak, że obietnica rozmija się z rzeczywistością. Kiedy widzisz na ulotce zdjęcie z jakąś potrawą, to chcesz ją zjeść oczami, ale kiedy dostajesz zamówienie, to nijak ma się do obietnicy. A on jest inny!

– Kumam! – Halszka wreszcie zrozumiała, o co chodzi siostrze. – Luigi to soczysty hamburger z prawdziwej wołowiny, z mnóstwem pikli, cebuli i zielonej sałaty. I naprawdę ocieka sosem.

– Tak myślę. – Róża pokiwała z aprobatą głową.

– Jesteś jednak trochę szurnięta! – Siostra z trudem hamowała śmiech. – Można było powiedzieć, że to ciacho, ale hamburger?

– Kocham cię, wiesz?

– Mnie? Chyba coś ci się pomyliło...

– Śpijmy, może nam się przyśni coś fajnego...

– Albo ktoś! – nie ustępowała Halszka. – Nie mogę się doczekać, kiedy powiem o tym mamie!

Mama... Na dźwięk tego wyrazu spoważniały. Róża zgasła lampkę i przytuliła się do siostry.

– Dobrze, że cię mam.

Kiedy wstały, w kuchni krzątała się już Aneta, a ojciec właśnie kończył poranną toaletę. Biagio wyszedł o świcie, zapowiadając się dopiero na lunch. W kuchni unosił się zapach świeżych wypieków i obowiązkowej kawy.

– *Buongiorno, principessa* – przywitał je Makarski ich ulubionym cytatem z filmu *Życie jest piękne*. – Czy mogę jakoś pomóc w przygotowaniu śniadania?

– Spóźniłeś się, kolego! – Aneta postawiła na stole jeszcze ciepłe rogaliki, a obok nich zestaw konfitur i orzechowy krem.

– Ajjj, włoskie śniadanie! – Kosma z uznaniem popatrzył na przygotowany posiłek, który u nas zasługiwałby co najwyżej na miano lekkiej przekąski. – Kawa i rogaliki. Zjem trzy!

– Jedz do woli! – zgodziła się gospodyni. – A przy okazji posłuchasz, co wydarzyło się wczoraj wieczorem.

Kosma spojrział uważnie na córki, spodziewając się jakiegoś podstępu, ale nieodgadniona mina Halszki i nieco rozmarzona Różanki nie powiedziały mu za wiele. Dopiero Aneta zrelacjonowała przebieg spotkania z kuzynem Biagia i propozycję, by Włoch towarzyszył im dziś w zwiedzaniu Mantui.

– Pamiętam tego chłopaka, był chyba w waszym wieku, kiedy z nim rozmawiałem. – Kosma odłożył filiżankę z kawą i przez chwilę delektował się jej smakiem; córki czekały na ciąg dalszy, ale ten nie nastąpił.

– I? – ponagliła ojca Różanka.

– Nie ma żadnego „i” – odparł po chwili. – Po prostu go pamiętam, rozmawialiśmy i chciał przeprowadzić ze mną wywiad, bo przygotowywał artykuł o wypadkach drogowych. Nie zgodziłem się; było za wcześnie, bym publicznie mówił o tym, co czuję po stracie żony.

– Ale nie przeszkadza ci, że będzie dziś z nami? – Różanka wołała zawczasu rozwiązać wątpliwości.

– Nie, kotku. Jeśli dobrze czujecie się w jego towarzystwie, to nie widzę problemu. Tylko niech trzyma łapy przy sobie i mówi powoli, bo nie nadążam za tymi Włochami! – Puścił oko do Anety.

Jak na zawołanie rozmowę przerwał dzwonek do drzwi. Gospodyni podniosła się, by wpuścić gościa, a siostry Makarskie mimowolnie wyprostowały się na krzeselkach. Nieświadomy niczego Kosma przyglądał się córkom z zadowoleniem, ciesząc się, że są tu razem i że ma w nich prawdziwe wsparcie. Ich rodzina nie była zwyczajna i choć czasem łapał się na tym, jak wiele rzeczy mógłby zrobić lepiej, to koniec końców dochodził do wniosku, że nie zamieniłby jej na żadną inną. To była jego rodzina, a nie plik tekstowy, który można do woli poprawiać w edytorze, usuwając błędy i szukając najlepszego kroju liter. Tu wszystko skrojone zostało już dawno, a każde z nich po prostu dokładało do tej rodzinnej opowieści kolejne zdania.

Kiedy do kuchni wszedł Luigi, Kosma zobaczył błysk w oku Różanki i nabrał przekonania, że kolejne zdania ich rodzinnej historii będą pisane po włosku. Jeszcze nie wiedział, czy powinien się cieszyć. Postanowił tylko, że na pewno nie będzie się tym martwić.

– Poznaję pana! – przywitał się z gościem. – Zmężniał pan od naszego ostatniego spotkania.

– Dzień dobry, dobrze pana widzieć. – Luigi zamknął jego dłoń w mocnym, krótkim uścisku. Kosmie spodobało się to i spojrzał na przybysza z uznaniem. Od zawsze twierdził, że w takich małych gestach zawiera się charakter człowieka. Jeśli tak było, Włoch wypadł w tym sprawdzianie znakomicie.

– Moje córki już pan poznał...

– Proszę, niech mi pan mówi po imieniu. – Luigi uśmiechnął się prosząco. – Jestem Luigi Graziano, kuzyn Biagia. I muszę powiedzieć, że gdyby nie okoliczności, które was tu sprowadzają, fakt poznania tych pięknych dziewcząt byłby najmiłym zdarzeniem z mojego dorosłego życia.

– Czarus! – Aneta włączyła się do rozmowy. – Jak każdy Włoch będzie czarował i pięknie śpiewał, czego zresztą próbkę dał wczoraj.

Kosma spojrzał po córkach, ale widząc rumieniec na twarzy Różanki, postanowił nie drążyć tematu.

– Okay, skoro tak, to chciałbym, byś i ty do mnie zwracał się po imieniu. – Kosma przeniósł wzrok na gościa. – Wiem, że zachowałem się mało elegancko, odmawiając ci wypowiedzi do artykułu, ale mam nadzieję, że to rozumiesz.

– Dziękuję! – Luigi wyraźnie się ucieszył. – I nie mam żalu, domyślam się, co pan czuł. Jeśli jednak uznacie, że możemy już o tym, co się zdarzyło przed laty, porozmawiać spokojnie, to będę wdzięczny. Historia waszej rodziny, jakkolwiek pełna bólu, jest bardzo ciekawa. Chciałbym ją opisać.

Makarscy patrzyli na niego, nie wiedząc, co ma na myśli.

– Mówię poważnie. Zrozumiałem to dzisiaj rano, kiedy w myślach odtwarzałem nasze wczorajsze spotkanie. – Luigi poszukał wzrokiem Różanki i odetchnął z ulgą, widząc, że dziewczyna uśmiecha się do niego. – Pamiętam waszą mamę... Urzekła mnie siła uczuć waszych rodziców, która każe waszemu ojcu odwiedzać Mantuę co roku.

– Rzeczywiście, to filmowa historia – nieśmiało odezwała się Aneta.

– I teraz jesteście tutaj wy, niemal identyczne jak pani Matylda, a przed wami całe miasto do odkrycia – kontynuował Luigi. – Chciałbym poznać was bliżej i to wszystko opisać. Ale jeśli nie czujecie takiej potrzeby, to będę wam po prostu towarzyszył, ciesząc się z tej znajomości.

– Ruszajmy zatem! – zakomenderował Kosma, spoglądając na zegarek. – Zdążymy dotrzeć na miejsce na czas. Po drodze kupimy kwiaty.

– Nie trzeba, czekają w samochodzie – powiedział Luigi. – Widziałem, jakie wybierał pan wcześniej, więc pozwoliłem sobie zamówić podobną wiązanę.

Kosma spojrział na młodego człowieka z uznaniem i bez słowa poklepał go po ramieniu. Przy okazji nie uszły jego uwagi zadowolona mina Różanki oraz pełen aprobaty uśmiech Halszki.

Coś mi się zdaje, że będziemy musieli odkurzyć kilka włoskich płyt, pomyślał. I w tym momencie nabrał pewności, że będzie to robił z prawdziwą przyjemnością. Po raz kolejny przekonał się, ile radości można czerpać z bycia ojcem.

[1] ABBA, *I Have A Dream* (sł. Benny Andersson / Björn Ulvaeus).

„Wilga [*Oriolus oriolus*] [...]. Gniazdo, jedno z najbardziej kunsztownych w świecie ptaków, buduje niemal wyłącznie samica. Zgrabny koszyczek wpleciony w rozwidlenie poziomej gałęzi składa się z roślinnych włókien i pędów traw. W miastach bywają do niego wplecione strzępy papieru, sznurki, kawałki materiału [...]. Wilgi są tropikalnym akcentem w naszej awifaunie. [...] Jest to jedyny z dwudziestu sześciu gatunków wilg występujący w Europie. Pozostałe zasiedlają tropiki Azji, Afryki i Australii. [...] Są to mieszkańcy koron drzew, prawie nie siadający na ziemi, kąpiący się w strugach deszczu i zbierający na drzewach pokarm. Jeżeli w [...] okolicy występują wilgi, to latem najłatwiej będzie je spotkać na owocującym drzewie morwy. [...] Lubią także dojrzałe czereśnie i porzeczki [...]

Andrzej G. Kruszewicz, *Ptaki Polski*

ROZDZIAŁ DRUGI

Michalina

Powrót do Polski w zgodnej opinii całej trójki Makarskich nastąpił zdecydowanie za szybko. Kosma z czasem zdążył się przyzwyczaić, a nawet przyswoić kilka włoskich nawyków, ale dla jego córek wciąż była to nowość. Obie nadspodziewanie dobrze czuły się w tym kraju pełnym hałaśliwych tubylców i nie mniej gwarnych grup turystów. Z samej Mantui każde z nich wywoziło naprawdę spory bagaż emocji i wspomnień. Kosma to, co dla niego było już w zasadzie odległym wspomnieniem, dzięki córkom odkrywał na nowo. One same przemierzały kolejne kwartały ulic, z rozdziawionymi buziami chłonąc historię zamkniętą w murach i kamieniach. I były gotowe tak chodzić jeszcze tygodniami.

– Pamiętajcie, że zawsze jesteście tu mile widziani – powiedział Biagio w dzień ich wyjazdu. – Żyjemy tu skromnie, ciesząc się każdym dniem spędzonym razem. A teraz i wy macie tu swoje miejsce.

– Właśnie! – podchwycił Luigi. – Nic nie stoi na przeszkodzie, byście przyjeżdżali tu częściej. Ja zawsze chętnie sprawdzę się w roli przewodnika!

Na tę obietnicę jedna trzecia rodzinnego tercetu z Polski zareagowała przyspieszonym biciem serca, a cała trójka pożegnała rodzinę Betitów i ich sympatycznego kuzyna ponownym zaproszeniem do złożenia rewizyty na Mazurach. Dziewczyny z chęcią pomieszkałyby tu jeszcze trochę, padła nawet propozycja przebukowania biletów, ale Kosma nie chciał zostawiać Izy na tak długo samej. Córki rozumiały to doskonale i nie bez żalu, ale jednak karnie

stanęły po stronie ojca. Kiedy ich samolot był już w powietrzu i pilot zezwolił na rozpięcie pasów, Kosma wychylił się ku nim.

– Teraz już rozumiecie? Nie sposób wyrzucić tego miejsca z pamięci.

Pokiwały tylko głowami na znak, że zgadzają się z nim i wiedzą, co ma na myśli. Ta krótka wycieczka pozwoliła im dowiedzieć się o swojej matce nie mniej niż z wcześniejszych opowieści. Teraz jej listy nabierały nowych znaczeń i mieniły się nowymi barwami.

– Byłyśmy na tym skrzyżowaniu – opowiadały z przejęciem Michalinie, kiedy kilkanaście dni po powrocie do Polski przyjechały do starszej siostry. – Mantua jest piękna, ale w to jedno miejsce nie chcemy już wracać. Rozumiesz nas?

Michalina pokiwała głową; doskonale wiedziała, o czym mówią. Przed laty straciła narzeczonego, Jaromira. Chłopak zmarł krótko po tym, jak lekarze rozpoznali u niego glejaka. Medycyna w starciu z chorobą okazała się bezsilna, a ta bezsilność na długi czas udzieliła się i jej. Przez kilka lat żyła wspomnieniami i bólem – te w końcu przerodziły się w bunt i niechęć do miejsc, w których bywali razem. Łódź przestała jej się kojarzyć ze szczęśliwym dzieciństwem i pierwszą miłością. I było to uczucie tak silne, że obudziło w niej chęć spakowania się i kupna biletu byle dalej stąd. Padło na Londyn, choć tego nie planowała, a już na pewno nie chciała zostawać tam długo; potrzebowała jedynie chwili, by nabrać trochę dystansu do wydarzeń w życiu swoim, ojca i matki, spojrzeć na to, co działo się w ich rodzinie, z innej perspektywy.

Ostatecznie została na prawie pięć lat. Wróciła silniejsza. I z synem. Nigdy nie żałowała tej decyzji.

Wcześniej z każdą wizytą na Mazurach czuła się spokojniejsza, widząc, że ojciec poukładał swoje życie z Izą u boku. Albo u boku Izy – co do ostatecznej formuły ich relacji nie miała pewności, ale wystarczało jej to, co można było dostrzec na pierwszy rzut oka. Stabilność, zaufanie, spokój. Bywając w „Kosmodomie”, przekonywała się, że ta dwójka wraz z jej siostrami tworzy silny związek. Może trochę bardziej kierowany rozumem niż sercem, ale z upływem lat ona też coraz bardziej doceniała pragmatyczne podejście do miłości.

Z każdym rokiem utwierdzała się też w mniemaniu, że nikt nie wypełni dziury, jaką zostawił po sobie Jaromir. Na pewno nie w Łodzi, która co drugą ulicą lub parkiem udowodniała jej, że czas tak naprawdę nie ma nic wspólnego

z leczeniem ran. Przynajmniej ten czas, którym ona dysponowała, i tych ran, które otwierały się najczęściej, zanim zasnęła późną nocą lub wczesnym rankiem.

Kiedy Tomasz Walicki, partner jej matki, a przede wszystkim znany saksofonista jazzowy, zapowiedział, że kilka najbliższych miesięcy spędzi w stolicy Wielkiej Brytanii, i oświadczył, że mogą jechać z nim, mocniej zabiło jej serce. Patrzyła na nowy związek matki z prawdziwą radością. Kaśka po rozwodzie z Kosmą bardzo długo starała się o odzyskanie równowagi i wewnętrznego spokoju. Nie pomagały w tym ani choroba jej byłego już męża, ani wydarzenia, które nastąpiły w kolejnych latach. Rozstali się w zgodzie, pozostając w bliskim kontakcie, i – choć Makarska sama sobie się dziwiła – po cichu kibicowała związkowi Kosmy i Matyldy. Śmierć kobiety wydała jej się jawnym pogwałceniem porządku świata, a osierocenie dwóch uroczych dziewczynek niesprawiedliwością wykraczającą poza granice ogarniane rozumem. Niemal fizycznie czuła ból mężczyzny, z którym związana była przez lata, i przez długi czas starała się być w pobliżu, żeby pomóc mu, kiedy przestanie sobie dawać radę. Bo że do tego dojdzie, obie z córką były pewne. Na długo więc zamknęła się na innych mężczyzn.

Tomek pojawił się w jej życiu niespodziewanie, w sposób tak banalny, że udzielając wywiadów do kolorowych czasopism, które od czasu do czasu przypominały sylwetkę muzyka, musieli wymyślać coraz to nowe historie. Ta prawdziwa, że wpadła mu w oko, kiedy w jej aptece robił zakupy, wydawała im się za mało medialna. A sam Tomasz okazał się przeuroczym, zabawnym mężczyzną o bogatym wnętrzu; skradł jej serce i wywołał uśmiech na twarzy, czym zaskarbił sobie sympatię Michaliny. Kiedy więc padła z jego ust propozycja wspólnego wyjazdu na Wyspy, ta ostatnia pomyślała, że to wcale nie musi być zły pomysł. Pakując się, podśpiewywała nawet *Panie losie, daj chłopaka, nie wariata, nie pijaka, nie Polaka...* [2]

– Tylko co ja tam będę robiła? – zastanawiała się głośno, siedząc z matką i jej partnerem w jednym z ogródków przy Piotrkowskiej. Rozkrzyczany tłum młodych ludzi przelewał się obok, głośne śmiechy mieszały się z dzwonekami riksza. – Chociaż, z drugiej strony, jest tam już tylu znajomych, że będę się czuła jak u siebie.

– Nie ma się co zastanawiać, nic cię tu nie trzyma. – Kaśka wzruszyła ramionami. Była pewna, że taka odmiana dobrze zrobi jej córce. – A poza tym nie jedziemy tam na stałe.

– Jeśli chcesz, poszukamy ci jakiegoś zajęcia – zaproponował Tomasz. – I nie zapominajcie, że będę miał momentami sporo pracy, więc twojej mamie przyda się towarzystwo.

– Załatwione! – Michalina podjęła decyzję i na potwierdzenie podniosła szklanę z piwem. – Wypijmy za królową!

– Wypijmy, ale za nas! – Tomasz również sięgnął po swój kufel. – Świetnie, że pojedziecie ze mną.

Na miejscu przez kilka dni razem cieszyli się Londynem i urządzali w całkiem sporym lokum, które miał do dyspozycji Walicki. Zamieszkali w Islington, w pobliżu stacji Caledonian Road na linii metra Piccadilly line. Wieczorami wskakiwali w autobus, żeby podjechać do Camden, pochodzić pomiędzy pubami i cieszyć się artystyczną bohemą. Pełno tam było dźwięków, kolorów i smaków. W słoneczne soboty Michalina lubiła pójść z matką na spacer kanałami od Camden do Angel, zatrzymać się na wegańskiego burgera w Temple, poleżeć na trawie, przeczytać kupioną na rogu książkę i cieszyć się życiem. Tomasz znikał im niekiedy na całe dni; razem z grupą kilku innych instrumentalistów pracował nad płytą. Wytwórnia, dla której realizowali ten projekt, nie forsowała tempa. Kładła nacisk na jakość; wyraz artystyczny miał tu decydujące znaczenie. Wiele obiecywano sobie po wspólnym dziele muzyków z różnych krajów.

W efekcie przez większość czasu panie Makarskie zdane były na siebie.

Michalina po kilku dniach aklimatyzacji zaczęła rozglądać się za pracą. Najpierw trafiła do Polskiego Radia Londyn; to był całkiem naturalny kierunek, szybko się jednak rozczarowała. Nie mogła słuchać w kółko tych samych reklam o wywozie śmieci, budowlańcach i „złotych rączkach”. Serwowane audycje bardzo odbiegały klimatem od tego, co grało w jej duszy. Chciała pisać o muzyce, o młodych głosach z Polski i ze świata. Po kilku dniach katongi zrezygnowała, przepaszając Walickiego, który zaanonsował ją w rozgłośni, korzystając ze swoich kontaktów.

– *No problem* – skwitował Tomasz po powrocie ze studia, w którym od wczesnego poranka odbywał próby. – Niczym się nie przejmuj, możesz

potraktować pobyt tutaj jak wycieczkę. Odpoczywaj!

Michalina nie miała jednak ochoty na londyńskie wakacje. Nie chciała też zamykać się w polskiej enklawie, wśród rodaków goniących za każdym funtem i szukających jakiegokolwiek zajęcia. Sam pobyt nad Tamizą nie niósł za sobą dużego finansowego obciążenia – mieszkali przecież w apartamencie wynajętym przez wytwórnę Tomasza. Koszty jedzenia, biletów wstępu do muzeów czy innych zwyczajnych wydatków mieściły się w zakresie jej możliwości. Poza tym i tak większość zakupów robiła Kaśka, z wdziękiem wcielając się w rolę gospodyni ich małego brytyjskiego królestwa. Co dwa tygodnie latała na chwilę do Łodzi, by przypilnować spraw w aptece. Zgodnie orzekli już na samym początku, że nie będzie przywoziła z kraju żadnych zapasów. Chcieli skupić się na poznawaniu smaków Wysp, podpatrując, co kupują i czym żywią się rdzenni Anglicy. Dzielnie trwali przy tym postanowieniu, choć *fish & chips* mieli dosyć już po tygodniu. Niestety, nie udało im się znaleźć lokalu, w którym tę tradycyjną brytyjską potrawę serwowano by zawiniętą w gazetę.

– Nic z tego nie rozumiem! – skwitował Tomasz którąś z kolei próbę. – Wszędzie piszą, że z gazety smakują najlepiej! Tylko gdzie to kupić?

Podczas jednej z takich kulinarnych wypraw Michalina poznała Iana. Nie chciała jeszcze wracać do domu, a kiedy Tomasz zaproponował na resztę wieczoru kino i komedię romantyczną, odmówiła i niemal siłą zmusiła jego i matkę, by poszli sami. I tak czuła się trochę piątym kołem u wozu, a seniorzy przez jej obecność za mało czasu spędzali tylko we dwoje.

– Posiedzę tu jeszcze chwilę, a później spacerem przejdę do domu. – Ruchem ręki dała znać, że ich namowy na zmianę decyzji nie zdadzą się na nic. – Bawcie się dobrze.

Przyglądała im się, kiedy odchodzili objęci i najwyraźniej zadowoleni z takiego obrotu spraw. Matka, choć miała już swoje lata, wciąż wzbudzała zainteresowanie mężczyzn, Michalina naliczyła przynajmniej trzy głowy odwracające się w kierunku przechodzącej Polki. Z dumą się jej przyglądała, zastanawiając się, czy w jej wieku ona również zachowa tyle kobiecego uroku. Kaśce służył związek z Tomaszem, to było widać na każdym kroku. Kochała i czuła się kochana, a ten stan przekładał się na jej wygląd. Od kilku miesięcy promieniała, co córka przyjmowała z zadowoleniem, kibicując ich związkowi.

– Mama ma kogoś! – Kiedy poznała Tomasza, nie mogła się oprzeć pokusie i natychmiast zadzwoniła do ojca. Kosma Makarski uczestniczył właśnie w nudnej wywiadówce Halszki i Różanki, więc ten telefon odebrał z wyraźną wdzięcznością. Dla zachowania pozorów rozłożył ręce w przepraszającym geście i z miną mówiącą: „Świat się zawali, jeśli nie odbiorę”, wyszedł na korytarz.

– Co ty gadasz? Nic nie mówiła! – odparł zaskoczony.

– Świeża historia, ale bardzo rozwojowa – opowiadała z przejęciem. – Cieszysz się?

– Bardzo, muszę koniecznie z nią porozmawiać. Kto to jest?

– Taka młoda nauczycielka francuskiego, poznały się na przeglądzie filmów Jean-Jacques’a Annauda...

– Co ty wygadujesz, Miśka? – Zdumienie Kosmy było niemal namacalne. – Matka nigdy nie lubiła filmów Annauda.

– Myślałam, że bardziej zaskoczy cię to, że spotyka się z kobietą!

– A spotyka?

– No nie, taki żarcik...

– Znam twoją mamę lepiej niż siebie samego i wiem, że nigdy, ale to nigdy nie poszłaby na przegląd francuskich filmów. Ale już co do wyboru partnerów, to poza mówiącym te słowa wyjątkiem nie trafiała za dobrze – odparł ze śmiechem.

– Teraz chyba będzie inaczej, niemądry ojciec. – Michalina spoważniała. Naprawdę głęboko wierzyła, że jej matce przytrafiła się nie zwyczajna przygoda, ale coś dużo wartościowszego. – To Tomasz Walicki.

– Znam to nazwisko!

– No rejczel! – wymówiła to niemal z dumą, jakby sama się z nim umawiała.

– Koleżka od saksofonu? – Kosma po raz kolejny w tej rozmowie nie krył zaskoczenia.

– Tenże sam!

– Świat jest taki mały... – Makarski podrapał się po głowie, przypominając sobie fakty z przeszłości. – Robiłem z nim kiedyś wywiad, jeszcze w radiu. Dobry muzyk.

– I dobry facet, jeśli wiesz, co mam na myśli. – W głosie Michaliny słyszeć

było filuterność.

– Jeśli chcesz się podzielić refleksją o dmuchaniu, dobrej pracy ust i tym podobnych walorach, to z szacunku dla twojej matki chyba rozłączę się szybciej, niż planowałem.

– Ty naprawdę jesteś niemądrym ojcem – odparowała Makarska. – Miałam na myśli, że to dobry, opiekuńczy i czuły facet. Tak o nim mówi mama, a w naszej rozmowie nie musimy wspominać o ustnikach.

– Musiałem cię źle zrozumieć. – Kosma odsunął telefon od ucha i spojrzał na wyświetlacz. Rozmowa trwała już kilka minut, powinien wracać do sali. – Córeczko, będę jednak kończył, bo w zasadzie to jestem na wywiadówce.

– O, nie wiedziałam. Uczą się? – spytała, mając na myśli szkolne postępy Halszki i Różanki.

– Chyba tak, nie słyszę skarg.

– Pozdrów je ode mnie, paaa! – Przerwała połączenie.

Od tej rozmowy upłynęło już kilka lat; w tym czasie obaj panowie zdążyli się nie tylko poznać bliżej, ale i polubić. Walicki na żywo nie różnił się od tego opisywanego przez Michalinę. Był ciepłym i serdecznym mężczyzną. Dbał o Kaśkę; kiedy tylko chciała, zabierał ją w ciekawe miejsca, w których przyszło mu koncertować. Zwiedzili w ten sposób sporą część Europy, trochę Stanów, a nawet odległą Australię. Tomasz sporo pracował, co wiązało się z dużym obciążeniem dla jego organizmu, dlatego wolne chwile wolał spędzać w kompletnej ciszy, najchętniej z wędką w ręce. Nic dziwnego, że mazurskie okolice przy „Kosmo-domie” upodobał sobie szczególnie. Przyjeżdżali tam z Kaśką regularnie, ku uciesze całej rodziny Makarskich. Pomysłodawcy tego miejsca zawsze chcieli, by stodoła była dla wszystkich bezpiecznym, pożądanym azylem.

W smutku można doszukać się rzeczy pięknych i wartościowych, wystarczy obudzić w sobie wrażliwość. Michalina stała się królową smutnych piosenek i wspomnień. Tamtego dnia siedziała, sącząc sok przez słomkę, pogrążona w swoich myślach. Kaśka z Tomaszem dawno zniknęli w barwnym tłumie i mogła się założyć, że wcale nie poszli do kina. Ona sama od kilku dni miała

gorszy nastrój, a słaby start w Polskim Radiu Londyn nie poprawiał jej humoru. Przyglądała się parom przy sąsiednich stolikach. Trzy wolne krzeselka przy jej stole wyraźnie odznaczały się w wypełnionym klientami wnętrzu. I choć nikt nie zwracał na nią uwagi, to miała wrażenie, że jest obserwowana. Mimo to zaskoczyło ją, kiedy do jej stolika podszedł obcy mężczyzna i o coś zapytał. Powrót do rzeczywistości zajął jej kilka sekund, podczas których facet uważnie się jej przyglądał.

– Pytałem, czy wszystko w porządku – odezwał się ponownie, a ona w odpowiedzi uśmiechnęła się, bo gość wyglądał na przejętego. Miał na sobie ciemne spodnie i białą koszulę, do której na wysokości piersi przypięta była tabliczka z imieniem. Ian. Menadżer. Restauracja. Przypomniała sobie, gdzie się znajduje.

– Tak, wszystko w porządku. Dziękuję, po prostu się zamyśliłam. – Starła się mówić swobodnie. Gość z obsługi powinien w tym momencie stracić zainteresowanie, jednak Ian trwał na posterunku, gotowy do niesienia pomocy.

– Nie widziałem cię tu wcześniej. – Trochę zapytał, trochę stwierdził, dając jej szansę na zakończenie lub podtrzymanie rozmowy. Szybko to wyłapała, więc nie namyślała się zbyt długo z odpowiedzią. Ten chłopak spodobał jej się od razu, choć przecież ich znajomość trwała góra trzydzieści sekund. Nie chciała jej kończyć zwyczajowym *thank you*, po którym kelner musiałby odejść. Miał w oczach sporo błękitu, który tak lubiła. Obietnicę czegoś interesującego.

– Tak, jestem tu pierwszy raz. Ale przecież nie o to chciałeś zapytać, prawda?

– Masz rację, mam tych pytań więcej. – Zaśmiał się cicho, dyskretnie zerkając na zegarek. – Ale teraz jestem w pracy, więc...

– Jeszcze się nie znamy, a już muszę na ciebie czekać? – przerwała mu, przejmując inicjatywę. – Jak długo?

– Do siódmej, później przychodzi zmiana. To niecała godzina, proszę!

– *Okay*, tylko się nie spóźnij! – zażartowała.

– Nie mam daleko, więc powinno się udać – odpowiedział i znów się uśmiechnął. – Podać ci coś jeszcze?

Odmówiła, a on wrócił na swój posterunek, po drodze zamieniając słowo z kimś z obsługi. Przyglądała mu się, co jakiś czas wyłapując i jego spojrzenia. Kilka minut przed umówioną godziną chciała uregulować rachunek, ale kelner

nie przyjął od niej pieniędzy. Uśmiechnęła się i wyszła na ulicę. Chłopak pojawił się tam zaraz za nią.

– Mam na imię Ian. – Podał jej rękę i spojrzał na nią pytająco.

– Michalina.

– Przepraszam, jak? Jesteś Polką?

– Michalina! – Puściła jego dłoń i ruszyła przed siebie. – Tak, jestem Polką, a ty w moim kraju byłbyś Jankiem.

– Nie uwierzysz, ale mój pradziadek wyjechał z Polski jako bardzo młody chłopak, walczył tu jako lotnik i po wojnie został w Szkocji.

– Panie losie, prosiłam! Prosiłam o nie-Polaka... – powiedziała po polsku i westchnęła.

– Nie rozumiem, o czym mówisz. – Ian bezradnie rozłożył ręce.

– To może i lepiej. – Michalina pomyślała, że chyba za wcześnie, by zaznajamiać go z twórczością Mikromusic, a już na pewno z własnymi pragnieniami. Ian jednak najwyraźniej się rozkręcał.

– Mama mnie trochę uczyła, tyle że to trudne było. Sporo rozumiałem jako dziecko, ale teraz... Umiem mówić „pirogi”, „bendzie dobszy” i „o ku...”

– Wystarczy! – przerwała mu, domyślając się, że opanował również i przerywnik tak często używany w kraju nad Wisłą.

– Coś nie tak? – Wystraszył się, że sprawił jej przykrość.

– Nie, jest w porządku! – Michalina lekko pchnęła go w bok, wracając do spaceru. – Myślę, że z takim zasobem słów bez problemu poradzisz sobie w budowlance. Kiedy już znudzi ci się gastronomia, włącz Polskie Radio Londyn! Znajdziesz robotę w pół godziny.

Spędzili razem cały wieczór, a przez kilka kolejnych dni Michalina walczyła ze sobą i swoim wewnętrznym przekonaniem, że wszystko idzie za dobrze. Ian ujął ją nie tylko błękitem oczu, ale i otwartością, z jaką odbierał świat. Zaoferował swoją pomoc w znalezieniu jej pracy, przede wszystkim zaś zaraził ją swoim pozytywnym nastawieniem. I to na tyle skutecznie, że kiedy Tomasz z jej matką szykowali się do powrotu do kraju, ona postanowiła zostać w Londynie.

– Będziesz tu sama; jesteś pewna, że to dobra decyzja? – Kaśka martwiła się po matczynemu. Stały przed wejściem do budynku lotniskowej poczekalni, obie

dziwnie spięte, jakby widziały się po raz pierwszy. To pytanie w różnej formie padało już kilkakrotnie, za każdym razem dziewczyna odpowiadała w ten sam sposób:

– A czy ktoś może to powiedzieć z całkowitą pewnością?

Tomasz przyglądał im się z boku, nie wtrącając się do rozmowy matki z córką. Jeszcze przed wyjściem z mieszkania przekazał Michalinie numery telefonów swoich londyńskich znajomych, z informacją, że w razie potrzeby znajdzie u nich pomoc.

– Jakiej potrzeby? – zapytała przekornie.

– Jakiegokolwiek. Po prostu o tym pamiętaj – odpowiedział. – Ani twój ojciec, ani my nie zdołamy dolecieć tu na zawołanie. Na tych ludzi możesz liczyć.

– Dziękuję! – Cmoknęła go w policzek. – Dbaj o mamę i o siebie.

– Będę! Zbierajmy się lepiej.

Od tego zdarzenia wszystko zaczęło dziać się szybciej. Ian rzeczywiście wywiązał się z obietnicy i wiedząc, że Makarska studiowała w szkole muzycznej, podsunął jej kandydaturę jednemu ze stałych klientów restauracji, której był menadżerem. Prywatne przedszkole poszukiwało osoby, która poprowadziłaby zajęcia z maluchami. Zgodnie uznali, że na początek to całkiem ciekawa oferta, tym bardziej że Michalina mogła podjąć się pracy od zaraz, bez specjalnych przygotowań. I mimo wszystko zajęcie było ciekawsze od wykonywanego przez kilka dni w polonijnej rozgłośni. Natychmiast więc umówiła się na rozmowę kwalifikacyjną, wcześniej wypytawszy Izę o jej pracę z dziećmi. Sama nie miała w tym zakresie dużego doświadczenia, nie licząc oczywiście okazjonalnych lekcji, jakich udzielała Halszce i Różance, wiedziała jednak, że sobie poradzi, a uzbrojona w podpowiedzi od Izy czuła się zmotywowana i gotowa do nowego zajęcia.

Nie wprowadziła się do Iana, nie chciała niczego przyspieszać, przekonana o tym, że niektóre rzeczy powinny układać się w swoim tempie. Może i miałyby na to ochotę, ale uległa stanowczym namowom zarówno matki, jak i ojca i poszukała własnego mieszkania. Kosma zadeklarował się zresztą, że pokryje koszt wynajęcia lokum, przynajmniej na początku, dopóki ona sama nie okrzepnie finansowo.

Mógł zapewnić córce taką pomoc bez szczególnego uszczerbku dla

domowego budżetu swojego i trzech kobiet, z którymi dzielił dach nad głową. Z uwagi na stan zdrowia Iza błyskawicznie, choć nie bez żalu, zrezygnowała z kosztownego hobby, jakim było pilotowanie samolotów. Całą energię przełalała na ich małe ślimacze królestwo, wyręczając Kosmę przede wszystkim w pracach biurowych i panowaniu nad papierologią. Tworzyli naprawdę zgrany zespół, a ich wysiłek przekładał się na wymierny efekt finansowy. Trwało to przez lata, zapewniając bezpieczny dochód im, Jakubowiczom w Boćkach i nawet Vincentowi, kuzynowi Kosmy, który z powodzeniem wcielał się w rolę pośrednika, sprzedając ich towar. Przez długi czas eksportowali Helix aspersa do różnych miast, malowniczo położonych nie tylko nad Loarą. I pewnie robiliby to nadal, gdyby nie dwa sezony gorszych zbiorów, które skutecznie wykosiły ich z wymagającego rynku. Ten nie znosił bowiem próżni, a podniebienia francuskich smakoszy nie tolerowały braku ulubionej przekąski. Susza, choroba i szkodniki skutecznie zatrzymały dobrze kręcący się biznes, którego odtworzenie po dwóch latach miało się z celem. W miejsce ślimaków od Kosmy i Huberta pojawiły się natychmiast takie same z Czech i Węgier.

– Wykosili nas, dasz wiarę? – Hubert właśnie odebrał kolejnego maila z odmową zakontraktowania plonów w nadchodzącym sezonie. Na dobrą sprawę ich oferta przypominała kolosa na glinianych nogach: na papierze wszystko wyglądało świetnie, ale w praktyce mogło być inaczej. Wciąż nie byli pewni, co przyniesie tegoroczny zbiór. – Co robimy?

– Może pora skończyć tę przygodę? – Kosma był wyraźnie zniechęcony. Miał po dziurki w nosie nieprzespanych nocy, podczas których zamartwiał się o los małych żyjatek i związany z tym dochód albo wizję poważnej straty. – Potrzebuję przerwy, chcę wrócić do korzeni. A o ciebie nie martwię się wcale, masz tyle krów i ziemi, że starczy ci na bułkę z masłem.

– Co racja, to racja – przyznał Jakubowicz. – Ale mimo wszystko trochę mi żal. Tyle przy tym przeszliśmy...

Kosma milcząco zgodził się z przyjacielem. Po zdewastowanych budynkach dawnego ośrodka PGR w Boćkach nie było już śladu. Hubert z Agatą kupili podupadłe gospodarstwo z myślą o założeniu hodowli bydła. Przez kilka kolejnych lat systematycznie odnawiali to, co nadawało się do użytku, bez żalu rozstając się z pozostałymi ruderami. Ludzie z pobliskiej wsi pukali się w czoło,

nie mogąc się nadziwić miastowym, że „takie są głupie” – zapłacili kasę, by zburzyć to, co stało tu od zawsze. Jakubowiczowie mieli jednak plan; rozpoczęli gospodarowanie od szybko rozrastającego się stada krów holenderskich. Niedługo po tym przyszła kolej na ślimaki. A teraz? Kosma był pewien, jego znajomi wymyślą coś nowego, to przecież jasne! On sam był w stanie utrzymać rodzinę, odcinając kupony od dobrego kontraktu, jaki przed laty podpisał z twórcami gier komputerowych z Warszawy. Firma pięła się do góry, a gry, do których używał głosu jako lektor, sprzedawały się znakomicie. Raz w roku Makarski zasiadał przed studyjnym mikrofonem, nagrywając kolejne partie materiału, a rynek jak dotąd nie mógł się nasycić. Od czasu do czasu, kiedy telewizja potrzebowała dojrzałego, męskiego głosu lektorskiego, podkładał też odpowiednie partie do nowych produkcji telewizyjnych. Robił to już tylko dla pieniędzy; brakowało mu przypadkowych spotkań z Edmundem Kiszczakiem. Jego dawny szef, a w zasadzie bardziej przyjaciel, odszedł z NTV, ustępując miejsca młodszemu pokoleniu dziennikarzy. Dlatego Kosma pojawiał się tam bez specjalnego przekonania, choć jego niechęć niwelowały słusznej wysokości przelewy. Właśnie dzięki nim mógł zaopiekować się najstarszą córką, mimo że w głębi duszy wolałby mieć ją przy sobie.

– Nie chcę słyszeć zwyczajowego pieprzenia o dorosłości czy tym podobnych bredni! – wykrzyczał do słuchawki, kiedy próbowała przekonać go, że nie ma potrzeby, że nie musi jej pomagać. – Masz ochotę bawić się w miłość w Londynie, proszę bardzo.

– Tato... – zaprotestowała.

– Srato! Nie mam zamiaru zamartwiać się każdego dnia, czy wszystko u ciebie w porządku. Będziesz mieszkała w swoim domu, a Janek może do ciebie dołączyć. – Jego ton balansował na granicy perswazji i niezgody na sprzeciw. – Coś ci się odwidzi, pokłóćcie się i co, zostaniesz na lodzie?

– Dobrze, już rozumiem.

– Zadziwiające jest to, że dobrze czujesz się z kimś, kogo ledwo znasz.

– Też mnie to dziwi. Może przyjedziesz tu i sam się przekonasz, jaki jest?

– A żebyś wiedziała. Przyjadę i prześwietlę tego Szkota. Co z robotą? – zaatakował z innej strony.

– Pracuję z dziećmi, uczę rytmiki, całkiem dobrze płacą.

– Córko, nie chcę powiedzieć kilku słów za dużo, ale kończyłaś z wyróżnieniem łódzką Akademię Muzyczną i jesteś jednym z niewielu dyrygentów w tym kraju. – Przerwał, by zaczerpnąć powietrza lub zrewidować to, co chciał powiedzieć. Stawiała na to drugie. – Pojechałaś tam uczyć gówniarzy tupać do rytmu?

– Ale w domu też nie pracowałam w zawodzie! – odburknęła.

– Bo nie chciałaś i miałaś świetną alternatywę – odparował Makarski. – Będę cię wspierał, ale chciałbym, żebyś postępowała mądrze.

– Tak właśnie robię.

– Nie, stawiasz wszystko na jedną kartę, choć w ogóle nie musisz tego robić.

– Może właśnie powinnam to zrobić dawno temu? – zapytała podniesionym głosem. – Spójrz na to z innej strony, może to dla mnie jakaś szansa na coś więcej niż ciągłe szukanie?

– Bardzo bym tego chciał – odezwał się po krótkim wahaniu. – Tak samo jak bardzo bym chciał, żebyś tego nie musiała żałować.

Miał ochotę głośno zakląć po zakończeniu tej rozmowy, zaraz później zadzwonić z pretensjami do byłej żony, a przede wszystkim lecieć, najlepiej jeszcze tego samego dnia, do Londynu. Iza, która była niemym świadkiem jego kłótni z córką, objęła go mocno i spróbowała uspokoić.

– Ona jest dorosłą kobietą, nie przeżyjesz życia za nią.

– Ale zachowuje się jak nastolatka! – warknął.

– Kosma, ona się zakochała. Pamiętasz, co się wtedy czuje? – Spojrzała na niego, obserwując, jak potulnieje pod wpływem tego argumentu. Uśmiechnął się do niej i pokiwał głową. Tak, pamiętał. Tylko jak niby miałyby to uspić jego obawy?

Te kilka tygodni po wyjeździe matki i Walickiego przeleciały jej tak szybko, że na dobrą sprawę nie byłaby w stanie o nich opowiedzieć. Bez trudu znalazła nowy kąt w bliskim sąsiedztwie mieszkania zajmowanego na czas kontraktu Tomasza. O ile jednak tam było cicho, a nawet nudno, tu życie toczyło się na pełnych obrotach. Piętro wyżej mieszkała liczna pakistańska rodzina, zaraz obok ulokowały się trzy sympatyczne, ale głośne nastolatki z Węgier, a na parterze

rezydował Amerykanin, który przedstawił się jej jako Ben i był pisarzem. A w zasadzie usiłował być, bo jak na razie żaden z szanujących się amerykańskich wydawców nie zdecydował się na wydanie jego powieści.

– Dlatego przyjechałem tutaj, bo w tym kraju znają się na literaturze! – wyjaśnił jej, kiedy pozdrowiła go, wchodząc do budynku.

Ben był nadzwyczaj towarzyski i skory do zawierania nowych znajomości. Nie pracował, korzystając z pieniędzy bogatych rodziców, którzy najwyraźniej bez wahania spełniali zachcianki syna. Miał dużo wolnego czasu, który wykorzystywał na obserwacje. I jak twierdził – na pisanie bestsellera. Dodatkowo był gejem, o czym poinformował ją już podczas pierwszej rozmowy. Michalina lubiła przysiądać z nim na schodach przed wejściem, kiedy wracała po pracy. Ben nawijał bez przerwy, a ona odprężała się, słuchając jego opowieści o sąsiadach i relacji z tego, co wydarzyło się w okolicy od rana. Ian odwiedzał ją regularnie, ona też kilka razy zapuściła się daleko na wschód Londynu, gdzie mieszkał. Wynajmował lokum tej samej wielkości, urządzone trochę po studencku. Widać było, że lokator lubi przyjmować gości, a oni z kolei lubią zabawę. Michalina wypomniała mu to nawet, ale zbył jej uwagę wzruszeniem ramion.

– Och, daj spokój, to nic wielkiego! – odpowiedział z uśmiechem. – Zresztą skończyłem z imprezami.

Któregoś razu, korzystając z weekendu, zabrała go do Polski. Domagał się tego ojciec, ale i ona sama stęskniła się już za rodzicami. Przy okazji sprawy między nią a Ianem robiły się na tyle poważne, że poznanie bliskich wydawało się czymś naturalnym. Wylecieli w piątek po pracy, przeznaczając całą sobotę na Mazury. Niedzielę spędzili w Łodzi, skąd mieli wrócić wieczornym połączeniem. Kosma podczas ich pobytu nie spuszczał chłopaka z oczu, czym wzbudzał wesołość u Izy i reszty domowników. A także samego Szkota.

– Zachowywałeś się jak Pawlak w tej starej komedii, tata – zauważyła Michalina, kiedy żegnali się przed domem. – Dobrze, że nam drzwi w pokoju nie przyszedłeś naprawiać.

– Strzeżonego pan Bóg strzeże, córko! – Kosma swoje wiedział i łatwo zdania nie zmieniał. – Jesteś na drugim końcu świata z człowiekiem, którego dziadek zasował w spódnicze.

– Nie na drugim końcu, tylko kilkadziesiąt minut lotu z Łodzi. A jego pradziadek to prędzej zbierał maślaki w polskich lasach i zadzierał spódniczki dziewczuchom po wsiach, niż sam je wkładał.

– Ja tam swoje wiem! – Siła jej argumentów najwyraźniej nie podziałała na ojca, chociaż Makarski chyba jednak się wahał. – Ale nie przejmuj się starym, tylko ciesz się życiem. I następnym razem przywieź mi wnuka.

– Wnuka? – nie zrozumiała.

– Najprawdziwszego, w krótkich spodniach i z pistolecikiem, mam dosyć tego babińca wokół – powiedział z uśmiechem i pocałował ją w czoło, po czym odwrócił się w stronę Iana. – *Good luck*, Janek. Bądź dżentelmenem!

Mniej więcej to samo przykazanie Ian Thorpe odebrał w Łodzi, choć Kaśka dorzuciła jeszcze słabo zawoalowaną groźbę dotyczącą tego, co mu obetnie, jeśli jej córka zacznie narzekać na partnera. Podczas powrotu do Londynu wyglądał więc na nieco wystraszonego.

– Boisz się? – Michalina obserwowała go z kpiącym wyrazem twarzy.

– A tak wyglądam? – odpowiedział pytaniem na pytanie. – Nie boję się, ale właśnie zdałem sobie sprawę, że robi się poważnie.

– Żebyś wiedział, chłopaku! – przytaknęła. Nie odezwał się, więc przysunęła się do okienka. Przez mały otwór widać było oddalające się lotnisko w Łodzi. Nie wiedziała, że upłynie pięć lat, nim wróci tu na dobre.

O tym, że jest w ciąży, dowiedziała się bardzo wcześnie. Od zawsze była wyczulona na to, co mówił jej organizm. Kiedy więc Ian zarzucił jej, że jest „trochę drażliwa”, a piersi zaczęły ją boleć przy najmniejszym ucisku, postanowiła kupić test. Nudności, z którymi zmagала się rano, tylko ją w tym zamiarze utwierdziły. Wynik badania nie był dla niej zaskoczeniem, okres jej się nie spóźnił, jak początkowo myślała, ale wcale nie miał zamiaru się pojawić. Nie wiedziała, jak zareagować na ten fakt – nie planowała ani dziecka, ani małżeństwa i całej reszty towarzyszących tym zmianom wydarzeń. Choć nie miała zamiaru z tego powodu rozpaczać. W Polsce czekało na nią komfortowe mieszkanie, miała solidne wykształcenie i całkiem rozsądne perspektywy pracy, nawet wliczając w to przymusową przerwę spowodowaną jej błogosławionym

stanem i ewentualną opieką nad maluchem. W Anglii też jej się podobało i układało na tyle, by poważnie myśleć o wychowaniu dziecka w Londynie. Z pewnością mogłaby liczyć na pomoc rodziców i przyjaciół, których zdołała poznać podczas pobytu nad Tamizą.

Jedyna niewiadoma związana była z ojcem dziecka. Nie chodziło oczywiście o ustalenie ojcostwa, bo tego była pewna na milion procent, ale o jego reakcję. Ten temat nie pojawił się w ich rozmowach ani razu. Mówili o wspólnej, ale wyłącznie nieodległej przyszłości, tak poważna deklaracja nie padła ani z jej ust, ani od Iana. Zaskakujące, że te wszystkie myśli przyszły jej do głowy w ciągu tych kilkunastu sekund, kiedy wpatrywała się w plastikowy patyczek z małym ekranikiem pośrodku. Wynik testu mógł być co prawda błędny, o czym producent informował na opakowaniu, ale wiedziała, że w tym przypadku nie ma mowy o jakiegokolwiek pomyśle.

Jestem w ciąży jak jasna cholera, pomyślała, podnosząc się z sedesu.

Przestronna kabina toalety w przedszkolu, w którym pracowała, zdała jej się dziwnie mała. Zapięła guzik spodni i doprowadziła garderobę do porządku. Myjąc ręce, przyglądała się sobie w lustrze, powtarzając raz za razem: będę mamą. W tym momencie podjęła decyzję, że niezależnie od tego, co powie Ian, urodzi to dziecko. Da sobie radę!

– Dasz sobie radę – powiedział Ian chwilę po tym, kiedy na przekazaną nowinę zaproponował wizytę w klinice aborcyjnej, aby uporać się z kłopotem. – To prosty zabieg, jak mniemam.

– Nie rozumiem? – Naprawdę miała wrażenie, że mówi do niej w jakimś nieznanym języku. Nie takiej odpowiedzi się spodziewała. Oczekiwała wsparcia, może nawet gratulacji, ale nie cholernej wskazówki, jak „rozwiązać problem”.

– Co tu jest do rozumienia, skarbie? – Stał na wprost niej, ale widząc jej minę, przezornie cofnął się o kilkanaście centymetrów. – Nie jestem gotów na dziecko.

– Odejdź – powiedziała cicho i otworzyła drzwi. Z korytarza dobiegł gwar pakistańskiej rodziny, która zwoływała się na kolację. Ona też poczuła, że jest głodna, więc kiedy bez słowa wyszedł, pobiegła do kuchni. Usiadła przy stole i sięgnęła po biszkopty, które od kilku dni miała stale pod ręką. Krusząc jeden po drugim, płakała pochylona, aż w pudełku nie zostało ani jedno całe ciastko.

Po tej rozmowie miała kilka refleksji. Zdumiało ją, że podjął decyzję o losie ich dziecka szybciej, niż zamawiał ulubione danie w restauracji. Wiedziała też, że już nigdy nikomu nie pozwoli powiedzieć do siebie: „Skarbie”. Wzięła do ręki telefon i wykasowała numer Iana. Zdawała sobie sprawę, że działa pochopnie, za szybko, nierozważnie. Że on może i miał prawo tak zareagować, przecież nie umawiali się na coś takiego. Może...

Nie chciała wnikać w powody jego decyzji. Od swojego faceta oczekiwała wsparcia i wiary w to, że razem mogą wszystko. Do tego przyzwyczaił ją Jaromir. Przy nim takie rzeczy nie miałyby prawa się wydarzyć.

Westchnęła i wyszukała w telefonie numer, który przed wyjazdem zostawił jej Tomasz Walicki. Para jego zaufanych przyjaciół mieszkała w Anglii od lat, Michalina zadzwoniła do nich grzecznościowo zaraz po otrzymaniu namiarów, przedstawiła się i raz nawet spotkała się z nimi na zwyczajowej herbacie. Sylwia i Robert wiedli spokojne, mieszczańskie życie i deklarowali jej każdą pomoc w nagłych wypadkach.

– Dzwon, jeśli zajdzie potrzeba – zachęcała Sylwia, dolewając z czajniczka świeżo zaparzoną earl grey. – Jeśli trzeba będzie przewieźć kanapę, posiedzieć z psem czy podrzucić cię na lotnisko, jesteśmy do usług.

Nie zamierzała wtedy wykorzystywać Kubiaków i narzucać im się ze swoimi problemami, ale teraz sytuacja wyglądała już zupełnie inaczej. Poza tym to nie był żaden problem, który wymagałby ich interwencji, tylko zwykła prośba o poradę. Nacisnęła przycisk i chwilę czekała na połączenie.

– Słucham – padło po drugiej stronie.

– Pani Sylwia? Tu Michalina Makarska, dzwonię z nietypową sprawą.

– Zamieniam się w słuch! – Kobieta najwyraźniej ucieszyła się z telefonu. – Co mogę dla ciebie zrobić?

– Potrzebuję dobrego lekarza, położnika. Na pewno mają państwo wśród znajomych kogoś takiego! – Michalina była pewna, że tak właśnie jest, w końcu Kubiakowie mieszkali tu już ponad dziesięć lat, sami mieli dzieci. – Może pani kogoś polecić?

– Nie wiem, czy dobrze zrozumiałam, szukasz... sposobu na niechcianą ciążę?

– Nie, wręcz przeciwnie, szukam najlepszego lekarza dla swojego dziecka!

– Ufff! – Niemal słyszała, jak Kubiakowej spadł kamień z serca. – Znam kogoś odpowiedniego, o idealnym podejściu i delikatnych dłoniach. Może być Polak?

– Jasne! – Michalinie było wszystko jedno, lekarz miał być po prostu fachowcem.

– Doktor Wiliński, zaraz podeślę ci namiary. I wiesz co?

– Tak?

– Bardzo się cieszę! Pamiętaj, wszystko będzie dobrze!

Kiedy wspominała tę rozmowę po latach, nie mogła się nie uśmiechnąć, zaczęła nawet podejrzewać kobietę o zdolności profetyczne. Rzeczywiście, z ciążą wszystko ułożyło się dobrze. Dziecko rosło i rozwijało się w odpowiednim tempie, co potwierdzały regularne badania USG, na które jeździła z Sylwią. Z Benem uczęszczała na zajęcia w szkole rodzenia, choć miała obawy, czy rozgadany Amerykanin będzie w stanie skupić się na czas treningów. Śmiali się oboje, kiedy inni uczestnicy brali go za ojca dziecka, na szczęście uruchamiał wtedy swoją wyobraźnię i zdejmował z niej potrzebę tłumaczenia zawłości ich układu.

Ian przepadł, a ona nie próbowała go szukać. Dla niej ta historia była skończona.

– Nie ma cię – powiedziała, kasując z laptopa ostatnie wspólne zdjęcie, które gdzieś się zawieruszyło na pulpicie. Stali na nim objęci na Piotrkowskiej w Łodzi. Miała na sobie białe spodnie i zieloną bluzkę, Ian był w dżinsach i sportowej marynarce. Lubiła się w tym stroju. W rogu załapała się jeszcze uciekająca z kadru Kaśka, fotkę pstryknął Tomasz.

Stare dzieje, pomyślała.

Zadziwiające, ile siły odkryła w sobie w tej nowej sytuacji. Jakby do tej pory drzemała w niej uśpiona moc, zupełnie inna osoba, która teraz przejęła cały ciężar codziennych obowiązków, jej pozostawiając zmaganie się z rosnącym w niej dzieckiem.

Paradoksalnie najtrudniejsze przejścia miała z własnymi rodzicami. Solidarnie, i Kaśka, i Kosma, namawiali ją do natychmiastowego powrotu do kraju, obrazowo kreśląc niedogodności, z jakimi będzie musiała się zmagać jako samotna matka.

– A może on się opamięta? – zapytał któregoś razu ojciec, kiedy przyjechał ją odwiedzić i zorganizować kącik dla dziecka. – Córnka, nie powinnaś być tu sama.

– Nie chcę go tu za żadne skarby, nigdy – odpowiedziała stanowczo. – A na miesiąc przed porodem przyjedzie mama. Damy radę, ojciec.

Kosmie nie pozostało nic innego jak zakasać rękawy i z pomocą Huberta Jakubowicza uporać się z małym remontem. Nie skorzystali ze specjalistów reklamujących swoje usługi w Polskim Radiu Londyn, zdając się na własne siły i pomysłowość. Nie było to może najbardziej fachowe rozwiązanie, ale całej trójce dostarczyło dużo rozrywki. Michalina wolała mieć wszystko przygotowane zawnazu, więc odbyli kilka podróży do sklepu Baby Town po zestaw najpotrzebniejszych rozwiązań do pokoju malucha. Kiedy skończyli i wyjechali, była gotowa. Sylwia, z którą Michalina zaprzyjaźniła się dość szybko, dzielnie asystowała podczas badań i wizyt lekarskich, doktor Wiliński nie przewidywał komplikacji, a Ben znakomicie spisywał się w roli porodowego pomocnika, ćwicząc z nią wdech i wydech. Był nawet skłonny powiadomić rodziców o tym, że będzie miał dziecko, ale Michalina wybiła mu ten pomysł z głowy, tłumacząc, że najbliższym nie powinno się przekazywać takich informacji przez telefon. Zwłaszcza jeśli jego wybory dotychczasowych partnerów stały w skrajnej sprzeczności z informacją, jaką miał zamiar posłać za ocean.

Malcolm urodził się zdrowy. Jego głośny krzyk, kiedy zespół położniczy poddawał go standardowym procedurom, dodał jej takiej siły, że nie patrząc na ból i zmęczenie, gotowa była jeszcze tego samego dnia wrócić do swojego mieszkania. Ben zemdlął na samym początku, zresztą i tak niewielki był z niego pożytek. Kiedy tylko skurcze przybrały na sile i częstotliwości, jego dotychczasowa wiedza o prawidłowym oddychaniu poszła w kąt. Patrzył oniemiały na jej wykrzywioną w grymasie twarz i gubił się, odliczając sekundy.

– Może poskaczesz sobie na fistaszku? – Wskazał jej gumową piłkę, która w teorii miała pomóc w przyjęciu wygodniejszej pozycji. Kaśka, z trudem hamując śmiech, przyglądała się jego zabiegom z boku, przekazując relację Kosmie i Tomaszowi. Panowie grzecznie czekali w Polsce na rozwój wypadków. Kosma dopytywał tylko, jak będzie miał na imię jego wnuk.

– Fabian – zażartowała Kaśka.

– Jak? Pawian? – W słuchawce coś zatrzeszczało, nie był pewien, czy dobrze usłyszał. – Chcecie mi chłopaka nazwać Pawianem? To po szkocku?

– Zaraz was zabiję, zobaczycie! – krzyknęła Michalina i nacisnęła guzik przy łóżku, wzywając siostrę położną.

– Wszystko w porządku? – zapytała kobieta, pojawiając się w ich boksie po chwili.

– Sytuacja się rozwija... – zdołała wymamrotać.

– Pokaż! – zaordynowała siostra zdecydowanym głosem, po czym zbliżyła głowę do jej krocza. Ben odwrócił się zdegustowany. – Lada moment, masz już rozwarcie na osiem palców. Jedziemy na salę!

I wtedy właśnie Ben zemdłał, ale Michalina nawet tego nie zauważyła. Dopiero później, leżąc już z dzieckiem przy piersi, spostrzegła, że kogoś brakuje w tej układance.

– Widzisz, synuś – odezwała się szeptem. – Nigdy ich nie ma, kiedy są potrzebni.

Kaśka, obserwując szczęśliwą córkę, a zarazem świeżo upieczoną mamę, pokiwała głową, ale głośno dodała:

– Nie wszyscy, Miśka, nie wszyscy tacy są.

Ian nie szukał z nią kontaktu, tak jej się przynajmniej wydawało. Po latach dowiedziała się, że regularnie wypytywał jej szefa o nią i dziecko. Uprosił go o zachowanie dyskrecji i przekazywał pieniądze, które właściciel przedszkola wręczał jej pod pretekstem premii lub podwyżki. Ian stawiał tym statecznego Anglika w niezręcznej sytuacji. Szef męczył się, aż wreszcie, wiedziony nadzieją, że pomoże zwaśnionym stronom, opowiedział o wszystkim Michalinie.

Ta informacja była dla niej niemiłą niespodzianką. Do tej pory myślała, że jest po prostu dobrze wynagradzana za swoją pracę, a okazało się, że ma w tym udział ten dupek, jak go nazywała w myślach.

– Co za typ! – poskarżyła się Benowi, który z biegiem czasu awansował na jej najlepszą przyjaciółkę. – Nic od niego nie chcę!

– Ma prawo do obecności w życiu dziecka – odpowiedział nad wyraz dojrzałe sąsiad z parteru. – Jest jego ojcem, jeśli pójdzie do sądu, będziesz miała problem.

Ian daleki był od szukania rozwiązania przed obliczem sędziego, ale kiedy

jego finansowa pomoc została zdekonspirowana, zdecydowanie wymógł na niej możliwość widywania dziecka. Początkowo nie chciała się zgodzić, ale za namową matki przystała na odwiedziny. Ian mógł widywać się z synem w weekendy, u niej w mieszkaniu.

– Chłopak potrzebuje kontaktu z ojcem – przekonywał ją Ben. – Wiesz dobrze, że ja nie będę dla niego najlepszym wzorem. Zresztą wracam do Stanów.

– Kiedy? – zapytała zaskoczona, bo do tej pory nie wspomniał o tym pomysle.

– Za kilka miesięcy, może szybciej.

– Coś się stało?

– Rodzice się rozwodzą, to będzie wojna prawników.

– Przecież jesteś dorosły, co ci do tego? – Michalinę zdziwił fakt, że Ben aż tak przejął się sądową batalią z wielkim majątkiem w tle.

– Nie rozumiesz, ja chcę to opisać. To będzie bestseller, zobaczysz – zapewnił.

– Jesteś głupi, wiesz? Ale i tak cię lubię. – Położyła mu głowę na ramieniu i westchnęła. – Jeśli takie masz plany, to nic tu po mnie. Ja też wrócę do domu.

– Nie wiedziałem, jak ci o tym powiedzieć, przepraszam. – Ben wyraźnie posmutniał. – Mówiąc poważnie, muszę tam być, ojciec z matką gotowi się pozabijać.

– Może nie będzie tak źle – zauważyła. – Może oni się pogodzą i dopiero wtedy napiszesz tę książkę tak, jak trzeba?

Decyzja Bena, coraz częstsze wizyty Iana i nadwątlone zaufanie do pracodawcy poskutkowało tym, że zaczęła myśleć o wyjeździe z Anglii. Nie miała zamiaru uniemożliwiać synowi kontaktu z ojcem, ale nie chciała też temu ostatniemu czegokolwiek ułatwiać. W jej życiu był na kompletnym marginesie, ot, jeden z niewielu błędów, które popełniła. Dbała za to, by Malcolm był dzieckiem dwujęzycznym – w domu rozmawiała z nim wyłącznie po polsku. Chłopak radził sobie dość dobrze, choć zdecydowanie brakowało mu partnerów do konwersacji. Nie miała jednak obaw, czy odnajdzie się w nowym środowisku, tak odmiennym kulturowo od miejsca, w którym żył do tej pory. Za niedługo powinien pójść do szkoły, powrót do Polski teraz dałby mu czas niezbędny do aklimatyzacji i poprawy języka.

To jest chyba właściwy moment, pomyślała i znów sięgnęła po numer

zostawiony jej przez Tomasza Walickiego.

– Sylwia? Tym razem dzwonię do twojego męża. Będę potrzebowała pomocy przy przeprowadzce...

Siedziały na podłodze w przepastnym salonie loftu przy Tymienieckiego. Kiedy Michalina mieszkała tu z rodzicami, pomieszczenie wydawało jej się dużo mniejsze. Teraz, pozbawione większości mebli, pokazywało swój prawdziwy metraż i możliwości aranżacji. Dopiero przystępowała do urządzania go na nowo; choć od jej powrotu z Londynu minęło już kilka miesięcy, to musiała czekać, aż mieszkanie opuszczą najemcy. Zadomowiła się tutaj para fotografów i jej decyzję o rozwiązaniu umowy przyjęła z prawdziwym żalem. Mieli jednak prawo zostać tu jeszcze przez dziewięćdziesiąt dni, więc jej pozostało przytulić się kątem u matki. Teraz, kiedy nareszcie odzyskała klucze, mogła przystąpić do działania. Dziewczyny zastały ją nad kartką papieru, na której rozplanowywała nowy układ mebli w swojej sypialni i pokoju syna. Salon i kuchnia zostały na deser.

– Mantua jest piękna, ale w to jedno miejsce nie chcemy już wracać. Rozumiesz nas? – Różanka powtórzyła pytanie, bo Michalina, pogrążona w myślach, nie odpowiedziała od razu.

– Oczywiście, rozumiem. W Londynie też mam kilka miejsc, do których zaglądałam niechętnie. Ale to temat na inną opowieść.

Dziewczyny przyjechały do niej z obiecaną wizytą pełne wrażeń, którym kompletnie się nie dziwiła. Znała to miejsce z opowiadań ojca, w tajemnicy sama pojechała tam krótko po wypadku Matyldy, szukając podpowiedzi, pomysłu na to, jak mu pomóc. Mantua nie zdołała jej urzec, było na to za wcześnie, ale zarejestrowała wyjątkowy klimat tego miejsca. W pamięci miała jeszcze na świeżo widok zrozpaczonego Kosmy i swoje obawy o to, w jaki sposób rozpacz tę będzie kanalizował. Tłumił ból w sobie, więc nie myślała wtedy za bardzo o walorach architektury, to musiało zejść na dalszy plan. Wróciło dopiero dzięki opowieściom.

– I wiesz, oni tam żyją jakoś inaczej, tak bardziej wspólnie. – Halszka opowiadała z przejęciem. – Spotykają się wieczorami i jest wesoło.

– Rodzinnie – dopowiedziała druga z młodszych Makarskich, pokazując zdjęcia na telefonie.

– Dlatego macie plan... – zaczęła ostrożnie Michalina, domyślając się, że za wizytą tych dwóch nastolatków kryje się coś więcej niż tęsknota za nią i jej synem. – Co wymyśliłyście?

– Ale jak to? – odpowiedziały obydwie, spoglądając na siebie niepewnie. – Skąd wiedziałaś?

– Mamy wspólnego ojca, znam was! – Michalina roześmiała się w odpowiedzi.

– No to chciałybyśmy, żeby u nas było podobnie! I ty musisz nam w tym pomóc!

– Ale jak to? – Tym razem to Michalina nie kryła zaskoczenia.

– No bo posłuchaj, jest kilka miesięcy do Wigilii i gdyby tak...

Snuły swój plan z przejęciem. Michalina z aprobatą kiwała głową. To może się udać, pomyślała na końcu, to naprawdę może się udać!

[2] Mikromusic, *Takiego chłopaka* (sł. Natalia Grosiak).

Łabędź krzykliwy [*Cygnus cygnus*] zaczyna ekspansywnie zasiedlać północ Europy. Jeśli spodoba mu się jakieś miejsce, przepędza z niego inne osobniki swojego gatunku i zwyczajnie spuszcza im łomot. Jest bardzo skryty, ostrożny i... wierny.

Na podstawie opowieści ornitologa z Mazur, Szymona Czernka

„Łabędź jest powszechnie uznawany za przykład monogamicznej wierności aż po grób. Różnie to z wiernością u ptaków bywa, ale w tym akurat przypadku badania naukowe zdecydowanie potwierdzają obiegową opinię, że łabędzie łączą się w trwałe, dożgonne pary. W czasie wieloletnich badań nie stwierdzono ani jednego przypadku »rozvodu« wśród 500 par, które odnosiły sukces lęgowy. Spośród tych, którym się nie udawało wychować piskląt, »rozwiódło« się mniej niż 1%, a badana grupa ptaków nie była mała, bo stanowiła 1000 par. [...] W zasadzie nie odzywa się wcale często, ale nazwano go tak, aby odróżnić go od niemego, który rzeczywiście jest milczący. [...] Niemiecka nazwa – łabędź śpiewny – nawiązuje do znanej także u nas skandynawskiej legendy, według której łabędź przed śmiercią wykonuje swą jedyną pieśń. Stąd też pochodzi określenie »łabędzi śpiew«. Legenda wzięła się z obserwacji zjawiska, że nawet martwy łabędź krzykliwy, podnoszony przez myśliwego, wydaje z siebie głos. Jest za to odpowiedzialna specyficzna budowa aparatu głosowego, która sprawia, że w razie ucisku ciała powietrze przechodzi z worków powietrznych przez aparat głosowy zlokalizowany w miejscu, gdzie tchawica rozwidła się w oskrzela. [...]”

Andrzej G. Kruszewicz, *Ptaki Polski*

ROZDZIAŁ TRZECI

Kaśka

Obudziła się wcześniej niż zwykle, na długo przed natarczywym dźwiękiem budzika. Leżała w półmroku, przez kilka minut nasłuchując odgłosów z ulicy. Znudzona zerknęła na wyświetlacz sypialnianego czasomierza. 4.38. Wiedziała, że już nie uda jej się zasnąć, choć mogła zostać w łóżku jeszcze przynajmniej dwie godziny. Odrzuciła kołdrę i ugięła nogi w kolanach. Zrobiła kilka prostych ćwiczeń; starała się wykonywać je regularnie, każdego dnia poświęcała na to kwadrans. Dzięki temu, no może też i odpowiedniej diecie, jędrnego pięćdziesięcioletniego ciała mogły jej pozazdrościć dużo młodsze kobiety. I zapewne zazdrościły, choć to ona, Katarzyna Makarska, zasypiała w pustym łóżku, z niespełnionym od dawna pragnieniem oddania swoich idealnie wyrzeźbionych ud w mocne, męskie ręce.

– To się wkrótce zmieni! – odezwała się, a stanowczość tej deklaracji zaskoczyła ją samą.

Przez resztę poranka snuła się po mieszkaniu, zastanawiając się, co zrobić z tak bezsensownie wcześniej rozpoczętym dniem. Przez kilka minut przeglądała zawartość szafy, solennie obiecując sobie zakupy, najlepiej w towarzystwie Michaliny. Córka nie wdała się w ojca i nie przywiązywała aż takiej wagi do garderoby, ale jako shoppingowe towarzystwo sprawdzała się znakomicie. Kaśka z rozrzewnieniem wspomniała czas, w którym po zakupy odzieżowe wołała udać się z mężem niż z najlepszą nawet przyjaciółką. Kosma potrafił doradzić i doskonale wiedziała, że na jego opinii mogła polegać w ciemno.

Rozwód niewiele w tej relacji zmienił – choć okazji do zakupów mieli już zdecydowanie mniej, wciąż liczyła się z jego zdaniem.

– Powinam do drania zadzwonić, ma dziś urodziny. – Odnotowała w pamięci ten fakt, uruchamiając jednocześnie ekspres do kawy. Zabawne, jak mocno wrastają w nas niektóre daty, pomyślała, pijąc gorący napój małymi łykami. – Zadzwonię do niego wieczorem.

W pracy pojawiła się dla odmiany jako ostatnia, cały personel apteki był już na miejscu. Któraś z dziewczyn przyniosła domowe ciasto, zapach drożdżowca z rabarbarem szybko wypełnił pokój socjalny, w którym wydzielona była całkiem przyjemna jadalnia. Przez chwilę pożartowała z nimi, po czym przeszła do części handlowej sprawdzić, czy wszystko jest przygotowane do przyjęcia klientów. Nie spodziewała się dziś wielkiego ruchu, był środek tygodnia, szykował się kolejny nudny dzień. A może nie?

– Otwieramy? – zapytała Baśka, najstarsza stażem farmaceutka, stając przy niej. Katarzyna spojrzała na zegarek i pokiwała głową z aprobatą.

– Możemy zaczynać, witaminy się same nie sprzedadzą.

Nie miała racji, wieszcząc mały ruch, do południa przez aptekę przewinął się prawdziwy tłum chorych, żadna z dziewczyn nie usiadła nawet na minutę. Idealna lokalizacja tuż przy dużej, specjalistycznej przychodni robiła swoje, zastępując najbardziej rozbudowaną kampanię reklamową. Tej miejscówki zazdrościły jej znajome z branży, a kilka sieciówek od lat ostrzyło sobie na nią zęby. Jak na razie bezskutecznie; Kaśka wiedziała, jak prowadzić ten biznes, i wszelkie zakusy konkurencji uciniała zawczasu. Przed 13.00 apteka opustoszała, a dziewczyny postanowiły wykorzystać to na małą przerwę z ciastem rabarbarowym. Kaśka zaproponowała, że stanie na posterunku i da sobie radę sama, a wypieku skosztuje przed wyjściem do domu.

Kiedy zabrzączał dzwonek sygnalizujący wejście klienta, podniosła głowę i przywołała na twarz firmowy uśmiech.

– Dzień dobry – rzuciła w stronę mężczyzny, który stanął w progu z niepewną miną. Będzie wesoło, pomyślała, obserwując wyraźne zakłopotanie przybysza.

– Tak, dzień dobry – mruknął facet i rozejrzał się po wnętrzu. Nie zauważyła, by trzymał w ręce receptę, więc obstawiła, że gość zjawił się albo po prezerwatywy, albo po jeden z mocno reklamowanych w mediach specyfików

niezbędnych dla poprawy łóżkowych osiągnięć.

– Szuka pan czegoś konkretnego? – postanowiła mu trochę pomóc.

– Tak, szukam czegoś bardzo konkretnego, bardzo konkretnego specyfiku... – powtórzył za nią flegmatycznie mężczyzna, po czym urwał i utkwił wzrok w półce na wysokości jej głowy. Wpatrywał się w to miejsce intensywnie, jakby czekał, aż Kaśka z jego oczu wyczyta całą resztę zamówienia.

– Rozumiem, chyba wiem, czego pan potrzebuje – odezwała się i mrugnęła porozumiewawczo. Facet nie zareagował, więc mrugnęła jeszcze raz. Znow bez efektu.

– Coś się pani stało w oko? – zapytał zniecacka, zbliżając się o krok. Absurdalność tej sytuacji rozbawiła ją tak bardzo, że z trudem powstrzymała się przed parsknięciem śmiechem. Gość był może trochę dziwny, ale z drugiej strony ona też nie wyglądała całkiem normalnie, mrugając do obcego faceta.

– Przepraszam, to chyba z niewyspania, obudziłam się dziś bardzo wcześnie – tłumaczyła się nieporadnie.

– A wie pani, że ja też? Choć u mnie to raczej *jet lag*, dopiero wczoraj wróciłem ze Stanów i jeszcze nie doszedłem do siebie – niespodziewanie rozgadał się mężczyzna.

Przyjrzała się mu uważniej, odnotowując całkiem przyjemną twarz i zdrową, opaloną skórę. Facet miał miły głos, dobrze wyglądał i przez chwilę połączyła się w bólu z jego partnerką, pewna, że klient najwyraźniej ma problemy z potencją. Skoro zaraz po przylocie szuka konkretnego specyfiku, to...

– Widziałem w telewizji taki szampon dla mężczyzn, przeciw utracie włosów, kojarzy pani? – przerwał jej rozważania, a ona tym razem już bez żadnych hamulców parsknęła śmiechem. Patrzył na nią zaskoczony, po czym odezwał się znowu: – Dostanę coś podobnego? Ale nie takiego jak ten szampon z *Misia*, broń Boże!

– Najmocniej przepraszam, mówił pan tak tajemniczo o konkretnym specyfiku, że przez chwilę pomyślałam, że ma pan... – Rozłożyła ręce w geście rezygnacji. – Nieważne, to mało profesjonalne zachowanie. Już szukam dla pana odpowiedniego szamponu.

Często, będąc tylko we dwoje, wspominali to zdarzenie. Walicki postanowił je nawet umieścić w swoich wspomnieniach, które zaczął spisywać za namową

Kosmy Makarskiego. W byłym radiowcu wciąż drzemała dziennikarska dusza, więc przy każdej okazji wypytywał muzyka o wrażenia z koncertów, jakie ten dawał w różnych częściach świata. To normalne, że pojawiały się wtedy i bardziej osobiste wspomnienia, które w całości nadawały się na dobrą książkę.

– Nie zastanawiaj się nad tym za długo, tylko po prostu zacznij pisać – przekonywał jazzmana, kiedy obaj zarzucili wędkę nad stawem nieopodal domu Makarskiego. – Mało kto może pochwalić się tak bogatym życiem artystycznym i towarzyskim.

– Trochę boję się o tę stronę towarzyską – zaproponował Walicki.

– Niepotrzebnie! To właśnie ta część spotka się z najżywszym odbiorem. Mówię ci! – Kosma był przekonany do swojego pomysłu. Poklepał muzyka po ramieniu i odszedł do swoich zadań. Doskonale zdawał sobie sprawę, że jego gość nie potrzebuje pomocy przy wędkowaniu, a zamiast najciekawszej nawet rozmowy woli napawać się oszałamiającą mazurską ciszą. Tomasz z Kaśką odwiedzali ich regularnie, najchętniej po każdym dłuższym pobycie muzyka za granicami kraju. Walicki regenerował się tu i ładował akumulatory, tutaj też zaczął pisać pamiętnik, co szło mu zaskakująco sprawnie. Zdarzenie z poznaniem Kaśki było mocnym otwarciem opowieści, sygnalizującym, że to istotny moment w jego życiu. Ona odbierała to podobnie; czuła, że przy nim przestało jej czegoś brakować, a uśpione do niedawna ciało mocno reagowało na jego bliskość.

Walicki miał za sobą nieudane małżeństwo. Historia sięgała jeszcze czasów studenckich i w całości kwalifikowała się do teczki z napisem „błędy młodości”. Rozstanie z żoną było nie mniej burzliwe niż sam związek, skutecznie jednak wyleczyło go z potrzeby zawierania kolejnego małżeństwa. Przez długie lata był sam, nie zapuszczając nigdzie korzeni. Choć od zawsze związany z Łodzią, to równie często spotkać go można było w Chicago czy Brisbane, bo polubił okolice jeziora Michigan i australijskie wybrzeże nad Oceanem Spokojnym. Dobrze czuł się w atmosferze tych miejsc, zamieniając ją na muzykę, a ta świetnie sobie radziła pod każdą szerokością geograficzną. W farmaceutce „z nerwowym tikiem w oku” – jak czasem o niej mówił w żartach – dostrzegł kogoś więcej niż ładną kobietę. Tych nie brakowało w żadnym z krajów, które odwiedzał, koncertując lub nagrywając płyty. Kasia była dojrzałą i świadomą

swoich walorów osobą, na której nie robił wrażenia medialny szum od czasu do czasu pojawiający się wokół jego nazwiska. Nie próbowała go udomowić, zmienić czy podporządkować. Mógł przy niej zarówno swobodnie pomilczeć, jak i znaleźć inspirację do interesującej rozmowy. Bardzo szybko doszedł do wniosku, że na taką partnerkę czekał od zawsze.

– A poza tym – odpowiedział jej kiedyś przekornie, gdy zapytała, dlaczego przyszedł do apteki po raz drugi, do tego z kwiatami – w moim wieku wypada mieć przy sobie kobietę, która odróżnia atak czkawki od udaru.

Dokładnie tak powiedział, i choć nie były to klasyczne oświadczyzny, to oboje rozumieli, że to deklaracja wspólnej przyszłości. Odpowiedziała, że owszem, ma wiedzę potrzebną do udzielenia mu pierwszej pomocy w różnych, nawet nagłych przypadkach, i uśmiechnęła się do własnych myśli, które niebezpiecznie pozęglowały w stronę ekwilibrystycznych kombinacji jej wygimnastykowanego rano ciała i jego wyćwiczonych na saksofonie palców. Zaczęła żyć na nowo. Zabrał ją wtedy na krótko do Australii, skąd wróciła szczęśliwa, spełniona i pewna, że nic już nie chce w swoim życiu zmieniać. Zaraz później zaproponował jej i Michalinie kilkumiesięczny wspólny wyjazd do Londynu, gdzie pracować miał nad pewnym projektem angażującym muzyków z kilku krajów Europy. Nawet nie zamierzała się zastanawiać, po prostu przerzuciła na Bałkę więcej obowiązków w aptecę, dała jej solidną podwyżkę i wyszukała w sieci nowy komplet walizek. Jej radość była tym większa, że ze wspólnego pobytu w Anglii postanowiła też skorzystać Michalina. Po prostu lubiła ją mieć przy sobie; nie były klasycznym przykładem papużek nierozłączek, ale historia ich rodziny, tak odmienna od innych, wytworzyła między nimi wyjątkową więź.

Wyjazd i zmiana otoczenia na pół roku były ciekawą perspektywą. Kaśka ani przez sekundę nie przeczuwała, jakie będą tego konsekwencje.

– Zostaję. – Michalina rzuciła tę uwagę od niechcienia, jakby komunikowała, że do herbaty woli cukier brązowy od białego. Kaśka początkowo nie zrozumiała, o co chodzi, dlatego nie zareagowała od razu. Dopiero po chwili dotarł do niej sens tej wypowiedzi.

– Tu, w Londynie? Sama? – upewniła się jeszcze.

- Bingo! Wygrałaś talon na balon.
- Cieszy mnie twój dobry humor, ale chyba należą mi się jakieś wyjaśnienia?
- Bardzo łatwo przybierasz ojcowski ton, mama. – Michalina wiedziała, że musi tę rozmowę przeprowadzić w spokojnej atmosferze. – Mam pracę, poszukam szybko mieszkania i spróbuję się tu zadomowić na jakiś czas.
- To przez Iana? Czyli to jednak coś poważnego? – drążyła uporczywie Kaśka.
- Spotykamy się, przecież wiesz. Nie wiem, co z tego będzie, ale chcę spróbować.
- Boję się o ciebie, zostajesz daleko od domu.
- Jak kilka milionów Polaków, którzy wyjechali za chlebem, w tym sporo młodszych ode mnie.
- Nie wszyscy mieli okazję do powrotu – odparowała jej matka, dając wyraz rodzicielskiej miłości. – Zrozum, że się martwię, choć nie zamierzam stawać ci na drodze.
- Dziękuję!
- Ojciec wie?
- Boże, nie traktujcie mnie jak nastolatki. Nie wie, ale zadzwonię do niego.
- Zrób to, bo jak się dowie ode mnie, to gotów przylecieć tu pierwszym lotem.

Z czasem okazało się, że tych lotów pierwszym dostępnym połączeniem pojawiło się przynajmniej kilka, zarówno po stronie jej, jak i Makarskiego. Brytyjski epizod w życiu ich córki był barwny, dostarczył im wielu wzruszeń i niepokojów, a zakończył się szczęśliwie dopiero po kilku latach. W tym czasie związek Kaśki i Tomasza Walickiego zdołał okrzepnąć i wejść na inny poziom, choć wciąż było w nich tyle samo fascynacji i radości jak przy tych pierwszych wspólnych porankach. Tomasz nie przestawał jej zaskakiwać, jeszcze nigdy nie była tak pewna swojego partnera jak właśnie z nim. Traktował ich relację zupełnie odmiennie niż jej były mąż w czasach, kiedy łączyło ich jeszcze urzędowe potwierdzenie zawarcia związku małżeńskiego. Dla Kosmy przyrzeczenie wierności było taką właśnie formułką, nieistotnym zapisem, który obchodził wielokrotnie. Ona też z czasem poluzowała swój moralny gorset i pozwalała sobie na chwile zapomnienia. Chciała czuć się kobietą, chciała mieć

coś z życia, poza wygodnym kątem, finansową stabilizacją i zdolną córką. Przy Tomaszu poczuła, że ma to wszystko i coś jeszcze – faceta, dla którego jest po prostu ważna. Momentami wściekała się, że kazała sobie czekać tak długo, ale zaraz potem przychodziła refleksja, że przecież nic w życiu nie dzieje się bez powodu. I że to, co przeszli z Kosmą, musi mieć znaczenie.

– Samuraj nie ma celu, ma tylko drogę – zacytował Tomasz jedną z azjatyckich mądrości, kiedy zwierzyła mu się ze swoich rozterek. – Nie zastanawiaj się, po co to wszystko, teraz pójdziemy dalej razem.

Ceniła to jego podejście do życia, pełne wiary i zgody na to, co przynosił kolejny dzień. Nigdy nie widziała go zdenerwowanego, nigdy nie słyszała, by odzywał się do kogoś podniesionym głosem. Tylko na scenie widać było, jakie skrywa emocje oraz jakim uczuciem darzy swój instrument. I wyłącznie o saksofon mogła być zazdrosna, na scenie obchodził się z nim jak z kochanką. Lubiła na to patrzeć, pewna, że inne kobiety dla Tomasza nie istniały. Była ona i ten kawał żelastwa, w który dmuchał z uczuciem.

– Paradoksalnie saksofon zaliczany jest do instrumentów dętych drewnianych. – Lubiła nie tylko oglądać go na scenie, ale i słuchać, kiedy opowiadał z przejęciem o swojej profesji, co Walicki wykorzystywał przy każdej okazji. – Metalowy jest korpus, za to stroik, jak w kłarnecie, jest drewniany, zerknij...

– Jesteś taki mądry – szepnęła, a on przewrócił oczami na znak, że łapie ironię.

– Wynałazł go Belg, Adolph Sax – niezrażony, kontynuował lekcję. – Był z tym niezły cyrk; rzecz się działa w połowie XIX wieku i kiedy Sax chciał opatentować swój saksofon, natychmiast zgłosiło się kilku innych wynalazców, powołali stowarzyszenie i wytoczyli mu proces sądowy.

– Mój ty historyku instrumentów europejskich...

– Cicho, nie przerywaj! – Łagodnym ruchem pogroził jej palcem, przysuwając się bliżej. – Finalnie Sax uzyskał patent, mimo tego, że adwokat jego wrogów argumentował, że „saksofon nigdy nie istniał, nie mógłby istnieć i miał być uznany za zwykły szarlatański podstęp”[\[3\]](#).

– Jest w tym jakiś sens, kiedy grasz, to nie jest zwykła muzyka, czuję tam obcą moc – powiedziała całkiem poważnie, choć zaraz zmieniła ton. – Jak to powiedziałeś? Sax, seks, jak to było?

– Sax, z „a” w środku, ale podoba mi się twój tok myślenia! – Odsunął instrument na bezpieczną odległość i przyciągnął Kaśkę zdecydowanym, męskim ruchem. – Mam wrażenie, że nie masz już ochoty na lekcję historii?

– Mam ochotę na...

– Chyba zrozumiałem, nie musisz kończyć i przestań, na Boga, mrugać tym okiem!

Świadomość, że jest z mężczyzną, z którym starość wydaje się czymś niegroźnym, nieistotnym, a nawet zabawnym, wyzwalała w niej nowe pokłady energii. Łapała się na tym, że w zasadzie musiałyby mocno szukać, by znaleźć powody do niepokoju. Kosma poradził sobie z ciosem od losu, kiedy niedługo po weselu, w którym przecież i ona brała udział, organizować musiał ostatnie pożegnanie Matyldy. Przy pomocy jej, Michaliny i grupy najbliższych przyjaciół przetrwał i stworzył dla swoich dzieci oraz Izy, która pojawiła się w najbardziej chyba odpowiednim momencie, miejsce pełne ciepła i harmonii. Ona też korzystała z tego dobrodziejstwa, a kiedy przy jej boku stanął Tomasz i do mazurskich ostępów dołożyli słońce Australii oraz wielobarwność amerykańskiego Chicago, nie mogła od życia wymagać więcej. Całość uzupełnił z czasem powrót Michaliny i małego Malcolma do Łodzi, na stare śmieci. Kaśka oddychała pełną piersią, ciesząc się patchworkową rodziną, szanowanym muzykiem u boku i przede wszystkim wnukiem, który już w chwili narodzin skradł jej serce.

– Może jednak zrewidujesz swój pomysł i zamiast pchać się do tego hangaru przy Tymienieckiego zostaniesz ze starą matką? – wyraźnie podkreśliła to „starą”, licząc, że Michalina zaprzeczy. Lubiły się przekomarzać w ten sposób, i tym razem córka jej nie zawiodła.

– Ani to nie jest hangar, ani ty nie jesteś stara – odpowiedziała z pełnym przekonaniem. – Jesteś... w kwiecie wieku.

– Poniosłam wyraźną porażkę wychowawczą, już nic tego nie zmieni...

– Uspokój się, niemądra matko. Poza tym mam wrażenie, że przyda mi się jeszcze takie duże, samodzielne mieszkanie. – Uciekła wzrokiem przed czujnym spojrzeniem rozmówczyni. – Nie chcę działać pochopnie. Siedzimy tu u was już

trzeci miesiąc i wydaje mi się, że to po prostu za długo.

– Nie żartuj, Malcolm czuje się tu jak ryba w wodzie, ma duże podwórko przed domem – przekonywała Kaśka. – Tomasz go uwielbia, a nas zresztą i tak częściej nie ma, niż jesteśmy na miejscu.

– Znowu się gdzieś wybieracie?

– Na Mazury, ale dosłownie na weekend.

– Zawiesz coś ojcu? Kupiłam wczoraj w antykwariacie książkę, która mu się spodoba.

– To przy innej okazji, bo tym razem jedziemy do Boćków. Hubert z Agatą zapraszali nas od dawna, więc... – wyjaśniła.

– Zaraz, zaraz, jedziecie do Jakubowiczów? – Michalinie zapaliła się w głowie czerwona lampka. – To się dobrze składa!

– Co masz na myśli? – Kaśka nie rozumiała, jakie interesy mogą łączyć jej córkę z parą przyjaciół jej i byłego męża.

– Halszka z Różanką były u mnie w zeszłym tygodniu...

– Wiem, mnie też odwiedziły, przywożąc od ojca kosz grzybów. Kiedy ja to zużyję? – Kaśka była gotowa załamać ręce, zupełnie wbrew powiedzeniu, że od przybytku głowa nie boli.

– I te małe cwaniary uknuły całkiem sprytny plan – przerwała jej lament córka.

– O czym ty mówisz?

– Posłuchaj, za kilka miesięcy Wigilia. A może...

Twarz Kaśki rozjaśniała się, w miarę jak Michalina wprowadzała ją w kolejne elementy układanki będącej dziełem rezolutnych bliźniaczek z Mazur.

Że też sama na to nie wpadłam dużo wcześniej, pomyślała, zasypiając wieczorem w pustym łóżku. Tomasz wracał z trasy dopiero nazajutrz, więc tę noc musiała jakoś wytrzymać. A od rana zaczęła przygotowania do wyjazdu do Boćków. Musi tylko pamiętać, by przekazać informację, że o wigilijny prezent dla Tomasza zatroszczy się sama. Szampon przeciw wypadaniu włosów będzie idealnie pasował.

[3] Leon Kochnitzky, *Sax and His Saxophone*.

Muchołówka białoszyja [*Ficedula albicollis*] jest gatunkiem zagrożonym. Ptak osiedla się tylko w najbardziej niedostępnych miejscach żyznych lasów liściastych o charakterze puszczańskim. Buduje swoje gniazda w ich najciemniejszych i najgęściejszych ostępach. W Puszczy Boreckiej wciąż żyje około trzystu par tych dziuplaków wtórnych. Muchołówka białoszyja zasiedla także dwie szwedzkie wyspy na Bałtyku: Olandię i Gotlandię.

Na podstawie opowieści ornitologa z Mazur, Szymona Czernka

ROZDZIAŁ CZWARTY

Iza

„Raz jesteś psem, innym razem hydrantem...” Takie hasło, nabazgrane sprejem, widniało na murze kamienicy, którą Iza mijała przed laty w drodze do szkoły. Zapamiętała je, bo choć niezbyt eleganckie w wymowie, niosło ze sobą przewrotną prawdę. Wiele razy miała okazję przekonać się na własnej skórze, że nic nie jest dane na zawsze. Kilkanaście lat później niemal tę samą maksymę przypomniał jej Kosma, włączając starą jak świat piosenkę Dire Straits. Mark Knopfler śpiewał ją jakby trochę od niechcenia.

Sometimes you're the windshield

Sometimes you're the Bug...[4]

Siedzieli blisko siebie; opierała się na jego ramieniu i choć nie była to dla niej najwygodniejsza pozycja, w tej właśnie chwili nie zamierzała nic zmieniać. Mieli za sobą niezbyt udany tydzień, podczas którego wspólnymi siłami pochowali Helmuta, a Kosma podjął ostateczną decyzję o zakończeniu hodowli ślimaków.

– Po prostu idźmy dalej – szepnął do niej, nie chcąc najwyraźniej rozpamiętywać tego, co się stało.

– Poczekaj – odpowiedziała z naciskiem. – Tego nie da się w ten sposób zamknąć.

– Mówisz o psie czy ślimakach?

– O jednym i drugim. Helmut budził mnie zimnym nosem przez kilka lat, a ślimaki były przecież i moim zajęciem. Co będzie teraz?

– Jak to co, duszyczko? – Kosma zamyślił się na chwilę, po czym odpowiedział już dużo raźniejszym tonem: – W domu wciąż mamy Gabrysia, a jeśli chodzi o twoją pracę, to... mam plan.

Powoli wyswobodziła się spod jego ramienia i spojrzała nań podejrzliwie. Jeśli o tym planie nie powiedział jej wcześniej, to najwyraźniej wymyślił go przed momentem. A to znaczy, że niekoniecznie musiał być to pomysł ocierający się o genialność.

– No więc? – zapytała ostrożnie.

– W miasteczku jest schronisko dla psów...

– Wiem, przejeżdżałam kiedyś obok, ale nie chcę kolejnego psa, Kosma.

– Przecież mówimy o pracy, nie o przygarnięciu zwierzaka. Mogłabyś spróbować u nich swoich sił. Znam kierownika, może to załatwię.

– Zwariowałaś? Nie dam rady! – zaprotestowała. – Zresztą co miałabym tam robić?

No właśnie, co? – powtórzył w myślach jej pytanie, wyrzucając sobie jednocześnie, że nie przygotował się do tej rozmowy odpowiednio. Powinien był opracować plan, a dopiero później zaskakiwać ją i sugerować konkretne rozwiązania. Źle się do tego zabrał!

– I na pewno nikogo nie potrzebują, przecież nie jest tak, że praca czeka na ludzi – Iza postawiła kropkę nad i.

– Z takim podejściem nic nie zrobimy – spróbował ją uspokoić. – Rzucam pomysł, który pozwoli ci pozostać w ruchu, robić fajną rzecz i mieć kontakt ze zwierzętami. I to takimi w potrzebie. Nie chcesz, to nie!

– Chcę! – zaoponowała. Włożyła mu dłoń pod ramię i przysunęła się bliżej. – Chcę, tylko się boję! Boję się, że nie dam rady i będzie wstyd.

– Nawet tak nie myśl! – Tym razem to on zgłosił stanowczy sprzeciw. – Daj mi kilka dni, rozeznam się w temacie i zobaczymy, co się z tego urodzi.

Trwali tak przez chwilę w milczeniu, trawiając dopiero co wypowiedziane słowa i analizując niespodziewany pomysł.

– Zresztą, wiesz co? – Kosma wstał, klasnął w rękę i uśmiechnął się, zadowolony ze swojego konceptu. – Pieprzyć to! Zrobimy coś własnego. Co

powiesz na hotel dla psów?

– Co?

– Pomyśl tylko! Mamy tyle ziemi, łąk... I do tego jeszcze to wszystko, co pozostało po ślimakach. – Makarski rozkręcał się w miarę mówienia. – Wystarczy trochę przerobić boksy, przebudować budynki gospodarcze. To ma rację bytu. Będziesz miała zajęcie.

– Kocham cię. – Nie wiedziała, czy bardziej ceni jego entuzjazm, czy troskę o to, by miała powód do wyjścia z domu.

– No to bierzmy się do roboty, jakiś przesympatyczny pies lub kot mogą właśnie teraz szukać noclegu. Może warto pomyśleć o zwierzęcej wersji Bookingu?

Pomysł, choć tak naprawdę niósł ze sobą wiele kłopotów, z czasem zaczął przybierać całkiem realną postać, a formalne problemy przyćmiła radość z końcowego efektu. Bracia Witeccy zgodzili się przygotować projekt i dopilnować, by całość inwestycji przebiegała w zgodzie z regułami sztuki budowlanej. Trochę trwało, zanim Kosma, czarując swym głosem i belgijskimi czekoladkami, w każdej z niezbędnych instytucji uzyskał stosowne zgody i urzędowe pozwolenia. Zdawało im się, że procedury zajmą wiele miesięcy, ale *summa summarum* zarówno lokalna placówka sanepidu, jak i Powiatowy Inspektor Weterynarii nie robiły problemu ze zmianą profilu dotychczasowej działalności gospodarstwa Makarskiego. Trochę zdziwienia wzbudził co prawda pomysł porzucenia hodowli ślimaków na rzecz noclegowni dla czworonogów, jednak...

– Kto bogatemu zabroni? – zażartował Karol Iwański, lekarz weterynarii, stawiając pieczętę pod swoją opinią. – Obiekt nie budzi zastrzeżeń, przygotowane wytyczne dla personelu również, mogę tylko życzyć powodzenia!

– Ale? – Kosma odebrał dokument i spojrzął na pracownika PIW. Znali się od lat, podobny papier odbierał przecież od niego, zakładając hodowlę *Helix aspersa*.

– Nie rozumiem?

– Zakładam, że jest jakieś „ale”! – Makarski uśmiechnął się i przysunął

krzesłem do biurka inspektora.

– No, może jedno małe. – Iwański odwzajemnił uśmiech. – Po prostu trochę się dziwię, że bierzecie sobie państwo na głowę ten cały majdan.

– Panie Karolu, czasem trzeba zrobić w życiu coś innego, może nawet mniej mądrego. – Kosma puścił oko do rozmówcy. – I zobaczyć, co z tego wyjdzie.

– Nie szkoda panu czasu i pieniędzy?

– Czasu mam aż nadto, a pieniądze... Skoro dziś są, to i jutro będą – uspokoił rozmówcę Makarski.

– No nie wiem... – Weterynarz nie wydawał się przekonany. – Może bliżej wielkich miast? A u nas tylko Olsztyn się pod to łapie. Może być za mało na odpowiedni ruch w interesie.

Kosma doskonale rozumiał obiekcje swojego rozmówcy, podyktowane życzliwością i – jak mógł się wielokrotnie do tej pory przekonać – znajomością tematu. Karol Iwański był lubiany przez miejscowych, a jako urzędnik Powiatowego Inspektoratu Weterynaryjnego starał się raczej jak najwięcej pomóc, zamiast piętrzyć przeszkody. Jeśli tylko mógł, podpowiadał i wskazywał najlepsze rozwiązania. Należało mu się więc wyjaśnienie.

– Bez wątpienia ma pan rację – odpowiedział Makarski. Przez chwilę milczał, zanim podjął wątek. – Nie robię tego dla pieniędzy i szczerze mówiąc, nie spodziewam się wielkiego zysku.

– A, czyli to bardziej hobby?

– Tak bym tego nie nazwał... – Uwaga weterynarza lekko zbiła Kosmę z tropu. – Może bardziej będzie to dogoterapia?

– O, to ciekawe. Dla dzieci czy dla dorosłych? – Iwański lubił konkrety.

– Dla jednej pani, całkiem już dorosłej, choć czasem nieporadnej jak dziecko.

Urzędnik przyjrzał się Makarskiemu i pokiwał głową ze zrozumieniem. W tak małym środowisku ludzie wiedzieli wszystko, więc i zdrowotne kłopoty partnerki Kosmy nie były wielką tajemnicą. Wyciągnął rękę w kierunku mężczyzny i mocno uściskał jego dłoń.

– Rozumiem... Życzę powodzenia i służę pomocą. – Uniósł się lekko, dając znak do zakończenia spotkania. – Proszę się do mnie zgłaszać z każdym problemem.

– Jasne! – Kosma podziękował i ruszył ku wyjściu. – Ale mam nadzieję, że

nie będzie ich za dużo.

Iza zdawała sobie sprawę, że cały ten pomysł z hotelem dla zwierząt powstał tylko po to, żeby zapewnić jej codzienne zajęcie, zmusić ją do fizycznej aktywności i zabrać czas, który w innym przypadku z pewnością poświęciłaby na rozmyślanie o swojej chorobie. Z wdzięcznością musiała przyznać, że jej partner spisywał się pod tym względem znakomicie – przez ostatnie lata naprawdę nie miała zbyt wielu okazji, by pogрузić się w marazmie lub co gorsza w depresji. Sporo było w tym jej pracy i pozytywnego nastawienia, ale i Kosma dokładał starań, by jej głowa zajęta była czymś pożyteczniejszym niż analizowanie destrukcyjnego wpływu SM na jej organizm. Stwardnienie rozsiane jest przecież chorobą nieuleczalną, więc najlepsze, co możemy zrobić – tak mówił do niej od samego początku – to nauczyć się z nim żyć. I to na naszych warunkach, dodawał zwykle. Uwierzyła mu i dostosowała się do narzuconej przez Makarskiego narracji. A ta była prosta: im więcej zajęć, tym mniej czasu na chorowanie.

Z werwą rzuciła się więc w wir papierkowej roboty, której przy hodowli i eksporcie ślimaków za granicę nie było wcale mało. Nadzorowała pracowników, dbała o dostawy paszy dla małych żarłoków, kontrolowała tempo wzrostu i organizowała ekipę niezbędną do przeprowadzenia jesiennych zbiorów. Kosma patrzył na to wszystko z niedowierzaniem, bo oprócz tych czynności starała się być także pomocna w domu. Tu jednak rywalizować musiała z bliźniaczkami, które dla odmiany straciły zapał do opieki nad ślimakami, ale za punkt honoru wzięły sobie wyręczenie Izy w domowych obowiązkach.

– Zwariowałbym w tym babińcu! – śmiał się Hubert Jakubowicz, obserwując krzątanie trzech kobiet w kuchni i prosiaka biegającego między nimi. Gabryś, jak przystało na towarzyską świnkę, zazwyczaj nie odstępował gościa na krok. – Chociaż z drugiej strony, trochę ci zazdroścę.

– Nieskromnie powiem, że sam sobie na to zapracowałem – odpowiadał zwykle Makarski z błogim wyrazem twarzy.

Długo trwało, zanim Iza na nowo dostrzegła w nim mężczyznę. On też nie spieszył się z odkrywaniem jej seksualności, która przed laty tak mocno na niego działała. Ta sfera pozostawała uśpiona. Od ich rozmowy, w czasie której padły

słowa „zostań ze mną”, upłynęło wiele dni i nocy, zanim stanęła przed nim prawie naga i gotowa na kolejny krok. Ten czas poświęcili na osvajanie się z nową rzeczywistością, choć i wtedy nie brakowało okazji, by okazywać sobie czułość. Kosma troskliwie asystował jej przy zabiegach rehabilitacyjnych, woził ją na comiesięczne wizyty u lekarza, w ogóle starał się być blisko. Czowała się z tym dobrze, potrzebowała wsparcia, cieszyła się, że ma go obok siebie, gotowego do niesienia pomocy. Czasem naprawdę było to konieczne, niezależnie od tego, jak mocno wmawiała sobie, że da radę zrobić coś samodzielnie. A przecież przy tym wszystkim potrzebowała też być kobietą. Mieć chwilę dla siebie, zwyczajnie leżeć i pachnieć, zadbać o włosy czy paznokcie, zaszaleć w sklepie z bielizną.

Do tego ostatniego musiała jednak dojrzeć. Zakupy przychodziły jej z trudem, na samą myśl o tym, że będzie musiała pokonywać długie alejki galerii handlowej, czuła niemal fizyczny ból. Wolała, żeby robili to za nią Kosma lub dziewczynki. Wciąż jeszcze nie chciała pokazywać się na wózku inwalidzkim, a piesza wycieczka była dla niej jak najsurowsza kara. Już po kilkunastu metrach usztywniona noga zgłaszała weto i Iza musiała szukać podparcia. Wiedziała jednak, że są miejsca, do których nie może wysłać zastępstwa. I że radość z przymierzania kolejnych rzeczy zrekompensuje jej cały wysiłek. A Kosmie to ona sprawi tym samym niespodziankę.

Po prawdzie to inaczej wyobrażała sobie chwilę, kiedy ubrana w nową, prawie przezroczystą bieliznę wejdzie do jego sypialni. Spodziewała się odurzającego zapachu kadzidła, blasku świec, cykania świerszczy za oknem i innych efektów, które zazwyczaj podpowiadają komedie romantyczne lub powieści obyczajowe. Zastała nieogolonego faceta, który łóżko dzielił z wilczarzem irlandzkim i wietnamską świnką. Zwierzęta spojrzały na nią ze zdziwieniem, pies puścił bąka, co dość szybko rozwiązało kwestię kadzidła, a zamiast cykania świerszczy usłyszała niepokojący bulgot w brzuchu Gabrysia.

– Też to słyszysz? – zapytał Kosma, rozglądając się wokół. Zaraz jednak spojrział na nią zaniepokojony. – Coś się stało?

Westchnęła cicho, rozsunęła poły podomki i to wystarczyło, żeby zrozumiał.

– Daj mi kwadrans na doprowadzenie tego miejsca do porządku – powiedział.
– Chociaż nie, jeśli golenie mi odpuścisz, to wystarczy dziesięć minut!

Zdążył, a później było już tak, jak być powinno.

Hotel dla zwierząt ruszył przed wakacjami, ku uciechu Halszki i Różanki, które liczyły na większą interakcję z przyszłymi lokatorami, niż było to w przypadku ślimaków. Wcześniej Iza skupiła się na marketingu, nie tylko drukując ulotki, ale też aranżując wywiady w lokalnych mediach, co jej zdaniem powinno przełożyć się na zainteresowanie klientów. Ze swadą opowiadała o zaletach „Psiego zakątka”, obiecując przy okazji, że już niebawem poszerzy on swoją ofertę o „Koci rewir”, w którym każdy miauczący pupil poczuje się jak w domu. Odzew nie był wielki, ale był – i to wystarczyło, by z nadzieją oceniała powodzenie całego przedsięwzięcia... choć pierwszy telefon wykonał jakiś żartowniś, pytając, czy może im podrzucić na kilka dni teściową.

– Jak to nie? – zdziwił się, kiedy Iza ze śmiechem odmówiła. – To hotel dla zwierząt, jadowita żmija chyba się do nich zalicza! – krzyknął jeszcze i się rozłączył.

Później było już tylko lepiej. Oba letnie miesiące pokazały, że jest wiele osób, które mając w perspektywie urlopowy wyjazd, zamiast uwiązać pupila w lesie czy obarczać dodatkowym obowiązkiem krewnych lub sąsiadów wolą poświęcić kilka złotych i zapewnić mu odpowiednią opiekę.

– Sporo tego – zdziwił się Kosma, kiedy zaniepokojony nieobecnością Izy zostawił przygotowaną kolację i ruszył na poszukiwania. Odnalazł kobietę obok hotelowych boksów zajmowanych przez hałaśliwego ratlerka, średniej wielkości pudla i dwa labradory. Psy były już po popołudniowym karmieniu i wieczornym spacerze, pozostała tylko nocna toaleta. Iza wyprowadziła z kojca jednego z czworonogów i specjalną szczotką wyczesywała psią grzywkę. Zwierzę przyjmowało te zabiegi z dużą radością, o czym świadczyło merdanie ogonem i wilgotny język wylizujący jej dłonie.

– Jutro przyjadą kolejna dwa! – odpowiedziała, nie przerywając czesania. – Musimy poza tym przyspieszyć wykończenie pawilonu dla kotów. Od poniedziałku było już kilka zapytań.

– Dobrze, zajmę się tym rano – obiecał Makarski i wyprowadził na zewnątrz siwego pudla. – Jak się nazywa?

– To Papi LeBleu – wyjaśniła. – Ale mów mu po prostu Papi, chyba się nie obrazi.

– Moja ciotka miała kiedyś pudła, który robił „hitlerkaputt”...

– Co takiego? – przerwała mu i popukała się w czoło.

– Naprawdę, mówiła *Hitler kaputt* i pies się przewracał na grzbiet, udając martwego. – Kosma uśmiechnął się na to wspomnienie. – Ciekawe, czy ten tak potrafi?

– Spróbuj – zaproponowała.

– Czy ja wiem? – Wzruszył ramionami. – No dobrze. *Hitler kaputt!*

Odwrócił się zaskoczony, bo choć pies nie zareagował na nieznaną mu najwyraźniej komendę, to Iza padła na ziemię i znieruchomiała jak nieżywa. Trzymany przez nią ratlerek stracił rezon i zamiast dalej oblizywać jej rękę, patrzył teraz podejrziwie.

– Jesteś wstrętna, wiesz? – Kosma podszedł do niej i pomógł jej wstać, kiedy z trudem powstrzymywała śmiech. – Poza tym przy tej sztuczce pada się na plecy.

– Daj mi szansę, jeszcze się nauczę – poprosiła, krztusząc się i parskając. – Tylko musisz być bardziej stanowczy, komendy powinny być wydawane odpowiednim tonem.

Zamknęli psy w kojcach i wolno ruszyli do domu. Podczas kolacji robił jej wymówki, ale kiedy wykąpana i pachnąca przysiadła na łóżku i poprosiła o to, by wydał komendę raz jeszcze, nie oponował.

– *Hitler kaputt!* – rzucił przez zęby, a ona natychmiast wylądowała na plecach.

– Szybko się uczysz! – pochwalił i pochylił się nad nią. – Chyba liczysz na jakąś nagrodę?

Dobrze jej było w tym miejscu, przy tym facecie i jego córkach, które przecież pokochała od razu. Z jej dawnego świata pozostał w zasadzie tylko ojciec, który rozpoczął tu nowe życie. Kiedy przed laty profesor Adam Stawski z przejęciem obwieścił jej, że zamierza się ponownie ożenić, była szczęśliwa i wcale tego nie kryła. Wyściskała go i wycalowała jak dawniej, kiedy była małą dziewczynką,

a on przynosił po pracy wedlowską czekoladę.

– A ty, córeczko? – zapytał wtedy nieśmiało.

– Co ja? – nie zrozumiała.

– Może to odpowiedni moment, byś ty i Kosma... – zaciął się jak nastolatek i spojrzał na nią niepewnie. W końcu machnął ręką, jakby podjął ważną decyzję.

– Może zrobimy to razem?

Przez kilka sekund patrzyła na niego jak na jakieś nadprzyrodzone zjawisko, po czym głośno zawołała Makarskiego. Kosma wpadł do pokoju, spodziewając się najgorszego; oczami wyobraźni widział ją leżącą na podłodze, ze złamaną nogą lub ręką.

– Ufff... – odetchnął z ulgą, widząc ich dwoje siedzących na sofie. – Co się dzieje?

– Tata się żeni – wyjaśniła lekko oskarżycielskim tonem.

– Adam, gratuluję!

– To nie wszystko – przerwała mu Iza. – Zasugerował, że mógłbyś pójść w jego ślady i również się ożenić.

– W zasadzie wyraziłem przypuszczenie, że to byłoby całkiem na miejscu. – Akademicka w formie wypowiedź profesora Stawskiego wybrzmiała cicho w pomieszczeniu. – Jednakowoż to właśnie miałem na myśli.

– Hmm, nie pozostawiacie mi wyboru – odparował Kosma, nagle klękając na jedno kolano. Natychmiast pojawił się przy nim Gabryś, ryjkiem próbując przewrócić mężczyznę. Makarski odsunął go lekko. – Jeśli więc zgadzasz się wyjść za mnie i bierzesz w pakiecie resztę kwiczącego dobytku, to będę najszczęśliwszy pod słońcem.

– Świnia nadal nie wchodzi do sypialni, to mój warunek! – Iza pogroziła im palcem.

– A zatem postanowione! – Stawski aż klasnął z uciechy i ucałował oboje w czoła. Gabryś nie dostał tej pieszczoty, więc tylko patrzył z zazdrością. – Biegnę do mojej ukochanej z dobrą nowiną.

– Jesteś pewien? – zapytała poważnym głosem Iza, kiedy ojciec szybkim krokiem opuścił pokój. – Naprawdę chcesz?

– Nie wierzysz mi? – Kosma objął ją ramieniem i przytulił do siebie. – Nie chciałem nic przyspieszać, do niczego przekonywać cię na siłę. Ale myślałem

o tym od dawna.

– I nic nie powiedziałeś?

– Czekałem na taki właśnie moment. Może miało być trochę więcej romantyzmu, ale chyba nie było tak źle?

– No nie wiem... – zaśmiała się głośno. – Presja ojca, wymuszone oświadczyzny w towarzystwie prosiaka. Trzymasz poziom!

– Daj już spokój, porozmawiajmy o miłości!

Lubiła do niego mówić o wszystkim, nie tylko o uczuciach. Uwielbiała też rozmawiać z jego córkami, obserwować, jak dorosleją i zmieniają się z dziewczynek w kobiety. One zaś podpatrywały ją uważnie, naśladując zachowania i reakcje. Razem z nimi przeżywała ich pierwsze zakochania i rozstania, snuła marzenia, a czasem po prostu była obok, kiedy nie potrzeba było żadnych słów, tylko obecności kogoś bliskiego. Miały prawdziwy dar do wywoływania u niej wzruszenia, przychodziło im to całkiem naturalnie i z taką łatwością, że nigdy nie pomyślała o urodzeniu własnego dziecka. Jej choroba w zasadzie nie wykluczała takiej możliwości, ale dzięki tym dwóm pannicom nie czuła takiej presji. Była spełniona jako matka, nawet jeśli została nią przez przypadek lub z konieczności.

– Możemy? – Dwie głowy wsunęły się przez uchylone drzwi i patrzyły na nią uważnie.

– No pewnie, odpoczywam sobie. – Gestem zachęciła bliźniaczki, by usiadły przy niej. Weszły ostrożnie, wyraźnie czymś przejęte. Kończyły w tym roku jedenaście lat, całkiem niedawno ich dziecięce zabawki zostały przez siostry solidarnie spakowane i przekazane do domu dziecka. Już ich nie potrzebowały, dziewczynki powoli zmieniały się w nastoletnie panny.

– To dla ciebie, z przeprosinami – powiedziała Halszka, a Różanka wręczyła jej mały obrazek w białej ramce. Nie był to jednak malunek, ale kolaż wykonany z kilku zdjęć i – jak mogła się domyślić – jakiegoś artykułu ze starej gazety. Praca przedstawiała sporych rozmiarów fotografię lockheeda vega. Bez trudu rozpoznała jednosilnikowy samolot, którym w swój samotny lot przez Atlantyki wyruszyła Amelia Earhart; to ona dokonała tego wyczynu jako pierwsza kobieta.

W przeszkloną kabinę niewprawne małe palce wkleiły podobiznę Izy. Całość trochę nie trzymała proporcji, ale na zdjęciu kobieta była uśmiechnięta i patrzyła prosto w obiektyw. Samolot ciągnął za sobą kolorowe girlandy, a na błękitnym niebie wyraźnie odznaczał się napis zrobiony z liter wyciętych z gazety: „Mogę wszystko”. Całość uzupełniały machające do niej z dołu postaci Kosmy z córkami. Musieli to zdjęcie zrobić specjalnie na tę okazję, bo nie przypominała sobie, by już je kiedyś widziała.

– Cudowne – rzekła ze wzruszeniem w głosie. – Ale za co chcecie mnie przepraszać?

– Za to, że przestałyśmy tańczyć – szepnęła Różanka. – Że nie wypełniłyśmy obietnicy.

– I że cię zawiodłyśmy – dodała Halszka.

Spojrzała na nie i do oczu natychmiast napłynęły jej łzy. To właśnie dzięki tańcowi poznała te dwie dziewczyny, wtedy jeszcze kilkuletnie szkraby. Przypadek zrządził, że trafiły na prowadzony przez nią w Warszawie kurs, trochę na siłę przyciągnięte, już nie pamiętała, przez babcię czy dziadka. A jakiś czas później pojawił się Kosma i w ten sposób ich drogi znów się przecięły, choć wtedy jeszcze nie mogła się spodziewać, że tak się właśnie stanie. Niewiele wiedziała o tych dzieciach ani o ich matce, samego Makarskiego widziała ostatnio kilka lat wcześniej, nie miała pojęcia, że ożenił się ponownie. Kiedy usłyszała diagnozę, rozpoznano u niej postępującą chorobę, stwardnienie rozsiane, zamknęła działalność i prawie uległa ojcu, który chciał, by przenieśli się na Zachód. Profesor Stawski właśnie tam chciał poszukać odpowiedniej dla niej kuracji. Iza była gotowa do wyjazdu.

Zamykając szkółkę, powiedziała dziewczynkom, że mają talent i powinny kontynuować naukę tańca.

– Obiecujecie mi, że nie zrezygnujecie! – poprosiła.

– Obiecujemy! – Różanka udzieliła odpowiedzi za obie siostry. Ale życie potoczyło się inaczej.

Zadziwiająco, że to zapamiętały, pomyślała, tuląc je teraz do siebie. Wzruszyła ją ta sytuacja i nie wiedziała, jak zareagować. Siedziały tak przytulone, nie zważając, że ramka z obrazkiem zsunęła się na grubym dywan. Samolot pokonywał teraz podniebną trasę do góry nogami.

– Posłuchajcie, jeśli ktoś tu kogoś zawiódł, to ja was! – Iza postanowiła przerwać ciszę. – Mogłam przecież uczyć was w domu, poświęcić na to więcej czasu, tylko że... – urwała.

– Nic nie mów. – Hal złapała ją za rękę. – Wciąż możemy to zrobić!

– Tak, możemy! – Jej siostra przysunęła się bliżej. – I ty też wrócisz do latania, wiemy, że to kochasz!

– Wciąż mam tę skórzaną kurtkę! – Iza uśmiechnęła się szeroko. – A dzięki wam czuję, że mogę wszystko...

Tego lata, kiedy wróciły z Łodzi, były wyraźnie podekscytowane. Iza spodziewała się, że przekonają Michalinę i przyjadą większą grupą, ale dziewczynki wytłumaczyły jej, że starsza siostra ma teraz inne zadania.

– A może my zaplanujemy jakiś wyjazd całą rodziną, może na święta? – zaproponowała Halszka, mrugając porozumiewawczo do siostry.

– No właśnie, my chyba razem to nie byliśmy nigdzie od lat! – podchwyciła Różanka.

– Muszę was rozczarować, dziewczyny! – Iza popukała palcem w książkowy kalendarz leżący przed nią na biurku. – Raczej się stąd nie ruszymy do Sylwestra.

– Jak to, dlaczego? – zaprotestowały z udawanym oburzeniem.

– Mam już zabukowane kilkanaście miejsc na święta i prawie dwadzieścia na koniec roku – wyjaśniła córkom. – Czasy się zmieniają, ludzie chcą w Wigilię czegoś nowego, wyjeżdżają.

– No tak, dobrze jest gdzieś pojechać! – Hal uśmiechnęła się do siostry.

– A poza tym wolą oddać psiaka do nas na Sylwestra zamiast narażać zwierzę na traumę spowodowaną hukami petard. U nas jest cisza i spokój.

– Masz rację, mamo. – Różanka pokiwała głową. – Czyli na Boże Narodzenie zostajemy w domu?

– Tak, ale obiecuję wam, że będzie fajnie!

– W to akurat nie wątpimy! – Dziewczyny zachichotały. – Jesteśmy nawet gotowe się założyć!

– Co chcecie przez to powiedzieć?

– Hmm, może później pogadamy, jest przecież tyle czasu! – krzyknęły jedna przez drugą i tyle je widziała. Przez tę rozmowę sama zatęskniła za magią świąt. Za tymi wszystkimi ciepłymi momentami, z którymi się wiąza. No i za pracą, oczywiście, o czym przypomniał jej kolejny telefon.

– Nie, wcale nie dzwoni pan za wcześnie, przyjmujemy już zgłoszenia na grudzień. Jaki to piesek? Pudelek? A umie „hitlerkaput”? Żartowałam, będzie mu u nas dobrze, zapewniam!

[4] Dire Straits, *The Bug* (sł. Mark Knopfler).

Rybołów [*Pandion haliaetus*] w Europie jest zagrożony wymarciem. W Polsce żyje tylko około trzydziestu par tych iście królewskich ptaków, a w samej Puszczy Boreckiej jest ich zaledwie dwie. Żywi się rybami, które łowi, pikując do wody z wysokości nawet 40 metrów, w czasie ataku osiągając prędkość 50–60 km/h. Jego znikoma populacja związana jest ściśle z odpowiednimi dla tych ptaków terenami łowieckimi, którymi są dzikie, obficie zarybione stawy, oraz z brakiem miejsc, w jakich rybołów buduje swoje gniazdo. Wybiera na nie bowiem tylko około dwustuletnie wysokie sosny. Buduje je na samym czubku drzewa, na wysokości około trzydziestu metrów, w taki sposób, by mógł swobodnie obserwować wszystko wokół. Ptak dokarmia swoje młode jeszcze kilka tygodni po opuszczeniu przez nie gniazda, cała rodzina natomiast trzyma się razem do momentu, kiedy nie rozpocznie się jej przelot na zimowiska.

Na podstawie opowieści ornitologa z Mazur, Szymona Czernka

ROZDZIAŁ PIĄTY

Xenia

Wyłączyła piekarnik. Świeżo wyjęty z niego pasztet położyła na drewnianej podkładce i przykryła gorącą formę czystą ściereczką. Drugą zwinęła w rulon i wsunęła w szczelinę, którą utworzyły drzwiczki i obudowa urządzenia. Powietrze w jednej chwili wypełniło się ziołowym aromatem. Razem z zapachem inki i drożdżowego placka pobudziły znów jej apetyt, chociaż niecałe dwie godziny wcześniej zjedli późne śniadanie.

– To co? Przewietrzmy się? – zapytała, zaglądając do pokoju obok i próbując jednocześnie rozwiązać zbyt mocno zaciśnięty supeł na wiązaniu kuchennego fartuszka.

Zerknęła nad ramieniem wysokiego, szczupłego mężczyźnie, który na ekranie swojego laptopa w skupieniu studiował internetowe newsy.

– Jesteś ciekawy... – zbliżyła twarz do urządzenia – jak Paryż radzi sobie z falą upałów?

– Dramat... – skwitował zagadnięty.

– Tu jest przyjemniej, więc nie marnujmy dnia, chodź!

Ciekawe, ilu jest takich, którzy mają wszystko. I czy to „wszystko” ich tak naprawdę uszczęśliwia. Brakowało jej paru rzeczy, to prawda. Ale z całą pewnością mogłaby powiedzieć, że jednak wyjątkowo jej się w życiu poszczęściło. Może dlatego, że pozwoliła mu się prowadzić za rękę i nie upierała się za bardzo przy swoim. Wielokrotnie zmieniała swoje życiowe plany, kierując się instynktem zmiksowanym z chęcią ciągłych zmian. Nie znosiła stagnacji

i schematycznego działania. Wyszła za muzyka. A tylko jeden artysta drugiemu może przyznać rację, że jeśli w tym szaleństwie jest jakaś metoda, to da się ją dostrzec jedynie z podobnej perspektywy.

Grzegorza poznała tuż przed swoim dyplomem. Zauroczył ją bardzo szybko, a oczarował ostatecznie, kiedy zaprosił ją na koncert do Filharmonii Bałtyckiej, w której grał – dosłownie – pierwsze skrzypce. Pobrali się w rocznicę ich pierwszej randki. Nigdy nie miała poczucia, że coś ją przy nim omija, że coś traci. Wręcz przeciwnie. Z roku na rok utwierdzała się w przekonaniu, że wygrała los na życiowej loterii. Minus tej wygranej był tylko taki, że nie potrafiła wejść w skórę osób z pokieraszowanych związków. Dostrzegała je, czasami uważnie się im przyglądając, ale niezmiennie były dla niej jak odległe galaktyki. Niemal nie widziała wokół siebie innych mężczyzn, mając jednocześnie niezachwianą pewnością, że dla swojego męża również jest tą jedyną. Nie uszło jednak jej uwadze, że takich jak ich dwoje było niewielu. Czasami miała nawet wrażenie, że zjawili się w tym dziwnym świecie całkiem przypadkowo.

Była przekonana, że przez siedem lat zdążyła się już przestawić na wielkomięskie tory, ale kiedy tylko wsunęła stopy w wygodne obuwie i związała gęste loki w koński ogon, coś nieprzyjemnie zapiekło ją w środku na myśl, że za kilka dni będą zapinać pasy bezpieczeństwa w samolocie do Wiednia. Rozmawiali często o tym, że kiedyś tu wrócą. Razem. To było słowo klucz, gdy wokół wszystko zmieniało się tak szybko. Za szybko...

Mazurskie siedlisko w samym sercu Puszczy Boreckiej przypadło jej w spadku po ojcu, z którym, decyzją matki, przez prawie całe swoje życie nie miała żadnego kontaktu. Była jedyną córką mężczyzny; wyglądało na to, że i kimś, o kim nigdy nie zapomniał. Gdyby nie mąż, nawet by nie pomyślała, żeby zawracać sobie głowę użytkowaniem tego miejsca w jakikolwiek sposób. Ale kiedy to właśnie on rzucił pomysł wykorzystania domu jako bazy wypadowej, spojrzała na niespodziewaną schedę łaskawszym okiem. Od dawna już marzyła o tym, żeby poszerzyć swoją artystyczną działkę o lekcje rysunku i malarstwa w plenerze. Jeśli więc już nadarzyła się okazja, by całkiem sympatyczną część tego pleneru mieć na własność, grzechem wydawało się chociażby nie spróbować o nią zawałczyć.

Walka może nie była zbyt długa, ale za to kosztowna. Obydwoje zaangażowali się jednak w stworzenie tego miejsca od nowa z takim zapałem, że zwrot zainwestowanych wspólnie oszczędności miał szansę nastąpić dużo szybciej, niż wskazywały na to wstępne kalkulacje. Rozległe, wieloletnie kontakty, tak towarzyskie, jak i zawodowe, w niedługim czasie zaowocowały kompletami gości chętnych na różnego rodzaju warsztaty albo po prostu na spędzenie kilku dni na łonie natury, które z miejskim zgiełkiem wygrywało w przedbiegach. Jednak Xenia nie zakochałaby się w tym skrawku ziemi tak szybko, gdyby nie ktoś, kogo teraz wciąż dotkliwie jej brakowało...

Wyszła na ganek. Przedpołudniowe sierpniowe słońce prawie ją oślepiło po długiej godzinie spędzonej w zacienionym biurze, centrum dowodzenia ośrodka, który odwiedzała już piąty raz z rzędu. Usiadła ciężko na schodach i zsunęła na nos okulary przeciwsłoneczne.

– Ale bigos... – Rozejrzała się niewidzącym wzrokiem dookoła, próbując na szybko zastanowić się, co powinna teraz ze sobą zrobić.

– Co poszło nie tak? – usłyszała obok siebie uprzejme pytanie.

Filigranowa blondynka z włosami związanymi w nonszalancki koczek wysoko na czubku głowy przyglądała się jej ciekawie, opierając się plecami o tarasową kolumnę.

– Gapa ze mnie, ot co! – Sama westchnęła głośno, kręcąc głową. – Pomyliłam daty. Mój kurs właśnie się skończył.

– Niefart – skomentowała szybko blondynka.

– Zaliczka w plecy, koszty podróży też. I długi powrót do domu z pustymi rękoma. Pociągiem...

– Skąd przyjechałaś?

– Z Trójmiasta. Z Gdańska.

– Daleko...

– Otóż to!

– Zdecydowanie niefart – powtórzyła nieznajoma, wyraźnie przejęta.

Obydwie milczały przez chwilę, przyglądając się nabierającemu jesiennych rumieńców ogrodowi, okalającemu porządnie odrestaurowany

dziewiętnastowieczny dworek, w którym odbywały się warsztaty. Na wprost schodów okupowanych przez nie w tej chwili, za drewnianym płotem i otwartą w nim na oścież furtką, biegła dębowo-akacjowa aleja, ginąca gdzieś daleko w gęstwinie splątanych konarów. Kiedyś zapewne była drogą dojazdową do domostwa; teraz, na poły zarosnięta krzewami i powybrzuszana nienapotykanymi na żadne przeszkody korzeniami starodrzewu, służyła licznie odwiedzającym dworek w Łucznicy za miejsce spacerów. Placówka przyciągała o każdej porze roku bogatą historycznie okolicą i magnetyzującym artystycznym klimatem, który od lat tworzyli nietuzinkowi uczniowie, ich wykładowcy oraz szereg jej pracowników gotowych na każde skinienie tymczasowych mieszkańców. Atrakcyjna oferta szkoleniowa i atmosfera sprzyjająca wymianie twórczej energii rokrocznie wypełniały szczelnie wszystkie pracownie tłumem chętnych na mariaż z rękodziełem w najprzeróżniejszych odsłonach. Xenia mogła być więc wściekła tylko sama na siebie. Przez jej gapiostwo przeszły jej koło nosa zajęcia, do których zawsze była długa kolejka, i jak dowiedziała się przed paroma minutami, będzie musiała trochę poczekać, zanim znajdzie się dla niej miejsce na kolejnym turnusie.

– Co przegapiłaś? – wyrwało ją z zamyślenia pytanie dziewczyny, która w ten sposób przypomniała jej o swoim istnieniu.

– Patchwork – odpowiedziała zrezygnowanym tonem.

– Może zostać na batiku.

Odwróciła uprzejmie głowę w kierunku pytającej.

– Nie było wolnych miejsc, kiedy o niego pytałam. Stąd patchwork.

– Teraz już jest.

– Skąd wiesz? – Xenia zmarszczyła brwi, mrużąc jednocześnie oczy przed słońcem, które właśnie błysnęło mocniej między gęstymi koronami parkowego drzewostanu.

– Poczekaj.

Dziewczyna podniosła się szybko ze swojego miejsca i zniknęła w przeszkłonych drzwiach ganku. Wróciła kilka minut później, uśmiechając się szeroko.

– Jest jedno wolne miejsce! – oznajmiła triumfalnie, siadając z powrotem, tym razem bliżej swojej rozmówczyni. – Nie dotrze moja znajoma. Dopiero

powiadomiła o tym Łucznicę.

Pół godziny później Xenia układała swój szampon i szczoteczkę do zębów w dwuosobowym pokoju na piętrze, w asyście zadowolonej z siebie drobnej blondynki.

– Mamy całe dwie godziny do rozpoczęcia zajęć. To co? Przejdziemy się? A później kawa? Czy odwrotnie?

– Teraz mam ochotę na wszystko. Ale zacznę od prezentacji. Xymena. Xenia!

– Wyciągnęła rękę do młodej kobiety, która, sądząc po uporządkowanych rzeczach osobistych, musiała zjawić się na miejscu dużo wcześniej. – Chrapiesz?

– Nie! – Zapytana roześmiała się głośno. – Ale jem za troje, więc uczciwie cię uprzedzam, zanim wybierzesz sobie miejsce przy stole. Wyjadam wszystko w zasięgu wzroku. Matylda!

Uścisk dłoni Matyldy był mocny i zdecydowany.

– Proponuję spacer, zanim zacznie się ten kołowrotek. Jesteś tu pierwszy raz?

– Piąty! – Xenia uśmiechnęła się szeroko do wspomnień. – Jestem uzależniona od tego miejsca.

– Opowiadaj...

Z niewielkimi przerwami ciągnęły wspólną opowieść przez kolejnych kilkanaście lat. Różniły je tylko kolor włosów i profesje współmałżonków. Reszta była bliźniaczo podobna. Wielokrotnie podczas zadzierzgniętej w ten artystyczny sposób znajomości zdumiewał je fakt, jak wiele je łączy. Miały niemalże identyczne zainteresowania, poglądy, frustracje; ulubioną kuchnię, muzykę i książki. Wychowywały synów, którzy przyszli na świat w podobnym czasie, nużyły je te same dowcipy, a zamiast składać wizyty u manikiurzystki wolały buszować w antykwariatach albo księgarniach. To Matylda namówiła ją na poszerzenie oferty pracowni o krawiectwo dla wymagającego klienta i pożyczyła brakującą sumę na jej pierwsze atelier z prawdziwego zdarzenia. Xenia natomiast przekazała przyjaciółce ogrom wiedzy na temat klasycznego malowania na jedwabiu, bawełnie i wielu innych naturalnych tkaninach. Stworzyły sobie swój własny barwny świat, w którym spotykały się tak często, jak tylko było to możliwe, czerpiąc z jego zasobów jak z życiodajnej studni.

Były jak siostry, które odnalazły się po wielu latach rozłąki. Czasami zastanawiały się głośno, który z ich mężów pierwszy wypowie wojnę tej przyjaźni, bo to wokół niej tak naprawdę kręciło się życie obydwu rodzin. Panowie jednak zgodnie przymykali oko na jej egoistyczną stronę, nawet wtedy, gdy żony znikają im z pola widzenia na bliżej nieokreślony czas. Ale upatrywali w tych ucieczkach korzyści i dla siebie, w postaci krzątających się po domu zadowolonych, zrelaksowanych połowic, więc tak naprawdę wszystko było na swoim miejscu.

Tęskniły za sobą prawie namacalnie. I już dawno temu obiecały sobie, że najlepiej będzie, kiedy doczekawszy się w końcu wnuków, zamieszkają gdzieś blisko siebie.

Matylda Witecka była pierwszą osobą, do której Xenia zadzwoniła zaraz po podpisaniu aktu własności skrawka ziemi między Giżyckiem a Wydminami, i pierwszą, do której zwróciła się o pomoc w realizacji swojego życiowego przedsięwzięcia. Chwilę później zaś kimś, bez kogo i w nowym biznesie, i w życiu nie mogła się obejść. Skryształizowała się nawet ich wspólnie wymyślona przyszłość, kiedy przyjaciółka zdecydowała się osiedlić w ich bliskim sąsiedztwie na stałe...

Nagła śmierć Matyldy bezpowrotnie pogrzebała ten ułożony świat.

– Jak się czujesz? – zapytał Grzegorz, kiedy mieli już siedlisko w zasięgu wzroku.

Wiedziała, w jakim kontekście mąż zadał jej to pytanie.

– Nie wiem, czy dobrze zrobiliśmy, decydując się na urlop tutaj. Jesteś przygaszona.

Chwilę szli bez słowa. Wsłuchiwała się w szum życia, które rozpychało się łokciami wszędzie, w którąkolwiek stronę obróciła głowę. Powietrze drgało owadzią krzątaniem, ptasim rwetesem i zapachami rozpalonego upałem lipca.

– Zamyślona. Jestem raczej zamyślona – odpowiedziała w końcu. – Może wyglądam na przygaszoną, ale to nie jest tak. W Wiedniu nie byłoby lepiej. A poza tym zatęskniłam już za tym miejscem.

Nie zebrała się na odwagę, żeby głośno powiedzieć, jak bardzo brakuje jej

w tej chwili Matyldy. Znali się z mężem na tyle długo, że akurat o tym nie musiała mu mówić. Zupełnie jakby wyartykułowanie tej myśli miało zbudzić dawno uśpione demony.

– Kocham cię, wiesz? – Przystanęła na chwilę i uśmiechając się, spojrzała w oczy mężowi. – Wracamy? Placek na pewno już przestygł. Zjem chyba ze dwa kawałki...

Przyspieszyli kroku.

– Czasami kołacze mi się jeszcze w głowie pytanie, dlaczego ktoś mi ją zabrał. I wtedy jestem z tego powodu tak wściekła, że nic innego nie czuję. Zaraz potem pojawia się refleksja, jak błysk i grom w jednym. – Zamilkła na chwilę, żeby ominąć leżący na ścieżce konar. – Że chce mi się żyć dalej. Dwa razy mocniej niż dotychczas. Paradoks?

Zadała głośno pytanie rozświetlonej, migoczącej przestrzeni.

– Wiesz, że nie. Mądre spojrzenie mądrej kobiety. Też mi jej brakuje. – Mężczyzna podał odpowiedź wprost w plecy żony, która na wąskiej dróżce szła kilka kroków przed nim. – Przez pryzmat tego, co mi z ciebie skradła. Ale zostało wystarczająco dużo! Wystarczająco – dokończył spokojnym tonem. – Chcesz kawę ze spienionym mlekiem?

– Pytanie!

O wypadku dowiedziała się z Faktów. Obejrzała je całkiem spokojnie, nie zdając sobie sprawy, że jedną z ofiar jest jej przyjaciółka... Żyła w tej nieświadomości jeszcze kilka kolejnych dni. Kiedy informacja o śmierci Matyldy dotarła w końcu i do niej, w pierwszym odruchu w ogóle nie przyjęła jej do wiadomości, zupełnie jakby ktoś w jej głowie zdecydował, że taka treść jest jej właścicielowi do niczego niepotrzebna. Nie potrafiła zrozumieć tego mechanizmu przez wiele miesięcy; zamknęła się przed nim na dziesięć spustów... Nawet nie musiała udawać, że jej nie ma. Bo i nie było. Rozpadła się na atomy, które wirowały swobodnie w sobie tylko wiadomych kierunkach. Z pogrzebu pamiętała niewiele. Ot, kilka ludzkich twarzy w postaci plam, które szybko rozmyły się w czasie. Z dnia na dzień odkładała kolejny wyjazd do siedliska, zupełnie jakby nagle z przysłowiowego rajy na ziemi zmieniło się

w enklawę upiorów i strzyg. Codziennosc przybladła, zmatowiała... Jak ciężką kulę u nogi wlokła za sobą chwile; bywało, że do prostych czynności zbierała się pół dnia.

Pierwszy plener, który była zmuszona skoordynować bez pomocy przyjaciółki, podkoloryzowała dodatkowymi atrakcjami, bogatszym menu i jeszcze większą uwagą skierowaną na każdego z uczestników kursu. Wszystko po to, żeby ból mniej drapał ją od środka, zagłuszony działaniem. Kiedy była w Trójmieście, ciągnęło ją na Mazury, żeby zaszyć się tam ze swoim smutkiem i wspomnieniami. Ale kiedy już się tam znalazła, szybko szukała pretekstu, żeby zamknąć drzwi na klucz i uciec jak najdalej od obrazów, zapachów i smaków, które kojarzyły się tak jednoznacznie.

W końcu dotarła do miejsca, gdzie świadomość zmierzyła się z nagą prawdą, a emocjonalna anemia zaanektowała sobie całą jej życiową przestrzeń. Upłynęło dużo czasu, zanim spostrzegła, że i jej małżeństwo zaczęło słaniać się na nogach. Grzegorza musiało w końcu zmęczyć wynajdywanie coraz to nowych sposobów na wyciągnięcie żony z bagna odrętwienia. Chyba tylko jakimś szóstym zmysłem wyczuła, że znalazła się za głęboko, kiedy kilka razy z rzędu po prostu nie przyszedł do sypialni. To ją otrzeźwiło i szarpnęło nią na tyle mocno, że od tego momentu przestała szukać dodatkowych motywacji do życia. Największą miała na wyciągnięcie ręki.

W końcu wróciła, chłonąc od tego momentu swój związek, jakby robiła to po raz pierwszy; z tą różnicą, że dotykała go pełniej, mądrzej, spokojniej, z wdzięcznością... Jak prezent. Od przyjaciółki?

Smugi ciepłego światła zmieniły łąki w żywą paletę kolorów, na której chylące się ku zachodowi słońce z minuty na minutę śmieiej bawiło się odcieniami i nasyceniem barw – jak dłoń wytrawnego malarza. Ledwie wyczuwalne podmuchy przyjemnego wiatru unosiły w zalotnym tańcu całe chmury drobnych owadów, które z odległości ocienionej werandy, gdzie w tej chwili siedziała, sprawiały wrażenie migoczącego pyłu. Jego łagodne fale usypiały wieczorny krajobraz kołysanką szeptów traw i ciemniejącej szybko ściany lasu. Doskonałość tej kompozycji onieśmiała ją i roztkliwiała zarazem. Jej odbiór

potęgowały zapachy, z których sporą część wyraźnie rozpoznawała, mając nieodparte wrażenie, że oto świat powierza jej swoje tajemnice. Cichnąca powoli przestrzeń ufnie i leniwie układała się w zagłębieniu między jej piersiami, na skórze kolan i opuszkach palców, którymi Xenia rozgarniała świeżo umyte włosy. Wdychała ją swobodnie, zaskoczona spokojem obieżyświata, który dotarł wreszcie do celu. Zapadła w jakiś rodzaj półsnu, półletargu scalającego jej ciało i umysł. Poczwała się syta, dopełniona. Cokolwiek spowodowało to wrażenie, pragnęła, by trwało i nie wypuszczało jej z objęć. To był ten ułamek życia, który gubił się w wielkich miastach, spychany do piwnic odrapanych suterem nienaturalną rywalizacją o lepszy kawałek nieba. A on najzwyczajniej w świecie był tu. I czekał...

– Śpisz?

– Śnię. Sen na jawie. – Przeciągnęła się, zmieniając pozycję na ogrodowym leżaku. – Rozkoszuję się świadomością, że kolejne lato przywitam i pożegnam tutaj.

Spojrzała przez ramię na męża, jakby chciała uzyskać od niego akceptację swoich wizji.

– Ja, szczerze mówiąc, mam teraz na myśli zupełnie inne rozkosze.

Mężczyzna pochylił się w jej kierunku.

– Jaskiniowiec – mruknęła z zadowoleniem, przyglądając mu się spod przymrużonych powiek.

– Najlepiej jeszcze przed rejsem.

– Możesz mi powiedzieć, jakim cudem wytrzymałam te siedem lat w miejskiej austriackiej dżungli? – droczyła się z nim, podając mu szyję do pocałunku.

– Najlepiej... – wszedł jej w słowo, ignorując w ten sposób postawione chwilę wcześniej pytanie. – ...jeszcze przed rejsem, zanim...

Głośny klakson po drugiej stronie domu gwałtownie przerwał wędrówkę męskich dłoni po odkrytych ramionach półleżącej Xeni.

– Wrócimy do tematu.

– Na to liczę! – odpowiedziała mężowi, wstając z fotela.

Cokolwiek miał na myśli, *tête-à-tête* czy ich już od dawna planowany powrót do Polski, liczyła na prawdziwą przyjemność.

Jakieś pół roku po przeprowadzce zaczęła żałować tej decyzji. Inaczej to miało wyglądać i nie tak wyobrażała sobie ten czas. Chociaż po prawdzie od początku do końca Wiedeń był jej pomysłem, jeśli więc chciałyby mieć do kogokolwiek pretensje o taki obrót spraw, to w pierwszej kolejności do siebie. Serfując po internecie, natknęła się na informację o koncercie Itzhaka Perlmana w Schönbrunn. W cenie biletu zawarte były kolacja i nocleg w zamku, gdzie odbywało się przedstawienie. Zwróciłyby uwagę na to ogłoszenie nawet wtedy, gdyby oferta nie była tak atrakcyjna. Ta wręcz ją zelektryzowała, tak ze względu na wirtuoza skrzypiec, którego twórczością od lat pasjonował się jej mąż, jak i na cały *entourage* muzycznej uczty. Zostali wtedy w Austrii kilka dodatkowych dni.

W jednej z kafejek w MuseumsQuartier, która wśród wiedeńskich osobliwości zrobiła na nich chyba największe wrażenie, dosłownie wpadli na jednego ze swoich wieloletnich wspólnych znajomych. Piotr, gdańszczanin z dziada pradziada, zaraz po dyplomie na rodzimej Moniuszkowskiej Akademii Muzycznej wyjechał ze swoją żoną, również muzykiem, do stolicy Austrii. Dla zdolnych instrumentalistów Wiedeń stanowił wrota do światowej kariery. Dziś małżeństwo posiadało własne studio nagrań, mnóstwo zawodowych kontaktów i kalendarz wypełniony datami kolejnych koncertów. Zanim Xenia się spostrzegła, para zdążyła roztoczyć przed nimi wizję współpracy, która miała nieść ze sobą same korzyści. W niezrozumiałym wtedy dla siebie amoku patrzyła w roziskrzone oczy męża chłonnego dźwięki europejskiej stolicy sztuki i brzmienie nazwisk największych tuzów muzyki klasycznej, będących tu na wyciągnięcie ręki, jak sucha gąbka krople wody. Atmosfera miasta, jego niezwykle koloryt i możliwości w każdej niemal dziedzinie szybko rozpały ich wyobraźnię i umysły głodne zmian. Tym, co miałyby sprawić im jakąkolwiek trudność w nowym miejscu, mieli obarczać swoich świeżo odnalezionych przewodników.

Aż do teraz zachodziła w głowę, jak do tego doszło, że prawie bezrefleksyjnie zdecydowali się zamienić trójmiejsko-mazurskie pielesze na rok w tyglu artystycznych zasobów i perspektyw, które zewsząd zdawały się wyciągać do

nich ręce. Rok przeciągnął się do dwudziestu czterech miesięcy, dwa lata do siedmiu, podczas których nie było dnia, żeby nie męczyły jej myśli o powrocie do kraju. Smakowanie świata w każdy możliwy sposób – to, co na początku sprawiało, że rumieniec nieustannie kwitł jej na policzkach – stało się w końcu tylko wykwintnym daniem, o którego zaletach mogła dyskutować już tylko sama z sobą. Nowe zajęcie męża jako muzyka sesyjnego, z jego nienormowanym czasem pracy i powrotami do domu nierzadko nad ranem, sprawiało, że gros czasu miała tylko dla siebie. I chociaż krąg ich nowych znajomych sukcesywnie się powiększał, kiedy nie miała Grzegorza u boku, zdecydowanie najswobodniej czuła się we własnym towarzystwie. Problemem był język, a właściwie jego nieznamość. Pierwszy raz wykazała się krótkowzrocznością, kiedy na myśl o lingwistycznych schodach naiwnie przekonywała samą siebie, że jakoś to będzie. „Jakoś” okazało się jednak niewystarczające, by mogła w pełni cieszyć się tym, co mogła z tej codzienności niecodzienności wynieść. Język rosyjski kaleczyła w stopniu doskonałym; na dźwięk wszystkich innych dostawała alergii na całym ciele.

W krótkim czasie ciekawszy dialog prowadziła już tylko ze sztuką w dziesiątkach muzeów i galerii. W pełni dotykała miasta tylko wtedy, gdy miała męża na wyciągnięcie ręki, wykorzystując jego doskonałą znajomość kilku języków obcych oraz silne męskie ramię. Bez niego była niema i niewidoczna.

Udało jej się znaleźć pracę na stanowisku stylisty w niewielkiej rodzinnej firmie odzieżowej. Skorzystała z umiejętności dawanych jej przez wyuczony zawód, więc tak naprawdę musiała tylko odświeżyć sobie w pamięci kilka podstawowych zasad, a potem przyrzeć się najnowszym europejskim modym trendom i dołożyć coś indywidualnego od siebie. Komunikowanie się za pomocą form i kolorów szło jej dużo łatwiej niż zwyczajna rozmowa wykraczająca poza zawodowy schemat. Po raz kolejny dostrzegła, jak uniwersalny jest język sztuki i że to artystyczne esperanto stanowi rodzaj klucza do zaszyfrowanej w różnoraki sposób przestrzeni. Miała dobre wyniki w pracy, niewiele czasu na leniuchowanie i pensję na więcej niż przyzwoitym poziomie; i mimo bariery językowej, po której codziennie uparcie się wspinała, wolała to niż samotne godziny przy maszynie do szycia czy sztalugach w zaciszu ich

wynajętego mieszkania. Wybierała szum pracowni i jej twórczą energię, choć czasami potrzebowała mnóstwa czasu, żeby wytłumaczyć współpracownikom jakiś swój zamysł tudzież sposób jego realizacji. Na kontakty prywatne, wymagające od niej znajomości większej ilości niuansów językowych, nie wystarczało już jej samozaparcia. Rola obserwatora i kogoś, kto jest zmuszony traktować wiele tematów powierzchownie, szybko ją nudziła, a trudność wejścia w swobodny dialog potęgowała wrażenie wyobcowania i skłaniała do zaszywania się w miejscach, gdzie mogła zwolnić umysł z ciągłego stanu gotowości. To był powód, dla którego nie nawiązała z nikim żadnych głębszych relacji; za to coraz częściej wracała do polskich znajomych, wyciskając możliwości współczesnych komunikatorów jak cytrynę. Słowa „dom” i „przyjaźń” nabrały dla niej nowego znaczenia, a kiedy dotarło do niej, że na bycie „u siebie” tak naprawdę składa się wiele rzeczy, najpierw wyartykułowała tę myśl sobie, a później mężowi. Wiedziała, że obserwuje jej intelektualne wysiłki i że nie jest szczególnie zdziwiony, iż jego druga połowa powoli zaczyna się poddawać. Wystarczająco dobrze znał jej słabe strony, żeby tego nie dostrzegać. Był to jednak jeden z najlepszych twórczo okresów w jego życiu. Doskonale zdawała sobie z tego sprawę, podobnie jak ze źródła swoich własnych frustracji.

Nie omijali trudnych tematów; w ogóle rozmawiali o wszystkim, dzięki czemu ich związek był prawdziwie dojrzały – a nie tylko długotrwały. Materię austriackiej codzienności kilka razy dokładnie wywracali na drugą stronę, uczciwie analizując wszystkie za i przeciw, i ostatecznie doszli do wniosku, że jeśli któremuś z nich wreszcie skończy się cierpliwość, powie to jasno i wyraźnie. W pewnym sensie jednak mąż wykorzystywał niezdecydowanie Xeni, nie ponaglał i nie naciskał jej szczególnie. Ona natomiast, nie chcąc skupiać się tylko na własnych potrzebach, nie parła do kolejnej zmiany, oczekując chwili, kiedy oboje nabiorą pewności, że będzie to dla nich najszcześniejsze rozwiązanie. Ale co do jednego byli zgodni; uznali dystans siedmiu lat pobytu za granicą za nieprzekraczalny.

Sprawnie udało jej się przejść Kisajno z jego trzema wyspami, w których

bliskości wiatr próbował manewrować łodzią po swojemu. Tak samo dobrze poszło jej w giżyckim kanale, niezatłoczonym jeszcze o tej porze dnia. W porcie nie schodzili na ląd; mieli ze sobą wszystko, czego potrzebowali do trzydniowego rejsu. Było jasne, że u szczytu sezonu urlopowego w żadnej z knajp nie dostaną teraz nic ani szybko, ani w zadowalającej jakości. Zamierzali zacumować gdzieś na dziko i nieśpiesznie przyrządzić coś, czego będą najzupełniej pewni. Giżycka marina w późnoporannym słońcu błyszczała jak dotykane niewidzialną dłonią klejnoty. W zasadzie na pełnym wietrze Xenia mogła przepłynąć Niegocin samym środkiem, ale wybrała niezbyt ostrą halsówkę. Siła wiatru była w sam raz, żeby poczuć w trzymających rumpel dłoniach jego moc i czerpać z pędu żagłówki tnącej spore fale prawdziwą przyjemność. Wiatr zdawał się dość jednostajny, nie traciła jednak czujności, dzierżąc w jednej dłoni ster, w drugiej talię. W każdej chwili niespodziewany podmuch mógł wytrącić jej go z ręki i niebezpiecznie przechylić jacht. Nieraz była świadkiem nieostrożności zbyt pewnych siebie żeglarzy, którzy przy znacznie lepszych warunkach pogodowych topili łodzie, zupełnie lekceważąc wyraźne sygnały świadczące o dużej zmienności wiatru i wynikających z tego konsekwencjach. Spokojnie skonstatowała, że może pominąć refowanie żagli i bezpiecznie wykorzystać możliwości łodzi do maksimum.

Dziś pływali we trójkę. Zdecydowali, że będzie to czas tylko dla nich. Xenia chciała nacieszyć się obecnością dawno niewidzianego jedynaka i wykorzystać rejs na nieśpieszną rozmowę o planach na najbliższe miesiące. To właśnie Witek, teraz już rosły czterdziestolatek z obydwoma żeglarskimi patentami w kieszeni, prowadził za rękę matkę stawiającą swoje pierwsze wodniackie kroki. A odkąd własny glejt miała w dłoniach, uczciwie dzieliła czas już między dwie pasje. Syn trzymał też pieczę nad siedliskiem i pomieszkiwał w nim regularnie, szczególnie w sezonie żeglarskim. Pracując bowiem jako prawa ręka bosmana w sztynorckiej przystani jachtowej, właściwie już od kwietnia do października nie schodził ze swojego posterunku na kapitańskim portowym mostku. Xenia ubolewała nad tym, że choć od kilku lat dziewczynę miał już tylko w jednym porcie, wciąż się nie zapowiadało, że ich rodzinne stadko szybko się powiększy. Po cichu marzyła sobie o tym, jak to właśnie ona zabiera swojego wnuka w jego pierwszy rejs, pokazując mu świat z własnej

perspektywy. Ten temat również zamierzała zgłębić, już przy ognisku, może jeszcze przy wtórze wiatru grającego na wantach przycumowanego gdzieś w szuwarach jachtu.

Panowie rozmawiali przyciszonymi głosami. Wyłączyła się, kiedy tylko poczuła na policzkach pierwszy silniejszy powiew. Stała w lekkim rozkroku, obserwując migoczącą taflę wody. Łódź przyjemnie kołysała się na powierzchni, pozostawiając za sobą szeroki, spieniony kilwater. Szum przecinanych dziobem jachtu fal i łagodny dźwięk wody obmywającej raz lewą, raz prawą burzę sprawiały, że myśli nabierały samych przyjemnych kształtów, krążąc w jej głowie w rejonach odpowiedzialnych za wewnętrzną harmonię i zgodę na ustalony porządek świata. W tym momencie nie brakowało jej dosłownie niczego.

– Robimy zwrot! Luzuj szot foka, Witek – wydała komendę i chwilę później mocno odepchnęła od siebie ster na maksymalną odległość, jednocześnie puszczając lekko linę trzymającą bom na uwięzi. – Grzegorz, prawy szot foka wybierz!

Skrzypek szybkim ruchem napiął mniejszy z żagli i sprawnie owinął napiętą linę wokół kabestanu.

– Zmienić cię, mamó? – zagadnął kobietę młodszy z mężczyzn, zwijając luźno leżący, cienki szot i chowając go w przytwierdzoną do obudowy łodzi brezentową kieszonkę.

– Nie. Dobrze mi w tym miejscu. – Spojrzała z góry na obu swoich towarzyszy i uśmiechnęła się szeroko. – Ale jeśli obiecasz mi, że nie kiwnę palcem przy kolacji, nie będę protestować.

– Kapitan ma zawsze rację! – Witek przytaknął matce ruchem głowy. – Przylecicie do Polski jeszcze w tym sezonie? Czy dopiero z całym majdanem? Tato?

– Nagrania kończę na początku listopada i mam miesiąc zaległego urlopu, więc... – Wywołany do odpowiedzi zmienił pozycję na pokładowej ławeczce.

– Wiesz, że gdybyś się sprężył, moglibyśmy zakończyć naszą siedmioletnią tułaczkę na szlaku Wielkich Jezior Mazurskich – zawtórowała synowi stwierdzeniem skierowanym do męża. – Marzą mi się prawdziwe rodzinne święta! Takie z żywym, pachnącym drzewkiem, skrzypiącym śniegiem

i pierwszą gwiazdą, której nie przyćmiewa las miejskich latarni.

– Lubię twoje poetyckie porównania. – Skrzypek odwrócił twarz w kierunku żony, poprawiając okulary przeciwsłoneczne.

– Trudno w takim miejscu choć przez chwilę nie być poetą.

– Zatem... – Grzegorz uniósł ręce w pojednawczym geście. – Wszystko ustalone!

– Wygląda na to, że w tym roku tłok na Mazurach przeciągnie się do Bożego Narodzenia – rzucił Witek, wchodząc obojgu w słowo. – Bo z tego, co mi wiadomo, jeśli sygnie śniegiem, trzeba się będzie przekopywać do Makarskich. Dziewczyny chyba zamierzają przejąć rodzinne stery!

– Zwrot! – Musiała przerwać synowski wywód.

Tak. W życiu też lubiło powiać z różnych stron. Ale wystarczyło mieć dobrego sternika na pokładzie, żeby z każdego przechyłu wyjść suchą stopą...

Wyrównała kurs i głęboko odetchnęła. Gdyby pozwoliła sobie przeżyć żalobę po Matyldzie do samego końca, być może nie musiałyby salwować się ucieczką w miejsca pozornie wolne od wspomnień. Teraz była o tę refleksję mądrzejsza. A może nie miało to nic wspólnego z mądrością, tylko czasem, który musiał minąć, żeby mogła pewnie zrobić kolejny krok, kolejny zwrot, kolejny hals. Zza pleców dobiegł ją szum i świst przecinanego ciężkimi skrzydłami powietrza. Uniosła głowę w momencie, kiedy para łabędzi przelatowała nad jachtem. Podążyła wzrokiem za ptakami i odprowadziła je nim aż do miejsca, gdzie zniżając lot, zniknęły jej z pola widzenia. Miłosa doskonałość... Może zbyt często szuka się jej tam, gdzie wcale jej nie ma? Czy ze szczęściem nie bywa przypadkiem tak samo?

Była matką chrzestną i Halszki, i Różanki. Trzymając bliźniaczki do chrztu, nigdy by nie przypuszczała, że przyjdzie jej się rozliczyć z danej w ten sposób obietnicy. Ale robiła to z ogromną przyjemnością i taką miłością, na jaką tylko było ją stać. Rok po roku piekła każdy z urodzinowych tortów, patrzyła, jak dziewczynki uczą się chodzić, upadać, kochać. Zawsze znalazła panaceum na ich rodzinne bolączki, nawet wtedy, gdy sama nosiła w sercu jedną wielką ranę. Długo trwało, zanim przypominający jej o stracie piekący ból zniknął na dobre.

Z czasem obcowanie z tymi żywymi śladami przyjaciółki stało się przyjemne; w końcu – budujące. Dostrzegała w bliźniaczkach ten sam stopień wrażliwości, który cechował ich matkę, i tę samą ciekawość świata, którą – wespół z Kosmą – pomagała w dziewczynkach rozwijać. Halszce w wiedeńskich antykwariatach wyszukiwała stare, piękne ryciny ptasich osobliwości, dla Różanki zaś taszczyła z każdej podróży bogate w fotografie albumy różnych zakątków świata. Niewykluczone, że przez parę dobrych lat wycierała nosy przyszłym globtroterom, dokładając w ten sposób swoją skromną cegiełkę w podwaliny współczesnych nauk przyrodniczych. Nigdy nikomu się do tego nie przyznała, ale zdarzało jej się z zazdrością spoglądać w stronę dziewczynek, żałując, że zdecydowała się kiedyś tylko na jedno dziecko. Nie miała córki i ubolewała nad tym. Ale obecność Halszki i Różanki niwelowała jej ten niedosyt w niezwykle, podwójny sposób. Dlatego na myśl o powrocie do kraju również cieszyła się podwójnie. Z nową rodziną Matyldy nie łączyły jej żadne więzy krwi, jednak miejsce, jakie ta zajmowała w jej codzienności, było niezaprzeczalnie ważne.

Kiedy przyjaciółka po raz pierwszy zwierzyła się jej z romansu z kolejnym mężczyzną, musiała przyznać, że była na nią zła. Uważała, że niepotrzebnie podkopuje w ten sposób swój już i tak kruchy małżeński fundament; że nie w tę stronę powinna skierować potencjał dojrzałej kobiety. Dla nich obydwu sfera uczuć, emocji, rozmaitych podnieć stanowiła bezdyskusyjnie element codziennej egzystencji. Manifestując je, dawały upust energii, która czasem rozsadzała je od środka. Xenia jednak nigdy nie wykorzystywała w tym celu zdrady i nie do końca rozumiała motywacje tych, którzy się jej dopuszczali. Dla niej stanowiła granicę, poza którą były już tylko zgliszcza, resztki czułości, strzępy zaufania i poczucie bezpieczeństwa pocięte siatką zmarszczek kolejnych kłamstw. Bała się zdrady i trzymała się od niej z daleka, jakby miała w sercu wbudowany mechanizm samoczynnie inicjujący ucieczkę, jeśli zbliżała się do niej na niebezpieczną odległość. Przyjaciółce najwyraźniej ten mechanizm szwankował, albo też sama właścicielka świadomie rozkręcała w nim śrubki, spiralki i elementy łączy, by później tak samo świadomie je gubić. Xenia oprócz kilku, według niej mało istotnych, wad nie znajdowała w mężu Matyldy nic, co usprawiedliwiłoby drugie życie przyjaciółki. Z czasem coraz bardziej się w nim gubiła. Miała wrażenie, że każdy skok w bok Witeckiej sama ma w jakiś sposób

wypisany na twarzy, dlatego z roku na rok w obecności Wiktora czuła się coraz mniej swobodnie. Bywały chwile, kiedy stawiała się współwinna; jakby ciężar swoich kłamstw przyjaciółka wciskała jej w dłonie na siłę.

Lojalność w stosunku do Witeckich zaczęła się jej rozmywać jak wieczorny pejzaż. Wciąż miała ich dwoje na wyciągnięcie ręki, ale bywało, że poruszała się w ich świecie jak słoń w składzie porcelany. Matylda zdawała się jednak zupełnie nie dostrzegać tego rozedrgania i nierzadko zakłopotania, będących efektem jednej czy dwóch pozamałżeńskich przygód. Xenia nie potrafiła jednak się od niej odwrócić. Moralizowała rzadko, nie potakiwała, pytała, próbując okiełznać chaos w głowie przyjaciółki i przy okazji swój własny. Ale była. I dotrwała w tej przyjaźni do momentu, kiedy w życiu Matyldy pojawił się Kosma.

Była pewna, że to będzie kolejny miłosny zryw, po którym gordyjski węzeł moralnego kaca i nowych rozczarowań znowu jakiś czas będzie trzymał niewierną w uścisku. Tym razem było inaczej. Matylda traciła przywileje żony jeden po drugim i paliła za sobą mosty. Xenia nie znała jej takiej; zdecydowanej, kroczącej pod rękę z konsekwencjami swoich wyborów, gotowej na każdą zmianę, spokojnej. Zrozumiała to chwilę później. A raczej współodczuła, że oboje z Kosmą stanowią jakiś rodzaj jedności, którego źródła nie było sensu dociekać. Nie dociekała więc; za to odetchnęła z ulgą, jakby to co najmniej w jej życiowym alfabecie rozrzucone literki ktoś ustawił wreszcie w odpowiedniej kolejności, tworząc z nich klarowny, czytelny przekaz.

Siedziała nad kawą w jednej ze swoich ulubionych cukierni na Naschmarkt, który odwiedzała tak często, jak tylko było to możliwe. W każdą sobotę zaś był to ich obowiązkowy punkt na mapie Wiednia. Nie dziwiła się wiedeńczykom, że ścigali tu tak tłumnie. Jej samej nigdy nie nudziła się szeroka oferta setek stoisk z ubraniami, owocami, warzywami i przyprawami z całego świata. Dodatkowo niezmiennie przyciągał ją pchli targ ze swoim bogactwem staroci i bibelotów oraz miejsca, gdzie można było skomponować własną herbacianą mieszankę.

Było wyjątkowo ciepło jak na połowę października. Po raz pierwszy, odkąd przenieśli się do Wiednia, jesień w mieście była tak słoneczna. Zupełnie jakby

natura chciała ich przekonać, żeby zastanowili się jeszcze nad zmianą decyzji.

Wybrała stolik przed lokalem. Przyjemna aura zachęcała do odpoczynku na świeżym powietrzu. Trzymała w obu dłoniach szklankę swojego latte, wdychając mocno zapach napoju wymieszany z aromatem surfinii spływających gęstymi kaskadami z rozwieszonych wokół kawiarni doniczek. Targ wypełniał barwny tłum przechodniów i turystów. Lubiła przyglądać się ludziom, ich twarzom, gestom, szczegółom strojów i dopisywać sobie w głowie historię każdego z osobna. Taka mała wycieczka wyobraźni przemierzającej na co dzień tylko jeden świat.

Miasto tonęło w słońcu i wszechobecnym zgiełku. Ale właśnie to miejsce wybrała sobie na pożegnanie z nim; z energią i z całą paletą barw, którymi było przesycone na wskroś. Odwiedzała cukierenkę regularnie; sąsiadowała z ulicą, na której znajdowała się jej pracownia, i serwowała doskonale wiedeńskie *gelato*. Przychodziła tu sama, z kolegami z pracy albo z mężem. Co ciekawe, nigdy nie zdarzyło jej się, żeby rozpoznała kogoś, kogo widziała tu już wcześniej. Za każdym razem mijały ją nowe, obce twarze. Czasami nawet miała wrażenie, że codziennie zmienia się także obsługa. Brakowało jej stałości, przewidywalności i ciągłości; miejsca na rzucenie kotwicy, gdzie ma się pewność, że zawsze będzie w nim czekał ktoś, kto zapamięta nasze imię, przyzwyczajenia, preferencje. Poczucie nieograniczonej niczym wolności w bezimiennym tłumie już od dawna wypierało pragnienie tego rodzaju harmonii, która karmi się przestrzenią wypełnioną znajomo bezpiecznym – kształtem, słowem, czyjąś obecnością. Obok kawy położyła wydany w kilku językach album współczesnej sztuki tkackiej, prezent od całego artystycznego składu miejsca, w którym przez ostatnie kilka lat zostawiała część siebie. Wiedziała, że koledzy coś dla niej szykują, a i tak się nie spodziewała, że jej zaangażowanie w pracę zostanie tak mocno dostrzeżone. Wyglądało na to, że sama nie do końca potrafiła ocenić i docenić własne umiejętności. Dostała mnóstwo drobnych upominków, uścisków i podziękowań. Nie bez żalu zamykała więc drzwi wiedeńskiego atelier; opuszczała je jednak w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, wybiegając już jednocześnie myślami daleko poza mury miasta.

Leżąca na stoliku komórka zawibrowała i zadzwięczała tradycyjnym

sygnałem przychodzącego połączenia telefonicznego. Wyświetlacz urządzenia rozjaśniła roześmiana buzia Różanki.

– Wolisz sznycel wiedeński, ciociu, czy coś bardziej polskiego?

Głos w słuchawce spowodował u niej szybsze bicie serca.

– Czy ja dobrze dedukuję, kochanie, że komitet powitalny szykuje dla mnie jakieś atrakcje? – odpowiedziała nastolatce pytaniem.

– Zgadłaś. Najpierw ojciec ogołocił w miasteczku sklepowe półki, a potem wygonił nas z kuchni. I wypieka! Sama rozumiesz...

– Mhmmm. Rozumiem.

– On w gary, my do transparentów. Taki *deal!*

– Wszystko u was w porządku, Różyczko?

– Tak – relacjonowała głośno dziewczyna. – Bez Hal tylko pusto się zrobiło jakoś tak...

– Kochanie, byłoby dziwne, gdybyście przez całe życie szły, trzymając się za ręce; chociaż ja, muszę przyznać, wciąż tak was obie pamiętam.

Na chwilę w słuchawce zapadła cisza. Oczyma wyobraźni Xenia widziała, jak dziewczyna zamyśla się i smutnieje. Choć obie siostry były indywidualnościami i każda z nich miała swoją własną ścieżkę, którą uparcie wydeptywała, ich światy zazębiały się na każdym kroku, tworząc bijący jednym sercem organizm. Egzystowały jednocześnie razem i osobno, ale tak blisko siebie, jak tylko mogą być blisko ludzie, dla których drugi człowiek jest centrum wszechświata. A przynajmniej do momentu, w którym jedna miłość ustępuje miejsca kolejnej...

Rozłąka dziewcząt, o której obydwie świadomie zdecydowały, była kolejnym egzaminem dojrzałości, o wiele trudniejszym – Xenia była tego najzupełniej pewna – niż jego szkolna wersja. Niemal czuła ból siostrzanego rozstania. Łagodziła go tylko myśl, że za kilkanaście godzin sama będzie mogła uściskać obie panny. I pocieszyć. Z premedytacją i niesłabnącą przyjemnością wykorzystywała w takich chwilach wszystkie przywileje matki chrestnej. Nawet wtedy, gdy okazało się, że dziewczęta właśnie przerosły ją o głowę.

– Powiedz tacie, że nie będę grymasić. I że będę was kochać, nawet jeśli na stół wjadą tylko słone paluszki.

– Ojciec spaliłby się ze wstydu! – Nastolatka zaśmiała się głośno. – Cieszę

się, że już zostaniesz. Mogę liczyć na ciebie przy niespodziance dla taty? – Ostatnie zdanie Różanka wypowiedziała półszepem.

– Oczywiście. A ja liczę, że spłynie na mnie choć odrobina splendoru należna organizatorom.

– Mówisz i masz, ciociu. Naprawdę fajnie, że wracasz...

– Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej. – Westchnęła teatralnie. – Wyświechtane to mocno, ale wyjątkowo prawdziwe. Kiedyś to zrozumiesz.

– Coś w tym jest...

– Jest.

– To co? Do zobaczenia w domu?

Dom przy Kopernikusgasse nie sprawiał wrażenia miejsca, które za chwilę miało zmienić lokatorów. Tak naprawdę Xenia i Grzegorz zabierali ze sobą tylko kilka kartonów książek i może jedną dodatkową walizkę drobiazgów. Wszystko, co znajdowało się na wyposażeniu mieszkania, należało do właściciela lokalu. Tym samym wyprowadzka jawiła się jako stosunkowo niewielki wysiłek. Ustalili, że ona poleci do Gdańska pierwsza, przyjrzy się z bliska sprawom wynajmów ich trójmiejskich lokali i przygotowuje mazurskie siedlisko tak, żeby mogli tam bezstresowo przezimować. Gdyby poczekała jeszcze miesiąc, mogliby wsiąść do samolotu razem, ale jej cierpliwość wlokła się resztką siłą, głucha na jakiegokolwiek argumenty. Myślami Xenia była już na wsi, odśnieżała ganek, dokładała do kominka i piekła ciasto na popołudniową wizytę sąsiadów. Grzegorz musiał zagrać jeszcze kilka zakontraktowanych koncertów. Ostatni z nich miał się odbyć w Paryżu i to stamtąd mężczyzna zaplanował wrócić już do Polski, po wcześniejszym zamknięciu wszystkich wiedeńskich interesów.

Już w przedpokoju pachniało kawą i papierosami. Jej mąż palił rzadko; zastanowiło ją przez chwilę, dlaczego zrobił to właśnie dzisiaj. Zastała go rozmawiającego przez telefon po francusku i chodzącego po ich niewielkim salonie tam i z powrotem. Machnął do niej na przywitanie, nie przerywając marszu. Zanim skończył, zdążyła wziąć prysznic, wysuszyć włosy i nakryć do kolacji. Gdyby rozumiała choć jedno całe zdanie, nie musiałaby o nic pytać. Ale w języku George Sand znała zaledwie kilka słów, które i tak zdecydowanie za

często myliła.

– Kto to był? – zapytała, kiedy mąż odłożył w końcu komórkę na niską komódkę.

– Marie. Marie Bonnet. Z Collioure. Pamiętasz ją?

– Czy to nie ta dziewczyna, która mieszka w sąsiedztwie dawnej pracowni Matisse'a?

Przypomniała sobie piękną szatynkę z jakiejś posiadówki przy winie, na którą dostali zaproszenie od Piotra i jego żony. Dobrze ją zapamiętała, bo wokalistka była nie tylko piękną, ale też myślącą i świadomą wszystkich swoich atutów artystką, chociaż – to również zapisało się Xenii w głowie – mogłaby być ich wnuczką.

– Nagrywałeś coś dla niej...

– Tak. Pół roku temu.

– I? Czego chciała?

– Ten singiel ma rekordową we Francji liczbę odsłon w internecie.

– To dobrze. Nie zmarnowałeś swojego czasu. Długo z nią rozmawiałeś. – Dokończyła zdanie z lekkim znakiem zapytania na końcu.

– Z nią i z jej menadżerem.

– Z menadżerem? – Nadstawiła dokładniej uszu.

– Kompletują skład na nagranie płyty, a potem na trasę koncertową.

– Mhmmm...

Czekała na ciąg dalszy, mieszając świeżo ugotowane penne z gorącymi krewetkami, smakowicie pachnącymi klarowanym masłem i czosnkiem. Rozłożyła aromatyczną mieszankę na dwa płaskie talerze i każdy z nich oprószyła drobno poszatkowaną natką pietruszki. Postawiła danie na stole w tym samym momencie, w którym jej mąż napełnił kieliszki winem.

– Rozumiem, że zaprosiła cię do udziału w jednym i w drugim? – ponagliła go, ciekawa.

– Zgadza się.

– Jak chcesz to logistycznie rozwiązać? – Zmarszczyła czoło.

– To ma być wersja symfoniczna, dokładnie taka jak singiel. Będzie sporo prób. Idą na to konkretne środki. Trasa promująca płytę ma się zamknąć w czterech, pięciu miesiącach.

Milczała przez dłuższy czas, analizując usłyszane informacje.

– To miesiące pracy, dzień po dniu.

– Minimum rok; może półtora.

– Gdzie są nagrania?

– Tutaj. W Wiedniu.

Przełknęła kęs, opierając końce sztućców o brzegi talerza.

– Ale przecież wyjeżdżamy. Powiedziałaś to jej? Im? Raz na jakiś czas mógłbyś przylecieć na nagranie; to przecież nie problem, jeśli ma ci się to opłacić, ale...

– Chciałbym, żebyśmy zostali jeszcze rok. Najlepiej dwa.

– Słucham? – Czuła, jak krew szybko odpływa jej z twarzy.

– To ciekawy projekt; genialni muzycy, fajne, nowe brzmienia i zaskakujące aranżacje. To będzie coś świeżego w tym gatunku! Chciałbym w tym uczestniczyć.

Grzegorz przyglądał się swojej żonie z wyraźnym napięciem na twarzy, ale i z rodzajem oczekiwania na usłyszenie satysfakcjonującej odpowiedzi.

– Zgodziłeś się?

– Tak. To tylko rok.

– Albo dwa – powiedziała prosto w talerz. – Nawet mnie nie zapytałeś.

– Xenia...

– Nie zgadzam się.

– Nie przesadzaj. Co to jest rok?!

– Uzgodniliśmy coś. Wspólnie. Nie rozumiem, skąd taka zmiana.

– To świetny projekt. – Ton mężczyzny w jednym momencie nabrał siły i stanowczości – I mam szansę... – Zawahał się, szukając w myślach odpowiedniego słowa.

– Szansę na co, Grzeniu? Odpowiedz mi. – Z taką samą siłą rzuciła swoje pytanie, po czym, nie czekając na reakcję, dokończyła: – Na kasę?

Zawiesiła głos i zaraz potem nabrała głęboko powietrza.

– Brakuje ci?

– Wiesz, że tu nie chodzi o pieniądze.

– Domyślam się, że w związku z poziomem twojego profesjonalizmu gratyfikacja finansowa jest daleko w szeregu za tym wszystkim, co nazywamy

radochą tworzenia. – Oparła się o krzesło z takim impetem, że to aż zaskrzypiało.

– Fajnie jest mieć w dorobku taką rzecz.

– Zadam drugie pytanie. Mało ich masz? Długo by trwało, zanimbyś je wszystkie zliczył; również te najbardziej spektakularne. I myślę, że wcale nie przesadzę, używając słowa: „osiągnięcia”.

Mars na czole mężczyzny pogłębił się w jednej chwili.

– Zachowujesz się, jakbyś nie rozumiała.

– Obrażasz mnie, Grzegorz.

Otworzył usta, żeby zripostować, ale go ubiegła.

– Nie jestem tylko żoną artysty, nie zapominaj o tym.

– Więc o co ci chodzi? Przecież masz tutaj co robić i nie możesz narzekać na brak rozrywek. Te dwanaście miesięcy dla mnie to aż tak dużo?

– Dałam ci siedem lat.

– Nie umartwiałaś się w tym czasie i nie ciągnąłem cię tutaj na siłę!

Porzucony w połowie konsumpcji makaron zdążył wystygnąć i stracić na walorach smakowych.

– Owszem! Bo lubię być blisko ciebie. Bo lubię cię uszczęśliwiać; bo lubię, kiedy robimy coś razem, bo życie we dwoje to nie tylko spotkanie się w jednym łóżku. Jest jeszcze cała reszta, która jest równie ważna jak seks i która w pewnym momencie jest niezbędna jak tlen. Ale specyfika naszej pracy to także wliczone w nią czekanie.

– Nigdy ci to nie przeszkadzało.

– Ale zaczęło. Odkąd piątka wskoczyła na miejsce czwórki w mojej metryce. Nie czuję się tutaj u siebie i dobrze o tym wiesz. Przyznaję; myślałam, że będzie inaczej. Ale pomyliłam się. Chcę wrócić do domu. I nie chcę już dłużej na ciebie czekać. Stać nas na to. Już nas na to stać.

Chciała, żeby ją dobrze zrozumiał i choć po części poczuł to, co ona w tej chwili.

– Czegoś tu nie rozumiem. Nigdy nie stawałem ci okoniem, kiedy chciałaś się realizować. I nie pamiętam, żebyś mnie to samo dążenie wypominała.

W tonie męża słyszała nutę ledwie wyczuwalnej złości. Nie lubiła tych momentów w ich związku, nawet jeśli trwały krótko i ich pojawianie się było

zwyczajnie konieczne, żeby patrząc w jedną stronę, mogli zobaczyć dokładnie to samo.

– Chcę tylko powiedzieć, że już nic nie musimy; nie musimy dorabiać, zarywać nocy, wkupywać się w niczyje łaski i szukać poklasku. Nic nie musimy, powtórzę; za to dużo możemy. A możemy korzystać z życia. Możemy spokojnie odcinać kupony i nigdzie nie gonić! Możemy wreszcie przestać na siebie czekać – mówiła coraz szybciej i czuła, jak rumieniec wzburzenia zaczyna palić jej policzki. – Chcę budzić się rano i słyszeć twoją krzątanicę w kuchni, po obiedzie pójść na spacer, a wieczorem otworzyć butelkę wina. Z tobą. Zasłużyliśmy sobie na to. I zapracowaliśmy. Tym razem to nie są tylko dodatkowe zera na koncie, twoje nazwisko na okładce płyty czy szansa na Grammy! To wiele tygodni z dala od siebie. Naprawdę muszę ci robić z tego wykład?

– Mówisz tak, jakbym robił to pierwszy raz. – Nie dawał za wygraną, szykując w myślach nowy arsenał argumentów. – Ty jesteś o nią zazdrosna! – zdecydował się w końcu na ostatnią myśl. I jak się chwilę później okazało, nie najszcześliwszą.

– Daruj sobie takie uwagi. – Zakłuło ją boleśnie gdzieś w środku. – Oświecę cię w kwestii tego, co ona ma ode mnie lepszego.

Wyprostowała się na krześle i przysunęła bliżej stołu. Wiedziała, że ze złości błyszczą jej teraz łzy w oczach.

– Jędrny tyłek i sterzące cycki. Żeby mi dorównać w całej reszcie, musiałaby się mocno napocić. I dokładnie wiesz, co mam na myśli. Kiedyś jeszcze może mogłabym zazdrościć jej sławy i popularności. Ale to wątpliwy obiekt pożądania! Bo wystarczy chwila, żeby przerodziła się we wściekłą nienawiść innych. Ale ona jeszcze o tym nie wie. Za to ty już tak.

Zrobiła krótką pauzę.

– Mogłaby być twoją wnuczką. I mentalnie jest od ciebie tak daleko, jak twoje nienarodzone jeszcze wnuki! Chyba wyczerpałam temat.

Mąż odpowiedział jej milczeniem i wzrokiem wbitym w kieliszek z resztką jasnego płynu.

– Powiem jaśniej. Czuję kurczący się czas i nie mam zamiaru marnować ani jednej z upływających minut. Chcę zobaczyć, jak to jest, kiedy pożegnania zamienia się na codzienność w przydeptanych kapciach. W domu, a nie

w wynajętych mieszkaniach i z sąsiadami za ścianą, których imienia nawet nie znam. Chcę się tobą nasycić. – Położyła nacisk na ostatnie słowo. – Aż do znudzenia.

– Prosiłbym cię, żebyś przemyślała to jeszcze. – Nie był do końca pewien, czy to zdanie było potrzebne, ale jeszcze próbował.

– Ja już skończyłam. Kolację również.

Położyła sztucce na talerzu i odsunęła naczynie na bok.

– Nagrania rozpoczynają się po Nowym Roku. Moglibyśmy po świętach...

– Ty mógłbyś po świętach, Grzegorz. Ja nie zamierzam tu wracać. – Spojrzała na męża bez cienia uśmiechu na twarzy. – Dobre wino. Takie jak lubię. Dziękuję.

– Wiem, co lubisz.

– Tak, znasz mnie. I wiesz, co lubię.

Spojrzała na niego wymownie, wstała od stołu i skierowała kroki do sypialni. Nie tak wyobrażała sobie ich ostatni wspólny wieczór.

– Chodzi o Matyldę? – usłyszała ostry ton za plecami. – O to, że nie wróciła z ostatniego kontraktu? Jak długo jeszcze ten wypadek będzie się za nami ciągnąć?!

Zatrzymała się w pół kroku i odwróciła do męża. Chciało jej się płakać, ale jednocześnie zyskała w tym momencie pewność, że jej decyzja jest słuszna.

– Może tak długo, aż wyciągniemy z tego wnioski. Zastanów się nad tym. – Czuła, że musi natychmiast się położyć, jakby w kilka chwil każdy jej mięsień i każdy centymetr skóry zareagował na ogromny wysiłek. Zanim znalazła odpowiedź na pytanie, czy nie szuka dziury w całym, zasnęła dusznym snem, z pięściami zaciśniętymi pod poduszką.

Otworzyła oczy i przeciągnęła się leniwie. Spojrzała na wiszący na ścianie zegar. Nie zrywała się jednak, mimo iż godzinowa wskazówka dawno minęła dziesiątkę. Mieli swój wypracowany latami poranny wigilijny rytuał, do którego obydwójce przywykli, czerpiąc z niego maksimum przyjemności. Przedświąteczne obowiązki organizowali sobie zawsze w taki sposób, żeby tego dnia żadne z nich nie musiało się nigdzie śpieszyć. Był to wprawdzie pierwszy

raz, kiedy przygotowaniami do Wigilii zajęła się sama, ale i pracy przy tegorocznej kolacji było wyjątkowo mało. Ku jej uciesze bliźniaczki zadbały o to, żeby nikt z uczestników wieczoru nie był zbyt mocno obciążony bardzo sprawiedliwym podziałem zadań. Oboje z mężem nie mieli też do nikogo żadnych pretensji, kiedy stało się jasne, że rola gospodarza uroczystości przypadnie komuś, kto najprawdopodobniej jeszcze takowej do końca nie dostrzega...

Mogła wprawdzie wczoraj oddać kierownicę mężowi zaraz po tym, jak odebrała go z gdańskiego portu lotniczego, ale nie była aż tak zmęczona podróżą z siedliska, żeby nie zdecydować się na obserwowanie trasy powrotnej z miejsca kierowcy. Nawet gdyby poprzedniego dnia porządnie się wyspała w samochodzie, o tej porze z łóżka mógłby wygonić ją tylko aromat dobrej kawy. Jej mąż zapewne dobrze o tym pamiętał, bo przez lekko uchylone drzwi sypialni sączył się przyjemnie znajomy zapach. Wstała, podeszła do okna i rozsunęła szerzej ciężkie zasłony. Musiało być ledwo kilka stopni mrozu, bo po wczorajszym przejrzystym jak kryształ powietrzu prawie nie było śladu. Śnieżyca, która dopadła ich za Giżyckiem, nową, grubą warstwą białego puchu pokryła wszystko wokół. Wyglądało na to, że Xenia trafiła z pobudką na prawdziwą ciszę przed kolejną burzą śnieżną, którą synoptycy zapowiadali na późne popołudnie. Co chwila jakaś czapa białej masy zsuwała się bezszelestnie z przygiętych jej ciężarem gałęzi nagich drzew i krzewów okalających budynek. Krajobraz odrestaurowany przez nocny opad przyciągał wzrok jedyną w swoim rodzaju świeżością, jak obietnicą nowości; bez plam i rys tego, o czym się w tym szczególnym dniu zapomina...

Przez ostatnie tygodnie, mimo wielu słonecznych i naprawdę ładnych dni, ten widok za oknem przepływał przez nią niemal niezauważony. Niemal, bo bardziej niż kiedykolwiek rzucały jej się w oczy odcienie szarości ich mazurskiego pustkowiecia i monotonia uśpionej, zamarłej w ciszy przestrzeni. Zasmucało ją to i przygarbiało, chociaż doskonale zdawała sobie sprawę, że zaraz po Nowym Roku coraz mniejszy kąt padania światła dzień po dniu będzie to wrażenie dziwnego mroku łagodził. Dziś było inaczej, choć tak naprawdę wszystko pozostawało na swoim miejscu.

Otuliła się szczerzej grubym kardiganem i uśmiechnęła do siebie. Marzeniom

nie liczy się lat. Z czasem tylko jedne ustępują miejsca drugim. O niektórych zapominamy, inne przestają mieć dla nas znaczenie; są i takie, które wysuwają się na pierwszy plan, detronizując te stojące pierwsze w kolejce. Tym ostatnim podajemy rękę wcześniej, niż byśmy się tego spodziewali; zaskoczeni, zdziwieni, onieśmieleni niespodzianką od losu... Jednak niezależnie od tego, czy smak pierwszego pocałunku poznaliśmy zaledwie wczoraj, czy też liczymy właśnie na głos paluszki naszego pierwszego wnuka, każde kolejne marzenie wciąż mości sobie miejsce w naszym sercu tak samo ufnie i z takim samym zaangażowaniem wypatruje swojego dnia. Dziś nikt nie mógł zabronić jej marzyć, że teraz już codziennie będzie ją budzić szum prysznic w łazience obok albo głośne szuranie krzesel po kuchennej podłodze. Nawet jeśli jednemu i drugiemu miałyby towarzyszyć nieszczególnie lubiane przez nią pogwizdywanie. Tylko tyle i aż tyle, westchnęła w myślach. Ktoś, kto znalazłby patent na zamknięcie takich pragnień w pudełku z kokardką, w jedne święta obłowiłby się jak najzdolniejszy kasiarz. Nie chciała myśleć o tym, że za dwa tygodnie jej mąż znów wyciągnie walizkę z szafy.

Po jego długim milczeniu na temat francusko-austriackiego muzycznego projektu, z którego jak do tej pory nie zrezygnował, nie spodziewała się, że coś zmieni się w tej kwestii. Za dobrze znała swojego męża, żeby łądzić się zbyt mocno nadzieją na zmianę jego planów. Nieobecność Grzegorza jednak stale prowokowała ją do przemyśleń, choć nie mogła narzekać na brak zajęć zarówno w siedlisku, jak i w Trójmieście, do którego chcąc nie chcąc musiała się zapuszczać, chociażby po to, żeby w swojej miejskiej pracowni dopieszczać klientów i potencjalnych uczestników letnich plenerów. Ale za każdym razem, kiedy zasypiała sama w chłodnej pościeli, z głową obok drugiej, idealnie gładkiej poduszki, upór, który kazał jej spakować walizkę jeszcze dwa miesiące wcześniej, słabł i rozglądał się zdezorientowany, chcąc natychmiast zmienić zdanie. Toczyła z nim codzienne spory przed zaśnięciem; coraz mniej zażarte i coraz krótsze. W końcu doszła do wniosku, że jeśli nie zawrze z nim rozejmu, przestanie dostrzegać cokolwiek wokół. A przecież nie o to jej w tym wszystkim chodziło. Wciąż miała tak wiele do zobaczenia. Mieli! Razem. I już wiedziała, co dołoży do świątecznego prezentu dla męża.

Trzy gatunki sikor tłoczyły się w karmniku pod oknem. Ptaki podskakiwały,

zamieniały się miejscami, odlatywały i przylatywały z powrotem po nową porcję pokarmu; jakby jedno małe ziarenko stanowiło ich być albo nie być. Zapatrzyła się na ich pełną energią krzątanie, przejmując od ptaków ich wyraźnie widoczną radość i poruszenie. Życia mała garść, pomyślała, patrząc na odlatującego kowalika, trzymającego w dziobie mikroskopijną zdobycz. Tu i teraz... Czy nie powinna uważniej przyjrzeć się braciom mniejszym? I jednak wykorzystać chwilę? Jak małe ziarenko? W środku przecież jest... tak naprawdę wszystko.

– Jesteś piękna – usłyszała za plecami.

Uśmiechnęła się do swojego odbicia w lustrze. Zapinając drugi kolczyk, odwróciła się w stronę męża opierającego się o skrzydło łazienkowych drzwi. Był gotowy do wyjścia.

– Kobieta w każdym wieku mile łechcą takie komplementy. Mógłbyś? – Pokazała mężczyźnie maleńkie zapięcie trzymanego w dłoniach naszyjnika. Układając łańcuszek na szyi, dała mu znak, że potrzebuje pomocy. – A kobietę pod sześćdziesiątkę w szczególności.

Westchnęła.

– Dla mnie od czterdziestu lat nic się nie zmieniłaś. – Musnął wargami jej szyję w miejscu, gdzie biżuteria stykała się ze skórą.

– Przez skromność nie zaprzeczę! – Roześmiała się głośno. Już tylko żartem mogła skwitować to, co z obojgiem zrobił nieubłagany czas. Chociaż kiedy patrzyła na swojego męża w idealnie odprasowanej koszuli i perfekcyjnie wypastowanych butach, nie była pewna, czy ów czas właśnie nie stroi sobie z niej żartów; i że kiedy ona się budzi, ten gwałtownie przyspiesza, dla niego zaś raz za razem robi wyjątek i zatrzymuje się na każde życzenie skrzyпка.

– Dzwoniłeś do Witka?

Ich jedynak, wyglądający przy matce jak Sienkiewiczowski Ursus przy ukochanej Marka Winicjusza, drobnej Ligii Kallinie, był przede wszystkim drugim najważniejszym mężczyzną w jej życiu. Było pewne, że Xenia nie przełknie ani jednego kęsa wigilijnej kolacji, dopóki jej syn nie otrzepie ze śniegu butów w progu Makarskich, i że ona zrobi to dopiero wtedy, kiedy ich obydwu będzie mogła mieć wreszcie w zasięgu wzroku. Matką kobieta staje się

raz na zawsze, niosąc przez całe życie w kieszeniach wszystko, co ma dla swej latorośli najcenniejszego... nawet jeśli ów pęd ma z lekka już siwiejącą brodę i zdaje się doskonale sam znajdować drogę do życiodajnego światła, pomyślała, przypatrując się mężowi ze zmarszczonym czołem.

– Daleko ma jeszcze? – dodała.

– Pojedzie od razu do Kosmy. Ale będzie na pewno przed nami, jeśli za chwilę się stąd nie ruszymy – usłyszała w odpowiedzi.

Zawinęła długi lok wokół wysoko upiętego koka, przypięła go do fryzury wsuwką i odsunęła się od lustra, oceniając z większej odległości efekt końcowy.

– Powóz już czeka. – Jej mąż był w doskonałym humorze. – Ale zanim wyjdziemy...

– Poczekaj! Zapakowałaś wszystko? Sernik? Pasztet? Chleb? Był owinięty w białą ściereczkę. A...

– Nie zapomniałem o niczym – przerwał jej wyliczankę spokojnym tonem.

– Nie będę tego ciągnęła do Makarskich. Chodź. – Pozwoliła, żeby ruszył za nią do pokoju pachnącego świeżym igliwem. Skromnie ubrane niewysokie drzewko postawili na drewnianym zydelku w pobliżu okna. – Mam coś dla ciebie.

Skierowała wzrok na miejsce, gdzie doniczka, w której stała żywa roślina, stykała się z siedziskiem mebla. Klasyczną czerwienią połyskującego papieru mienił się tam nieduży pakunek, który przygotowała dla męża poprzedniego wieczoru.

– Pozwól, że będę pierwszy. – Wyciągnął schowaną za plecami rękę i podał żonie płaski, starannie opakowany przedmiot.

– Otworzę teraz. – Chwyliła za koniec sztywnej wstążki.

– Na to liczę.

– Na co jeszcze liczysz? – zapytała, żeby ukryć wzruszenie. Nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek zrobił jej nietrafioną niespodziankę. Dlatego właściwie z roku na rok z coraz większą ciekawością wyciągała ręce po wszystkie prezenty, które dla niej przygotowywał.

– Że się ucieszysz.

Sprawił wrażenie lekko podenerwowanego. Zauważyła to i poczuła mrowienie delikatnego niepokoju w koniuszkach palców. Trzymała w rękach

zadrukowany blankiet z logo Teatru Muzycznego w Gdyni, a dokładnie dwie miejscówki na cały teatralny sezon, od noworocznego koncertu w noc sylwestrową. Nie był to pierwszy raz, kiedy oboje wykorzystywali jego możliwości uczestniczenia w różnych kulturalnych wydarzeniach trójmiejskich scen muzycznych, które zyskiwał dzięki jego artystycznym znajomościom czy uprzywilejowanej pozycji muzyka na stałym – choć porzuconym na kilka lat – etacie. Przyjrzała się uważnie dwóm bezterminowym zaproszeniom, po czym podniosła pytający wzrok na męża.

– Wiesz, jak nie lubię sama chodzić na spektakle.

– Wiem. – Wywołany do odpowiedzi, uśmiechnął się zagadkowo. – Chciałem cię przeprosić za tak długą nieobecność. – Spowaźniał.

– Dlaczego przepraszasz? Wracasz tam przecież po Nowym Roku. Nie musisz za to przepraszać. To była twoja decyzja, a ja nie stanęłam za tobą murem. To wszystko. Jakoś dobrniemy do końca tego projektu. Zresztą... ja po namyśle...

– W tym sęk, że nie wracam.

Sens słów mężczyzny docierał do niej z lekkim opóźnieniem.

– Powroty do mieszkania, gdzie nie ma twojego zapachu i wałków do włosów pod poduszką są bez sensu. To tak w dużym skrócie.

Musiła przyznać, że ją zaskoczył. Fala wewnętrznego ciepła przepłynęła przez całe jej ciało.

– Bardzo dużym. – Tylko to udało jej się wydukać w pierwszej kolejności. – Ale to mi wystarczy...

– Nie wrócę tu na etat. I myślę poważnie o swoim prywatnym studio. To taki mój nowy pomysł na życie. Mój i Kostka. Co ty na to?

Czuła, że będą ostatni na kolacji.

– Dobrze rozumiem, że miałeś wykupiony lot tylko w jedną stronę?

– Tak.

Pozwoliła sobie na dłuższe wymowne milczenie, po czym pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Jesteśmy trochę jak stare drzewa z tego powiedzenia... Ale my mamy jeszcze na dodatek wspólne korzenie i jedną wielką koronę.

– Mhmmm...

Wzruszyła ramionami i zamrugała, w porę przypomniawszy sobie

o skończonym chwilę wcześniej makijażu.

– A jakimi jesteśmy gatunkami?

Grzegorz zbliżył się do żony, wyjął jej z rąk małe przedmioty i odłożywszy je na stół, przygarnął ją do siebie.

– Chyba pokrewnymi. – Czuła, jak broda zaczyna jej dygotać.

– Ja bym rozkminił ten temat wieczorem.

– Czemu nie? Chcesz się urwać po prezentach? Przed deserem?!

– Czemu nie?

– Umowa stoi?

– Stoi.

Patrzyli na siebie dłuższy czas, wyrównując oddechy i uspokajając dłonie.

– Xenia? – Spojrzał jej prosto w oczy.

– Tak?

Widziała w jego oczach pytanie, niemal je słyszała. I była bardziej niż pewna, że w jej spojrzeniu znajduje właśnie odpowiedź. Uśmiechnął się do niej i odetchnął.

– Wesołych świąt, Grzeniu.

– Będą wesołe, jeśli uda nam się wyjechać z podwórka!

Podał żonie puchową kurtkę, szalik i czapkę, długim garderobianym dodatkiem przyciągając kobietę do siebie.

– A mój prezent?! Dla ciebie? – Zatrzymała się gwałtownie w progu, zaróżowiona od emocji i kilku warstw ciepłej odzieży.

– Będę sobie dawkował przyjemności. Mamy przecież mnóstwo czasu! A teraz okręć się nim porządnie. Świat ledwo widać. – Cmoknął ją w czubek nosa i delikatnie, ale stanowczo wypchnął w wigilijną noc. Przyznała mu rację. Świat się nagle gdzieś zapodział. A może było dokładnie odwrotnie?

– Jadę na pamięć.

– Gdybym nie wiedziała, że nasz punkt docelowy jest o trzy kilometry drogi stąd, wpadłabym w panikę. Dobrze, że chociaż Witek jest już na miejscu.

Śnieżycą, która rozpełtała się zaraz po obiedzie, zaczęła wprawdzie wyraźnie słabnąć, ale padający gęsto śnieg ograniczał widoczność do kilku

metrów. Brak latarni oraz fakt, że opad zatarł i tak słabo się odznaczającą granicę pobocza, zmusił ich do prowadzenia auta prawdziwie żółtym tempem. Xenia miała nieodparte wrażenie, że ktoś zamknął ich w kleszczach upiornej ciemności na zawsze. To była chyba jedyna rzecz, której nie lubiła na ich mazurskim odludziu. Nieprzeniknione ciemności, w których mogło czaić się dosłownie wszystko. Świadomość, że w takich momentach wyobraźnia podpowiada same nieprawdopodobne scenariusze, nieznacznie ją uspokajała. Czarna czeluść jednak i tak robiła swoje. Jakby kobieta znów miała pięć lat i wierzyła w bajki. Te najmroczniejsze również.

– Hamuj! – krzyknęła, szukając stopami pedałów hamulca i sprzęgła, których z miejsca pasażera nie miała prawa odnaleźć.

– Ot! Wielka mi sztuka – skomentował spokojnie muzyk, zatrzymując pojazd.

W krąg samochodowych świateł weszły dwie mocno opatulone postacie, z których jedna nie przestawała gwałtownie machać ręką. Po chwili Xenia zorientowała się, że mają przed sobą jakąś parę, która ewidentnie potrzebuje pomocy.

– Zostań w samochodzie – zakomenderował jej mąż, zaciągając ręczny hamulec. Przez ułamek sekundy przemknęło jej przez głowę, że jeśli za chwilę nie spróbują ruszyć dalej, będą czekać na zmiłowanie boże już w czwórkę. Poprawiła czapkę na głowie, wyteżyła wzrok i w jednej z postaci dostrzegła nagle coś znajomego. Nie mogła się mylić. O tym, że właściwie rozpoznała sylwetkę, świadczył fakt, że Grzegorz nie tylko podawał właśnie rękę napotkanemu mężczyźnie, ale i wymienił z nim serdeczny uścisk.

Xenia wsunęła szybko na ręce rękawiczki i wygramoliła się z samochodu. Stopy obute w wysokie kozaki od razu zapadły się w śnieg do wysokości kilkunastu centymetrów. Domyślała się już, co mogło się przytrafić tym zabłąkanym wędrowcom.

– Wiktor! – Była zaskoczona, ale i uradowana widokiem dawno niewidzianego przyjaciela. – Na miłość boską, skąd ty się tutaj wziąłeś?!

– Utknęliśmy w zaspie! Zaskoczyła nas śnieżycą. Wracamy od Matyldy. Myślałem, że uda nam się dojechać do hotelu bez problemów. W Giżycku. Do hotelu w Giżycku. To jest Tatiana. Poznajcie się. – Mężczyzna wyrzucał z siebie słowa z prędkością karabinu maszynowego. Jego towarzyszka z niepokojem

rozglądała się wokół.

Niska temperatura i trwająca wciąż zadymka uniemożliwiały swobodną konwersację.

– Zostawili samochód i chcieli szukać pomocy pieszo. – Muzyk szybko przybliżył żonie sytuację. – Nie mam żadnej liny. – Zwrócił twarz w kierunku amatorów nocnej wędrówki.

– Ja też. – Drugi z mężczyzn sztywniejącymi z zimna dłońmi poprawił kołnierz, próbując ochronić w ten sposób twarz przed śniegiem.

– Dziewczyny do tyłu! – Grzegorz wydał głośną komendę i spojrzał na przyjaciela. – Daleko stoicie?

– Parę metrów dalej. Zjawiliście się jak na zawołanie.

– Zabierzemy wasze bagaże i pojedziemy razem do Kosmy. On ma sprzęt potrzebny, żeby was stąd wyciągnąć. I paru chłopów do pomocy też się znajdzie.

– Do Kosmy?

Jego rozmówca zdawał się zaskoczony obrotem sprawy. Zanim zdążył zareagować na propozycję, muzyk przerwał kłopotliwe milczenie:

– Nie macie wyjścia. Wskakujcie!

– Tatiana? – Xenia zwróciła się do młodszej kobiety.

– Tak.

– Chodź. Już jesteście bezpieczni. – Gestem wskazała na auto i pierwsza ruszyła w jego kierunku. Zanim wsiadła na tylne siedzenie, odwróciła się w stronę Witeckiego. Uśmiechnęła się ciepło do mężczyzny.

– Dobrze cię widzieć, Wiktor.

Bocian czarny [*Ciconia nigra*] buduje szerokie gniazdo na bocznej gałęzi starego dębu, głęboko w lesie, blisko bagien i olsów, w pobliżu leśnych rzeczek, gdzie łatwo może znaleźć bogactwo ślimaków służących mu między innymi za pokarm. Rzadko opuszcza leśne ostępy, dlatego można nie zauważyć go całymi latami, nawet jeśli w końcu okazuje się, że gniazdo – znajdowane zwykle przypadkiem – było całkiem blisko. W poszukiwaniu odpowiedniego pożywienia potrafi odlecieć od niego nawet kilkanaście kilometrów w miejsce żerowania. Często robi to z konieczności, bo pod koniec rozwoju jego pisklęta potrzebują aż pół kilograma pokarmu dziennie. Nie zdobi gniazd. Jest skryty, unika człowieka i ludzkich siedzib.

Na podstawie opowieści ornitologa z Mazur, Szymona Czernka

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wiktor

– Na twoim miejscu trzymałbym się z dala od jego śmierdzących interesów, bo na kilometr ciągnie od niego szwindlem. Umoczył grube bańki; sprawdziłem go. A teraz szuka jelenia! Nie powierzyłbym mu nawet złamanego grosza.

– A wy ciągle o tym?!

Łódka zakołysała się mocno pod ciężarem wchodzącego.

– Mamy tu robić reset czy naradę wojenną? Trzymaj, Ed. Wiktor? – Przybyły podał kolegom okupującym wysprzątaną rufę po czteropaku piwa Żywiec. Sam rozpiął dresową bluzę, wrzucił ją niedbale do otwartego luku i ze swoimi procentami usiadł na przeciwległej burcie, opierając się o reling, który pod ciężarem ogromnego mężczyzny wygiął się w duży łuk. – Tyle tu młodych, opalonych ciał, a wam błyszczą tylko mamona? Nie poznaję was, panowie!

– Te! Mądrała! Do żony byś oddzwonił, bo dobijała się do ciebie chyba z pięć razy. I o zdrowie trzeciego syna zapytał! – odciął się koledze jeden z żeglarzy.

– Cholera. – Na twarzy barczystego mężczyzny wymalował się strach, jakby usłyszał właśnie jakąś mrozącą krew w żyłach wiadomość. – Na śmierć zapomniałem! Będzie dym...

– No raczej! Ekspercie od ciał... niebieskich. – Mężczyzna przez olbrzyma nazwany Edem zrobił przytyk do astronomicznej pasji przyjaciela, zaśmiewając się głośno z własnego dowcipu.

– Bartek ma rację. Wolę, żeby podczas rejsu głowa bolała mnie od czegoś innego. Jeden mejl i kończę temat. – Trzeci z mężczyzn poprawił się na swoim

miejscu, obracając w palcach zimną puszkę.

– Ja bym mu nawet tego mejla nie wysyłał. Ćwok zasrany!

– Kotku, myszko, papużko kolorowa! Wiało mocno, przy sterze byłem... – od strony luku dziobowego dał się słyszeć proszący głos.

– Ty... On tam naprawdę ma całe zoo. Czasami to mu nawet współczuję.

– Trzecia żona, czwarte dziecko... Jak sobie pościelił, tak sypiać musi. – Mężczyzna skwitował filozoficznie uwagę sąsiada.

– Na stare lata tak zgłupieć! Przecież jego wnuk ma już... ze trzy lata już ma.

– Żeglarz nie starał się nawet ściszać głosu. – *À propos* wnuków, Wiktor. Jak tam Klaudynka?

Na twarz mężczyzny wypłynął szeroki uśmiech.

– Myślisz, że mógłbym zabrać ją za rok na rejs? To już całkiem duża dziewczynka. – Mówiąc to, otworzył ostrożnie jedną z puszek. – Pokazałbym jej co nieco.

Rzeczywiście, temat pracy zupełnie nie grał mu z żeglarskimi klimatami. Oczyma wyobraźni widział za to, jak uczy swoją pięcioletnią wnuczkę poznawać przeznaczenie poszczególnych lin i jak ćwiczy z nią podstawowe węzły. Rozluźnił się. Wspomnienie wesołych oczek małej przywołało przyjemną falę czułości, która zaanektowała sobie całą przestrzeń wokół serca.

– Rejs przedszkolaków? Czemu nie! Jeśli znajdą się tylko jakieś miłe przedszkolanki! – Mężczyzna o imieniu Ed puścił oko do swojego kompana. – Żartuję! Moja Majka nie ma żadnej konkurencji.

Małżeństwo kolegi po fachu zawsze robiło na Wiktorze duże wrażenie. Edwarda Czerskiego poznał jeszcze na studiach. Razem trzymali się do dyplomu, potem w tym samym czasie weszli też w prywatne biznesy. Prowadzili bliźniacze firmy, obydwaj wychowali po dwóch synów; ich przyjaźń na przestrzeni lat wciąż miała się dobrze, mimo iż od samego początku stanowili dla siebie konkurencję, a ich żony nigdy nie znalazły ze sobą wspólnego języka, i chociaż ich prywatne życia zdecydowanie różniły się między sobą. Dla Czerskiego żona i dom były epicentrum wszystkiego, co najważniejsze, Wiktor natomiast codziennie mierzył się – nierzadko przegrywając – ze swoimi pokusami i nieprzewidywalnością Matyldy, z roku na rok coraz wyraźniej dostrzegając, że więcej go z nią dzieli niż łączy. Zazdrościł przyjacielowi

poukładanej rzeczywistości, ale nie na tyle, żeby rzutowało to na ich wieloletnią, bezkonfliktową relację.

W pewnym momencie zamarł i cały zeszywniał. Wpatrywał się w jeden ruchomy punkt i nie widział nic więcej. Patrzył na opalone plecy i ramiona szczupłej, drobnej blondynki w eleganckiej białej sukience z kwiatowym deseniem, który znał na pamięć. Znał także to finezyjne kołysanie bioder, sprężystość łydek i idealną głębokość wcięcia w talii. Kiedy kobieta znajomym gestem przeciągnęła dłonią po spoconym karku, wystraszył się, że serce za chwilę wyskoczy mu z piersi. Gdyby nie był stuprocentowo pewny, kogo pochował ponad dziesięć lat temu, teraz biegłby w tym jednym kierunku, nie oglądając się za siebie.

Czerski podążył wzrokiem za jego spojrzeniem, którego nie był w stanie oderwać od spacerującej nadbrzeżnym trotuarem kobiety.

– Stary, powiem ci tak: no nie jest zgrabniejsza od twojej Tatiany. Zdecydowanie nie!

Jego przyjaciel miał rację. Kobieta nie miała lepszej figury niż jego przyjaciółka, ale im dłużej patrzył na to, w jaki sposób ta pierwsza się porusza i jakim ruchem odgarnia włosy, tym mocniej zimny dreszcz wspinał mu się po karku. W tej jednej krótkiej chwili wróciło wszystko, choć przechadzającą się kobietą w żaden sposób nie mogła być jego była żona, Matylda.

Intrygowała go od samego początku, choć przez długi czas fascynowała go przede wszystkim fizycznie. Właściwie robiła z nim, co chciała, mimo że nawet sam przed sobą nigdy się do tego nie przyznawał. Spędzali razem każdą wolną chwilę, poznając się niemal od podszewki. Rozmawiali o wszystkim, zaglądali w różne ciekawe zakamarki stolicy, chodzili razem do filharmonii i oglądali te same filmy. Wykorzystywali każdą okazję, żeby się do siebie zbliżyć, i nigdy nie mieli dość.

Kiedy wyznała mu, że spodziewa się dziecka, zwariował z radości, chociaż dziś wiedział, że sami byli jeszcze wtedy jak dzieci. Pobrali się miesiąc przed rozwiązaniem. Gdy w opiece nad bliźniakami jako tako złapali codzienny rytm, zaczęli przyglądać się światu we czwórkę, przemierzając wspólnie

najpiękniejsze jego zakątki z szeroko otwartymi oczyma i dzieląc się potem wrażeniami z tych robinsonad, kiedy wieczorami śpiące już dzieci dawały im wreszcie chwilę oddechu. Gdy on piął się szybko po szczeblach kariery, kupował coraz lepsze garnitury, sypiał w coraz droższych hotelach, jego żona jakimś cudem między kolejnymi zmianami pieluch i karmieniami znajdowała czas na kawę z przyjaciółmi, fryzjera i czytanie. Doskonale tuszowała cienie pod oczami, perfekcyjnie zajmowała się domem i dziećmi i dokładnie tak samo dobra była w łóżku. Na nocnym stoliku po jej stronie, obok elektronicznej niani i modnego lakieru do paznokci, częściej leżała historia malarstwa francuskiego impresjonizmu niż kobiece periodyki czy romanse. Relaksowała się, czytając Szołochowa albo po raz setny przeglądając albumy z reprodukcjami dzieł Pissarra i Degasa, za których kolekcję dałaby się pokroić.

Czuł, że świat przygląda mu się z zazdrością. Nie miał żadnych powodów, żeby myśleć o nim inaczej. Był przekonany, że urodził się z przepisem na sukces w kieszeni modelowo skrojonej marynarki...

Cieszył się razem z żoną, kiedy po kilku latach opieki nad chłopcami wróciła do pracy i do swoich pasji; gdy z entuzjazmem odnawiała artystyczne kontakty, zadziergnięte jeszcze na przerwanych przez ciążę studiach, i gdy realizowała swoje pierwsze malarskie zlecenia z rumieńcem podniecenia na policzkach i dłońmi, które częściej brudziła barwnikami do tkanin niż farbami do włosów. Powoli, metodycznie i uparcie podążała drogą najlepszych. Jak on. Stało się to mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zrozumiał, że kocha ją naprawdę, a nie tylko jej pożąda.

Obudził się oszołomiony i z ogromnym trudem próbował dojść do siebie. Wyglądało na to, że spędził noc na zewnątrz jachtu, w wymuszonej pozycji i w towarzystwie komarów, które – sądząc po wyglądzie jego koszmarnie spuchniętych łydek – miały niezłe używanie. Złamał swoją żelazną zasadę, której trzymał się twardo od ostatniej rozprawy rozwodowej, żeby nie topić swoich kłesk w alkoholu. On, inżynier Wiktor Witecki, był przecież inny od wszystkich tych, których tylko na tyle było stać; on przecież nie mógł nikomu pokazać, że nie widzi przed sobą już żadnego celu, nie mógł pokazać jej,

Matyldzie, że odeszła od człowieka, który nie jest opoką, nie jest bramą do krainy szczęśliwości, jest za to niewłaściwym elementem w czyjejś życiowej układance. Bo tym dla siebie właśnie był: zbędnym, wadliwym, wykastrowanym elementem czyjegoś życia. Był zły, że jeden gest, jeden obraz, który tak naprawdę w całości był mu zupełnie obcy, złamał go w jednej chwili i wywracał właśnie do góry nogami jego nowy ład. Strasznie się bał, że ten ostatni jest tylko pozorny. Od dawna tak cholernie mocno niczego się nie bał jak właśnie tego.

Klarując trzy dni wcześniej pokład niewielkiej sportiny na kei w mazurskiej Wierzbie, nie pomyślał nawet, że ostatni dzień rejsu będzie wyglądał w ten sposób. Teraz jednym haustem pochłonał niemal litr zimnej wody mineralnej, którą wyciągnął cicho z jednej z zęb pod pokładem, tak żeby nie obudzić chrapiących w najlepsze kolegów. Potem, by szybciej złapać pion, przepłynął kilka długości wzdłuż drewnianego pomostu. Kiedy zmuszał się do zjedzenia śniadania, na które złożyły się samotna czerstwa grahamka i odrobina pasztetu z puszki, na jachcie wciąż panowała cisza mącona tylko od czasu do czasu posapywaniem pozostałych żeglarzy.

Z przestrzeni pod rufą wyciągnął swoją torbę, wrzucił do niej kilka ubrań, parę zupełnie przemoczonych sportowych butów, które niechcący strącił poprzedniego dnia do wody podczas wieczornego cumowania; z jaskółek wygrzebał telefon, kluczyki od auta i osobiste drobiazgi. Ten dzień zaplanowali spędzić, pływając tylko blisko macierzystej przystani, więc i parking z samochodem, dzięki któremu zjawił się w Wierzbie pierwszy, miał na wyciągnięcie ręki. Chciał już być sam. Chociaż jeszcze przez kilka godzin chciał być zupełnie sam; ze swoimi myślami, ze swoim zdumieniem, złością, z tak nagle i gwałtownie obudzoną tęsknotą, która niemal pozbawiała go tchu. A na pewno zasypała go gradem pytań o jutro. I o tę nową miłość, która chciała zetrzeć ślady jego wszystkich łez.

Oboje przeoczyli moment, kiedy opadła zasłona pierwszych zauroczeń i kiedy zaczęli patrzeć na siebie po odsłonięciu moskitiery długiego okresu dojrzewania. Gdy flirtowała z mężczyznami z ich otoczenia, kokieteryjnie modulując głos i popisując się swoją błyskotliwością, wciąż była dla niego święta. Nie uważał

za konieczne stale trzymać jej pod ramię, znaczyć teren i hamować jej śmiech. Była przecież jego. Wydawało mu się to tak oczywiste, jak właściwa kolejność pór roku. Miała wszystko i mogła robić wszystko. Była doskonała. Jak on.

Widział, że jego żona budzi pożądanie. I wiedział, że ona też ma tego świadomość. Ale był przekonany, że obrączka zwalnia go z czujności i z pokory wobec ludzkich pragnień... Zajęty pracą i dopieszczaniem świata, którego czuł się panem, bezrefleksyjnie i całkowicie pewien swego, puścił ją wolno. Wszędzie, gdzie bywali, pęczniał z dumy, że oto trzyma w garści klucz do udanego związku, w którym swoboda, zaufanie i lojalność chodziły ramię w ramię. On ich coraz częściej nadużywał, ona coraz częściej to zauważała i nie omieszkiwała mu tego w gniewie wypominać. Ale wciąż był jej pewny, chociaż ciche dni zajmowały coraz więcej miejsca w ich kalendarzu. Gdy się kończyły, z jeszcze większym ogniem wybuchała namiętność; były nowe podróże, nowe podniety, nowe środki zastępcze, które miały wypełnić powiększającą się między nimi lukę. Jeszcze nie byli jej świadomi. Nawet jeśli jakimś szóstym zmysłem wyczuwali ją gdzieś pod skórą, nie potrafili jej nazwać, nie wiedzieli, skąd się wzięła i czym w istocie jest. A była zwyczajnie momentem, w którym dojrzały człowiek ostatecznie definiuje swoją tożsamość. Jaka była definicja ich świadomych potrzeb, mieli się dopiero przekonać. Dla nich obojga ból tego swoistego przepoczwarczenia się był taki sam. Z tą tylko różnicą, że jedno i drugie radziło sobie z nim na swój własny sposób.

Kiedy przyłapał ją na kłamstwie po raz pierwszy, w jednej chwili miał tysiąc teorii optujących za kosmiczną pomyłką. Ale prosząc z płaczem o wybaczenie, wyprowadziła go z błędu. Pytał: dlaczego, a ona mówiła, krzycząc, miotając się gniewnie, tłumacząc się, żeby zaraz potem ukrywać spojrzenie pełne upokorzenia. Był zdruzgotany, poniżony i zdumiony, że oto ona – jego nieskalana – straciła go z piedestału. Nie połamał się, ale ona utraciła swoją świętość. Był zaskoczony jeszcze bardziej, kiedy pojął, że wciąż ją kocha. To był też dzień, kiedy po raz pierwszy nie zrozumiał wszystkiego, co do niego mówiła. I pierwszy raz, kiedy weszli na równię pochyłą. Spadek był niewielki; wcale go nie zauważyli.

Kiedy wczoraj zobaczył tę kobietę, łudzaco podobną do Matyldy, pomyślał, że gdyby wtedy, gdy niechcący oblał ją winem i w ramach przeprosin

zapropował pierwsze spotkanie, miał tę wiedzę o nich, którą miał dzisiaj, mimo wszystko znów by zaryzykował.

Do wczoraj był przekonany, że nowe życie buduje się tylko po wymazaniu starego. Ale to nie była prawda. Stare zawsze będzie gdzieś obok. Trzeba tylko znaleźć sposób, żeby zaprosić je do nowego, do środka, znaleźć mu tam wygodne miejsce i nauczyć się z nim trwać.

Zjechał gwałtownie na pobocze i zatrzymał auto. Wysiadł i z bezsilną wściekłością zatrzasnął za sobą drzwi. Pojazd zagruchotał, jakby za chwilę miał rozpaść się na kawałki. Wiktor kucnął plecami do samochodu, opierając się o rozgrzaną karoserię. Zatopił palce w wilgotnych od potu włosach. Chciał zniknąć.

Mijała dwudziesta, gdy już zupełnie spokojny wkładał klucz do zamka ich wspólnego mieszkania w szeregowcu na Białołęce. Mógł zadzwonić do drzwi i poczekać, aż Tatiana sama mu otworzy, ale pomyślał, że jeśli relaksuje się w kąpieli po pracy w urzędowym młynie, nie będzie jej zmuszał do wychodzenia z wanny i nieprzyjemnej przebieżki po zimnej podłodze korytarza. Położył torbę na niskiej ławeczce w przedpokoju; klucze powiesił na wieszaku, który sprawili sobie dla zabawy jakiś czas temu, bo spodobał im się jego kolor i kształt. Rząd kotów we wszystkich znanych mu odcieniach zieleni, kolorach, które znajdowały się również na ścianie w tej części mieszkania. Drobiazg pasował wprawdzie bardziej do dziecięcego pokoju, czego obydwójce byli zupełnie świadomi, ale była to pierwsza rzecz, którą kupili razem do ich wspólnego lokum. Spodobał się jej, a on nie pożałowałby wtedy grosza na największe paskudztwo, byleby tylko uśmiech nie zniknął jej z twarzy. Dziś zrobiłby i robił dla niej dużo więcej.

W mieszkaniu panowała cisza. Pachniało też świeżo rozwieszonym praniem. Rozpoznał zapach jaśminowego płynu do płukania tkanin, który sam nabył kilka dni wcześniej. Tylko w pierwszym momencie zdziwiła go nieobecność kobiety; w drugim uzmysłowił sobie, że gdyby uprzedził ją o swoim wcześniejszym powrocie, najprawdopodobniej czekałaby na niego z kolacją. Rzadko mogli jeść razem obiad, ale celebrowanie wspólnych wieczornych posiłków było ich

codziennym rytuałem, od którego starali się odstępować tylko w wyjątkowych sytuacjach. Pilnował, żeby nie było ich zbyt wiele, i zauważył, że ona robiła dokładnie to samo.

Pracowała w jednym ze stołecznych magistratów i była zaledwie rok młodsza od jego synów. Poznał ją, kiedy trafił do urzędu po tym, jak zgubił gdzieś dowód osobisty. Kiedy pojawił się tam, żeby wypełnić wymagane dokumenty, nie zapamiętał jej. Być może dlatego, że w pomieszczeniu, do którego wszedł jako kolejny petent, było jeszcze kilka innych kobiet, a może dlatego, że wszelkich takich instytucji szczerze nie znosił.

Nie zapamiętał jej, ale ona zapamiętała jego. Podając mu później pachnący świeżością dokument tożsamości, bezceremonialnie zaproponowała kawę. Był tak zaskoczony jej bezpośrednią propozycją, jasnością w spojrzeniu i tą odważną zamianą ról, że odmowa nawet nie przyszła mu do głowy. Potem, odpalając silnik w swoim aucie, uśmiechał się sam do siebie, dochodząc do wniosku, że już dawno nikt nie zrobił na nim tak piorunująco dobrego pierwszego wrażenia i że jest mu z tym nad wyraz dobrze. Bezsensowność, która prawie zmiażdżyła go po pogrzebie, zaczęła bezszelestnie odpływać, żeby zniknąć ostatecznie, gdy zapragnął schować wypielegnowaną dłoń Tatiany we własnej. Zaczął znów chodzić wyprostowany, przestał znieczulać się sportami ekstremalnymi i przygodnym seksem; wrócił do marzeń...

Tatianę z Matyldą łączyło tylko jedno – w łóżku obie stanowiły dla niego doskonałość. Cała reszta była diametralnie różna, począwszy od upodobań kulinarnych, sposobu ubierania się, spędzania wolnego czasu, poprzez klucz, według którego dobierały sobie przyjaciół, lektury i mężczyzn. Tatiana była pewna siebie, ale jednocześnie w jakiś całkiem naturalny sposób niezauważalna, z optymizmem bez cienia naiwności pod pachą i zasadami, którymi wyznaczała sobie rytm dnia i kontaktów międzyludzkich. Imponowała mu emocjonalną stabilnością, życiowym poukładaniem, dojrzałą czułością i uwagą, którą poświęcała mu w taki sposób, że nigdy nie czuł się osaczony czy wyciągany do tablicy, za to utwierdzany w przekonaniu, że jest kimś, przy kim każdy ma swoje własne, ważne miejsce. Akceptowała go całkowicie i bez dodatkowych uwag. Z ich czterech ścian stworzyła prawdziwą oazę spokoju, do której wracał więcej niż chętnie.

Któregoś dnia zakłuło go nagłe uczucie wstydu, bo właściwie dopiero wtedy dotarło do niego, że sensu słów „prawdziwy dom” uczy się od nowa. To prawda, że przed rozwodem to często od niego zależało, czy jednak zdążą wykorzystać zarezerwowane wcześniej bilety do kina i czy zjedzą w spokoju niedzielny obiad, ale nie mógł być też pewien, czy jakiś kolejny wernisaż nie pokrzyżuje im prywatnych planów, a ważny plener nie przeciągnie się w czasie, który należało wykorzystać w jedynie słuszny sposób. Z Matyldą każdy kolejny dzień był niewiadomą, z towarzyszącym jej rodzajem ciągłego napięcia, z którego długo nie zdawał sobie sprawy. Tatiana wniosła harmonijną stałość do jego codziennej motaniny; czytała z niego jak z otwartej książki i dokładnie rozumiała znaczenie poszczególnych słów. Przy niej – tak niezwyczajnie zwyczajnej – poczuł, że życie we dwoje to nie walka, ale współdziałanie, subtelne współodczuwanie, i wreszcie zaczął czekać na jutro. Z podnieceniem, zaufaniem, z pokorą wobec oczekiwań i próśb, z ciekawością wszelkiego autoramentu. Ostatnie opuściły go pragnienie zemsty i wstyd. Obiecał sobie wtedy, że nie pozwoli im już nigdy więcej dojść do głosu. Było to dla niego jak odnalezienie Atlantydy i rozgrzeszenie w jednym; zrzucenie z barków ciężaru nie swoich win. Bo przecież nie mogli być z Matyldą winni tego, że poznali się nawzajem, zanim zdążyli poznać samych siebie.

Gdy przechodził obok kuchni, przyjemnie uderzył go zapach świeżego tagliatelle w orzechowo-śmietanowym pesto. W tym samym momencie w zamku drzwi wejściowych zachrzęścił klucz. Zanim zdziwiona kobieta zdążyła go o cokolwiek zapytać, wtulił się w jej miękkie włosy i przycisnął ją mocno do siebie. Najpierw wzięli razem długi prysznic, potem, dużo później, wszeptał w jej wilgotną od uniesień skórę wszystkie swoje tajemnice.

– Halo! Pomyliłem kartki w kalendarzu? – Wysoki czterdziestolatek obrócił się w jego stronę na obrotowym krześle.

– Nikt nic nie pomylił. Dzień dobry wszystkim. – Machnął ręką do pani Ani, ich wieloletniej sekretarki, i jeszcze dwóm pracownikom, którzy zajmowali biurka w dalszej części pomieszczenia. – Musieliśmy skrócić rejs; kłopoty z jachtem. – Uznał, że ten skrót wydarzeń musi synowi wystarczyć. –

Doszedłem do wniosku, że przedłużony wolny weekend bardziej mnie zmęczy, niż da odpocząć, więc... Robiliście już dzisiaj kawę?

– Jak zwykle?

Zanim pytanie wybrzmiało do końca, Marcel stał już przy niewielkim ekspresie.

– Tak. Jeśli możesz.

– Mogę. Sam już się do tego zbierałem. W takim razie i przerwę sobie zrobię.

– Byle nie za długo! Bo chciałbym wiedzieć, czy po tym tygodniu nie potrzebujecie dodatkowej inspekcji.

Wygłosił uwagę pół żartem, pół serio. W swojej firmie, nawet jeśli za współpracowników miał własnych synów, lubił trzymać rękę na pulsie i oceniać wszystkie etapy pracy z własnej perspektywy. Bardzo wolno dojrzewał do tego, żeby w synach mieć równorzędnych partnerów w biznesie, i długo nosił w sobie obawę, czy będą w stanie poradzić sobie ze wszystkim, jeśli kiedyś podejmie decyzję, że czas w końcu zejść ze sceny. O emeryturze jednak jeszcze nie myślał. Jego biuro projektowe, którym z powodzeniem zarządzał prawie trzydzieści lat, przedło więcej niż dobrze i jak dotąd to zajęcie jeszcze mu się nie nudziło. Zamierzał odejść z firmy dopiero wtedy, kiedy będzie całkowicie pewien, że obaj młodszy Witeccy nie potrzebują już żadnego ochronnego parasola. Na dobrą sprawę mógłby zrobić to nawet dziś, bo panowie już w tej chwili prowadzili biznes modelowo, uzupełniając się i uczciwie dzieląc obowiązkami. Między innymi dlatego machina Witecki i Synowie działała bez zarzutu, z czego był zadowolony jako szef i dumny jako ojciec.

– Nie narażałbym się na twoje niezadowolenie, prezesie.

– Lubię, kiedy odrabiacie lekcje. A jak sprawa z dokumentacją dla Lisieckich?

– Wszystko poszło wczoraj w komplecie. Temat jest ostatecznie zamknięty. Posiedzę jeszcze... – mężczyzna przerwał na moment, żeby zmienić filiżankę pod podajnikiem napoju – ...przez weekend przy papierach i mogę skupić się na tych dziwakach z Wisły.

– Ustaliliście już coś konkretnego? – Przeskok z Krainy Wielkich Jezior na architektoniczne poletko zajął mu dosłownie chwilę.

– Dużo. W zasadzie cały ten tydzień poświęciłem... poświęciliśmy na

wstępne konsultacje i podstawowe kalkulacje. Chyba wiem, czego chcą, a my im to damy. Są z kosmosu i ich oczekiwania nie mieszczą się w utartych schematach, ale myślę, że wiem, o co im chodzi. Nie ukrywam, że sam chciałbym się nimi zająć. – Postawił przed ojcem naczynie z parującym płynem. – Chyba że to ty wolisz kombinezon kosmonauty?

– Nie. Preferuję klasykę. Jeśli masz jakiś dobry plan, to nie mam nic przeciwko temu. Spychanie na młodszych trudniejszej roboty zaczyna mi się podobać. – Nie krył zadowolenia z efektu zabiegów przeprowadzanych w mijającym tygodniu przez syna.

– Dla kogo trudna, dla tego trudna. Ja nie będę sobie szkodował. Ani dawał im taryfy ulgowej!

– Czyli właściwy człowiek na właściwym miejscu. I to jest tak zwana dobra praca zespołowa. Jeszcze jedną dorzucić. – Wyciągnął dłoń w kierunku mężczyzny po dodatkową kostkę cukru.

– Szef tutaj?! Wszystko okej?

Jego drugi syn, wychodzący właśnie z łazienki, wyciągnął do niego rękę na przywitanie.

– Tęskniłem!

– Super! Ja też tęsknię. Za solidnym stekiem! Idę coś wrzucić na ruszt i zresetować system. Dobrze, że jesteś. Zerknij u mnie na otwarty plik. Spodoba ci się, gwarantuję! – Wskazujący palec mężczyzny powędrował w górę. – Będę z powrotem najdalej za godzinkę. Zrobisz to? Czy wpadłeś tylko na kawę?

– Mówiłem; tęskniłem! – Wiktor uznał, że do swojej wypowiedzi nie musi dodawać nic więcej.

Młodszy z mężczyzn uniósł w górę kciuk prawej dłoni, podrzucił do góry kluczyki od samochodu, złapał je w locie drugą ręką i chwilę później pozostała już po nim w pomieszczeniu tylko przyjemna woń Aqua di Gio Armaniego.

Witecki chciał zapytać Marcela, czy nie wie, o czym mówił drugi z bliźniaków, ale ten pierwszy, ze zmarszczonym czołem i z telefonem przy uchu, słuchał właśnie z uwagą kogoś po drugiej stronie.

– Rozumiem. Będę najszybciej, jak to możliwe – zaintonował niskim głosem. – Kiedy to się skończy, ja się pytam... – Pytanie retoryczne zawisło w klimatyzowanej przestrzeni wygodnego, przestronnego biura.

– Co jest? – Po plecach nieprzyjemnie liznął Wiktora niepokój.

– Klaudyna gorączkuje.

Mówiąc to, młodszy Witecki wsunął aparat telefoniczny do tylnej kieszeni spodni i nerwowo rozejrzał się po szerokim biurku.

– Muszę zabrać ją z przedszkola. Najlepiej zaraz!

– Poczekaj. Może ja ją odbiorę i po prostu zawiozę do siebie, co? Wolałbym, żebyś nie zostawiał rozgrzebanej roboty.

– A mógłbyś? – Marcel spojrział na ojca z wyrazem zatroskania na twarzy. Zawadiacki uśmiech z początku ich dzisiejszej konwersacji zniknął bez śladu.

– Zajmę się nią, oczywiście. Nie stresuj się. Zamówimy tylko wizytę domową, bo nie będę jej męczył w kolejkach do lekarza.

– To pewnie znowu ta cholerna angina. Niech to jasny szlag trafi! Ledwie dwa tygodnie temu skończyła antybiotyki...

– Jadę. Odezwę się, jak już będę wszystko wiedział. – Wiktor podniósł się z krzesła i już na stojąco dokończył mocno ciepłą jeszcze kawę. – A ty dzwoń do tego przedszkola i uprzedź ich, że zjawi się dziadek zamiast ojca. Żeby nie tracił czasu na tłumaczenia.

– Jasne. Dzięki, tato.

Jego syn klapnął ze zboląłą miną na fotel przy biurku i bezwiednie przeczesał włosy palcami. Potem machnął mu w geście podziękowania i sięgając po swoją komórkę, odwrócił się w stronę ekranu pracującego wciąż komputera.

Angina przy prawie trzydziestostopniowym upale? Nie zazdrościł małej...

– Zasnęła – powiedziała cicho kobieta, chociaż drzwi do pokoju, w którym spała pięciolatka, zamknęła za sobą bardzo dokładnie. – Wracam z Doliny Muminków... – Puściła do niego oko.

Usiadła na kanapie i wsunęła mu się pod ramię dokładnie tak, jak jeszcze godzinę wcześniej robiła to Klaudynka. Gdy przymykał oczy, czuł nawet ten sam zapach dziecięcej skóry, którym musiały przesiąknąć włosy Tatiany, kiedy ta czytała małej do snu.

– Co to za słodki dzieciak... Zadaje takie mądre pytania i tak dużo już wie. Marcel jest niesamowitym ojcem.

– Kocha ją jak wariat. – Wiktora rozpieszczała rodzicielska duma.

– Ale kocha mądrze. Wiesz, ilu kochających samotnych ojców wraca z takiej wychowawczej wyprawy na tarczy?

– Ta mała skorupka wciąż jeszcze nasiąka, tak się składa. Ale tak. Masz rację. Marcel poświęca jej mnóstwo uwagi. Gdybym miał jego dojrzałość, kiedy rodzili się chłopcy... Mógłbym się od niego uczyć.

Zamilkła. Chyba się zagalopował. Przygryzł wargę, zły na siebie. Pilnował się, ale zdarzało mu się jeszcze chlapnąć coś, co mogło sprawić jej przykrość. Chyba oboje myśleli w tej chwili o tym samym. Nawet gdyby było inaczej, nie zapytałby o nic, żeby nie dotknąć bolesnego miejsca. Jego syn był ojcem zdrowej, mądrej, ślicznej pięciolatki. Samotnym ojcem – po tym jak matka dziewczynki zniknęła z ich życia tak szybko, jak się w nim pojawiła. Marcel prawie o niej nie mówił. Dla niego była jak martwa, bo nie mieściło mu się w głowie, że można ot tak opuścić swoje dziecko i nigdy więcej nie pragnąć go zobaczyć, dotknąć, przytulić. Po nitce do kłębka doszedł w końcu do tego, że został wykorzystany jako trampolina do wolności, która dla matki Klaudynki była jednoznaczna z brakiem odpowiedzialności jeszcze za kogoś innego. Nigdy nie poprosił, żeby do nich wróciła, i nigdy więcej już jej nie szukał. Nie szukał też na siłę nowej matki dla dziewczynki, za to całą swoją energię skupił na tym, żeby małej nie brakowało przede wszystkim miłości, w czym Wiktor, jego drugi syn, a od pewnego czasu i Tatiana starali się go wspierać. Marcel z zazdrością spoglądał na pełne rodziny, ale dokładnie to samo robiła też Tatiana. Z tą tylko różnicą, że ona skupiała swój wzrok na najmłodszych. Wypadek samochodowy, w którym uczestniczyła dokładnie dziesięć lat temu, pozbawił ją jakichkolwiek szans na posiadanie własnego potomstwa. Powiedziała Witeckiemu o tym, kiedy po raz pierwszy oglądał ją zupełnie nagą. Gdy dotykał blizn, pozwoliła mu poznać ich historię.

Przyglądał im się obojgu czasami, kiedy miał ich razem obok siebie; swoją kobietę i swojego syna. I zastanawiał się nad tym, jak przewrotne i nieprzewidywalne bywa życie. Mała Klaudyna wchodziła w życie bez matczynej ciepła. A tak blisko niej był ktoś, kto wiedział, że tego życia już nigdy nikomu nie podaruje. Był taki moment, kiedy pomyślał, że powinien zniknąć z życia Tatiany. Ona wciąż miała jeszcze szansę na adopcję. On dawno

pokonał już nieprzekraczalną w odpowiednich procedurach wiekową granicę. Tą drogą już nie mógł zostać ojcem. Ona miała czas, żeby poczuć smak macierzyństwa. Pod warunkiem, że związałyby się z kimś dużo od niego młodszym.

Powiedział jej o swoich przemyśleniach. Chciał, żeby miała świadomość wyboru. Potem dał jej czas. Ona nie potrzebowała go wiele, by mu zakomunikować, że już go dokonała. Wiktor do dziś pamięta, że w tamtym momencie poczuł podwójną ulgę; gdy zrozumiał, że szczerłość nie zapędziła go w kozi róg samotności i kolejnej przegranej i że jego obecność jest dla kobiety sprawą bezdyskusyjną. Kiedy w kilku prostych słowach wyznała mu, że może wyobrazić sobie życie bez wszystkiego innego, lecz nie bez niego, zwyczajnie się rozpląkał. Zwykło się mówić, że są momenty, kiedy człowiek rodzi się na nowo. Dla niego tą chwilą była jej deklaracja. To był też dzień, kiedy wybaczył wszystko swojej byłej żonie.

Małej na szczęście nie zagrażało nic poważnego. Po jednorazowych wymiotach, spowodowanych najpewniej chwilową niestrawnością, dziecko prawie od razu doszło do siebie. Mimo to nie zmuszali dziewczynki tego dnia do żadnej aktywności, żeby jej organizm mógł zregenerować się w swoim tempie. Tatianie opieka nad małą sprawiała wyraźną przyjemność, Wiktor natomiast po raz kolejny, gdy spędzał czas z wnuczką, poczuł, że życie, które kiedyś odwróciło się do niego plecami, znów zerka przez ramię w jego stronę.

– Dobrze mi tak... – odezwała się cicho.

Wypuścił wolno powietrze.

– Naprawdę? – Czuł, że kobieta nie ma na myśli tylko wygodnej pozycji na sofie.

– Tak.

– Mnie również.

Spojrzał jej w oczy i nie był do końca pewien, czy oprócz spokoju nie dostrzeże w nich jeszcze jakiegoś pytania. Doszedł do wniosku, że zastanowi się nad tym trochę później, po czym zasypał jej usta pocałunkami.

Kiedy zapytała go o to rok temu, zbył ją kilkoma słowami. Czuł, że nie kupiła jego tłumaczeń, ale wtedy nie miał ochoty mówić jej nic więcej. Chociaż wiedział, że te same pytania wrócą prędzej czy później. Nie pomylił się.

– Powiedz mi.

– Co mam ci powiedzieć?

– Po prostu to powiedz.

– Nie rozumiem, o czym mówisz. – Dobrze rozumiał.

Nie był zły. Nie był nawet poirytowany. Czuł się raczej zagubiony, kiedy przychodziły takie dni jak ten; gdy miał je obydwie przed oczami: Tatianę i Matyldę.

Usiadła za nim okrakiem i przyłgnęła swoim ciałem do jego pleców. Wysunął mebel na środek kuchni i siedząc na nim, czyścił warzywa, których zamierzał użyć do przygotowania kolacji.

– Chcesz, żebym spłynął krwią? Mam w dłoniach ostry nóż – próbował jeszcze odwrócić tym czarnym żartem jej uwagę, ale w głowie już układał sobie odpowiedzi. Znał je na pamięć.

– Będę delikatna...

– Lubię, kiedy jesteś delikatna.

W tym samym momencie pomyślał, że wciąż porównuje ją do byłej żony; jej reakcje, stopień ekscytacji różnymi rzeczami, nasilenie emocji, poglądy, zapachy, jakie wybierała... Nie mógł pozbyć się tych zachowań. Przeszkadzały mu, irytowały go, były jak drobinka pod powieką, która dotkliwie daje o sobie znać. Czasem miał wrażenie, że jest ich tam cała garść.

– Lubię, kiedy jesteś delikatna – powtórzył, dając w ten sposób znak, że jej obecność sprawia mu przyjemność.

– Wiesz, że kiedy wracasz z tych rejsów, jesteś inny?

Nie zaprzeczył. Zanim odezwała się znowu, wyjątkowo dokładnie oczyścił dwie kolejne marchewki.

– Za każdym razem jest tak samo. Jakby ktoś podmienił cię na kilka dni...

Odsunęła trochę kołnierzyk jego koszuli i kilka razy pocałowała fragment skóry na odkrytym karku.

– Dlaczego mi o tym mówisz?

– A więc zdajesz sobie sprawę z tego, że to nie są tylko moje wymysły. – Zatrzymała powietrze w płucach i chwilę później wypuściła je głośno. – Powiem ci dlaczego.

Starła się mówić spokojnym głosem, ale już zdążył ją poznać. Usłyszał ledwie wyczuwalną niepewność, ale i chęć uwolnienia tego, co musiała nosić w sobie od dawna.

– Od lat pływasz tym samym szlakiem... Zawijasz do tych samych portów, cumujesz przy tych samych kejach, rozpalasz ogniska w tych samych miejscach. Czy wiesz, co się tylko czasami zmienia?

– Ty pewnie wiesz? – zapytał równie cicho, jakby nie zadał pytania, ale wyraził zgodę na to, cokolwiek miałyby się dalej wydarzyć.

– Wiem. Czasem zmienia się tylko pogoda.

Zrobiła krótką pauzę, żeby przytulić twarz do jego drugiego policzka.

– Wszystko inne jest takie samo. Niezmienne. – Westchnęła. – Jej już nie ma. Ale ty przez te kilka dni jesteś z nią. Stąpasz po waszych wspólnych śladach. Stąpasz po jej śladach. Spotykasz się z nią. Tam. I powtarzasz ten rytuał, znów i znów. Ona wciąż jest między nami. Nie zrozum mnie źle, Wiktor...

Czuła, jak napiął mięśnie i znieruchomiał. Chciał rzucić jej w twarz jakieś słowo na swoją obronę, ale to, że miała rację, zamknęło mu usta.

– Wiem, ile dla ciebie znaczyła. Nie jestem głupia, Wiktor... Dostrzegam to każdego dnia; jak się zamyślasz, jak smutniejesz, uciekasz w pracę, jak wracasz stamtąd.

Teraz mówiła szybko, jakby bała się, że zaraz jej przerwie, a ona zapomni kolejnych słów.

– Jak nie mój... Nie proszę cię, żebyś przestał ją kochać. Nawet bym nie śmiała. Dlatego, że to ona cię ulepiła od nowa, pokolorowała cię. Dla mnie. Stworzyła mi ciebie. Gdyby nie ona, nie byłoby mnie tutaj. Pokochałby cię ktoś inny. Ale jestem ja. Szczęśliwa! Tutaj. Ja! – Powtórzyła mocniej ostatnie słowo. – W jakiś pokrętny sposób to ja stąпам po jej śladach. Ty już nie musisz. Nie musisz, Wiktor... Nie proszę cię, żebyś znalazł nowe ścieżki. Ja chcę, żebyś znalazł je dla nas! Dla siebie i dla mnie. Rozumiesz? Mamy jeszcze kawał życia przed sobą. Wybierz inny szlak. Przecież jest ich wiele! Pozwól jej odejść...

Łzy kapały mu na brudne dłonie. Z idealnych odpowiedzi pozostał tylko

marny pył. Bo co miałby jej teraz powiedzieć? Że czekał na moment, kiedy jedna miłość ustąpi miejsca drugiej? Jak miał jej wytłumaczyć, że gdy tak zmienił się w czekanie, zrozumiał, że to się nigdy nie wydarzy; że nie przejdzie na drugi brzeg suchą stopą. Że całe to czekanie zdało się na nic... Ona to wszystko wiedziała wcześniej od niego. Może dlatego, że prawdziwe uczucie jest w tę wiedzę bogate i walczy o swoje? O swoje miejsce i swój czas? Czy nie nadszedł najwyższy, żeby mu w tej walce pomóc? Myśli tańczyły mu w głowie szalony taniec. Położyła głowę na jego ciepłym karku i czekała, aż się uspokoi. Oplotła dłońmi jego podbrzusze, nie zwalniając uścisku. Odetchnął głęboko kilka razy i wytarł dłonie w bawełnianą ściereczkę.

– Jesteś tam? – zagaił.

– Cały czas.

Czas – słowo klucz. Uśmiechnął się do siebie.

– Kocham cię – powiedział spokojnie i pewnie.

– Wiem. To wiem...

Być może chciała usłyszeć coś jeszcze, ale w tym momencie nie zdobył się na więcej.

– Więc jeszcze mi tylko powiedz, co mi dzisiaj zaserwujesz. – W jej głosie usłyszał przyjemną lekkość. Swoboda była wyczuwalna również w jej ruchach. Wieczór minął im na długiej rozmowie. Noc była zajmująca w równym stopniu. Następnego dnia rzeźkość poranka miała całkiem nowy wymiar, zupełnie jakby ktoś rozpylił w niej dodatkową porcję tlenu. Jakiś czas później zaskoczyła go prezentem w postaci butów trekkingowych i wygodnego plecaka. W jednej z kieszonek znalazł mocno zużyty przewodnik po Bieszczadach. W środku grubym flamastrem ktoś zaznaczył kilka szlaków. Domyślił się, kto zna na pamięć każdy ich kamień. A buty pasowały jak ulał.

W tym roku jego urodziny przypadły w środku szaroburego jesiennego tygodnia. Wziął sobie wolne. Otworzył szafy i szuflady w komodach. Wyciągnął z nich to, co nosił na sobie więcej niż dwa lata, w jednym miejscu kładąc całą garderobę z czasów swojego małżeństwa. Po krótkim namyśle dokładnie upchnął wszystko w kartonowych pudłach, na wierzch kładąc kilka par butów i kubki do kawy

kupione podczas ich pierwszej podróży do Włoch. W osobny karton spakował folder z reprodukcjami malarskimi, po który Matyllda po ich rozwodzie nigdy nie wróciła, i pokażny zbiór albumów fotograficznych. Wyjął z nich tylko kilka zdjęć z czasów, gdy chłopcy byli jeszcze w przedszkolu, a na twarzach ich rodziców malowała się wyłącznie radość. Zostawił też sobie jedno ujęcie przedstawiające samą Matylldę. Zrobił je sam podczas któregoś z mazurskich rejsów, kiedy nieświadoma, że poluje na nią z aparatem, kontemplowała okolicę, siedząc na rozświetlonym słońcem dziobie jachtu.

Lubił to zdjęcie, choć było na nim widać tylko część jej twarzy i choć jej oczy nie były zwrócone w stronę obiektywu. Mówiło o niej więcej niż większość innych, do których mu pozowała. Była na nim zamyślona, spokojna i znajdowała się dużo dalej niż te kilka metrów dzielących ją od fotografa. Ale była mu na tym zdjęciu bliższa niż kiedykolwiek, bo nic na nim nie ukrywała, niczego nie próbowała grać, nikogo nie próbowała oczarować. Była czytelna, pozbawiona swojej codziennej zbroi, w którą przyoblekała się potem coraz częściej, im bardziej doganiały ją sukces, ludzka zazdrość i ich wspólne kłamstwa...

Fotografie schował do czystej koperty i przełożył do szuflady swojego biurka z najważniejszymi drobiazgami. Kartony z odzieżą zawiózł do najbliższego MOPS-u, wszystko inne zostawił na Sadybie niezbyt zaskoczonym jego niespodziewaną wizytą bliźniakom, którzy po śmierci jego teściów odremontowali stary dom, dzieląc metraż między siebie. Razem z przywiezionymi rzeczami Wiktor zostawił też swój osobisty pęk kluczy od willi i zegarek, prezent od byłej żony na dziesiątą rocznicę ślubu. Pozostałą część dnia poświęcił na nowe zakupy, zapełniając uwolnioną przestrzeń odzieżą w nowych wzorach i trendach i świeżym powietrzem, pachnącym nowymi perspektywami i nowym rodzajem czułości...

Ostatecznie wykosztował się też na stare wino i nowy czasomierz. Wieczorem przyrządził potrawę, której smaku wcześniej nie znał, a wybrał ją tylko dlatego, że w rubryce „sposób wykonania” widniało: bardzo trudny. Smakowała wybornie. Zrobił pierwszy krok.

Drugi postawił na Szerokim Wierchu, Wołosatem i Bukowym Berdzie. Zanim trakty przykrył pierwszy śnieg, zdążył nacieszyć oczy widokiem rozbuchanych jesiennymi kolorami Połonin Caryńskiej i Wetlińskiej i przyjrzeć się z bliska

perłom bieszczadzkiej architektury cerkiewnej. Gdzieś między Przełęczą Orłowicza a Hasiakową Skałą zgubili przewodnik i jego najcieplejszy sweter. Ona zrobiła kilka dziur w spodniach, a on parę nowych zdjęć. Kolekcjonowali pejzaże, wspomnienia i ludzi. Na nowych szlakach, „wieczorem, w schronisku, po sezonie”^[5]. Bo podobno po sezonie dzieją się najciekawsze rzeczy... Zamiast nowego przewodnika kupili swetry, w dwupaku! Na kolejną wyprawę. Pozostała mu do zrobienia jeszcze jedna rzecz. A właściwie dwie...

Niektórzy odmierzają czas liczbą nowych zmarszczek, centymetrów rosnących szybko pociach, kolejną fałdką na brzuchu; robią to również, licząc zera na koncie, przyjaciół albo porażki. On mierzył kolejne lata corocznymi gwiazdkowymi prezentami. Ich mnogość i rodzaj mówiły czasem więcej niż jakakolwiek prezentacja wigilijnych gości. Przez całe lata ten rachunek był niezmienny i stanowił w zasadzie koncert życzeń jego obydwu synów. Część miejsca pod choinką zajmowały też kosztowne drobiazgi, które uwielbiała jego żona, i mnóstwo wydawniczych nowości, będących dla nich zawsze obowiązkowym elementem świąt, podobnie jak smażony karp czy kutia. Kiedy podekscytowane niespodziankami dzieci w końcu szły spać, okręcali się w koce, otaczali ciszą i słodyczami, konsumując długo w noc czytelnicze delicje. Bożonarodzeniowe drzewko wyraźnie zmieniło swój charakter po rozwodzie. Pierwszą Wigilię po ostatecznym sformalizowaniu rozstania spędził samotnie, nie dając się namówić teściom nawet na kawę. Również dlatego, że nie chciał stawiać ich w kłopotliwej sytuacji, gdyby nagle się okazało, że emocje ich wszystkich w jakiś sposób miałyby wymknąć się spod kontroli. Wtedy w jakimś wściekłym buncie ominął prawie wszystkie sklepy, zaopatrując się tylko w dodatkową porcję sera i kilka butelek taniego wina; te ostatnie opróżnił jeszcze przed upływem trzech świątecznych dni. Synom nie zrobił wtedy żadnej niespodzianki. Dopiero po Nowym Roku opłacił im kilkudniowy pobyt gdzieś w okolicach Zakopanego, dokąd w końcu wyjechali ze swoimi ówczesnymi sympatiami. O tym, dlaczego prezent był tak bardzo spóźniony, nigdy nie rozmawiali. Samotność i poczucie klęski pokąsały go wtedy tak dotkliwie, że jątrzące się długo rany lizał parę lat. Potem te kilka świątecznych godzin próbował

przetrwac z rodzina Czerskich, ktorych prosty, harmonijny swiat wprowadzal względny ład i porzadek w jego podarte na strzepy uczucia.

Pojawienie sie w jego zyciu Klaudyny bylo jak przejście do innego wymiaru, w ktorym usmiech oznaczal po prostu radość, a żaden wysilek nie byl tak wielki, zeby nie spróbowac sie z nim zmierzyc. Dzieki malej zaczal odbijac sie od emocjonalnego dna, z ktorego wczesniej nie zdołaly wydobyć go praca, przyjaznie ani bliźniaki. Udaló sie to dopiero malej, bezzebnej istocie z dołeczkami w policzkach i puchem na glowie. Za uscisk jej malych rączek na swojej szyi i pachnace truskawkowymi zelkami „Kocham cie, dziadku” oddalby wszystko...

Kiedy po raz pierwszy wzial ja na rece, ten wieczor znów zapachnial swiezym igliwem i obietnica. Czy zaczal wtedy wierzyc w jutro? Nie pamietá. Ale cos w nim drgnęło.

Niedługo potem pojawila sie Tatiana... W tym roku mial wyjątkowy, całkiem nowy wigilijny plan.

– Podsumujmy. Ty chcesz zniknac do konca roku.

Siedzieli we trzech nad jego otwartym terminarzem.

– Dokladnie tak. Chce zostac z mala na Mazurach jak najdluzej. Zmiana klimatu to wyraźne zalecenie naszego pediatry. Cos musze z tym zrobic, bo jak tak dalej pojdzie, to nigdy nie wysciubie nosa poza okolice aptecznych polek!

– Charakterek i wate zdrowie ma po tobie. Wiesz, ze kiedy byles w jej wieku, babki z rejestracji w przychodni znaly liste twoich ulubionych lektur na pamiec? Jeszcze tylko kilka lat...

– To wina przedszkola i tej wielkemiejskiej wylegarni zarazkow. Ech...

– Kazdy ojciec przez to musi przejść – podsumowal synowskie kręcenie nosem Wiktor.

– Marne pocieszenie!

– Lepsze takie niz zadne. A gdyby bylo ich dwie?

– Okej! Nic nie mowilem. – Męczyzna podniósł do góry ramiona w geście obrony. – Ale wezme do Makarskich papierologie i postaram sie podgonic. Dziewczyny obiecaly pomoc przy malej. A poza tym podobno ma sie zjawic

i Michalina ze swoim synem. Chłopak jest w wieku Klaudyny, więc mocno liczę na to, że będzie miała kogo zasypywać gradem pytań. Dostajesz wolne, dziadku!

– Nie mam wyjścia! Ale odbiję to sobie po świętach, jeśli dasz mi ją do towarzystwa na spacer po zoo. Ma tę wycieczkę obiecaną od dawna i skądinąd wiem, że ta mądra główka o tym nie zapomniała.

– Proszysz! – Marcel zrobił przyzwalający gest dłonią.

– Zostajemy więc na posterunku do końca roku we dwóch. Marek? Kiedy ty chcesz się urwać? – Ojciec zwrócił się z pytaniem do drugiego z bliźniaków. – Koniec lutego? Jak zwykle?

– Zmiana, szefie. Do końca czerwca chcę się zająć tym nowym projektem i dopchnąć do końca Nowy Targ. W ogóle w pierwszym półroczu zamierzam przycisnąć sprawę w Mechelinkach, bo jesteśmy na dobrej drodze, żeby upiec dwie pieczenie na jednym ogniu i puścić ten sam projekt po sąsiedzku, w Rumii. Przeciąganie tych rozmów moim zdaniem nie ma najmniejszego sensu. – Drugi z młodszych Witeckich odchylił się na krześle, kręcąc dla rozluźnienia głową w obie strony. – Poza tym mam swój wywiad i doszły mnie słuchy, że Mak-bet ostrzy sobie zęby na tę inwestycję. Nie ma potrzeby, żebyśmy grali na zwłokę i tracili klienta. Pewnego klienta, zaznaczam. A w czasie powinniśmy się ze wszystkim zmieścić bez problemu. Ja bym go brał. Jeśli więc wezmę wolne, to latem. Witek proponuje mnie i Poli wypad na żagle do Chorwacji; wtedy sobie odbiję. Teraz piłujemy, ile się da.

– Musimy pogadać jutro o tym Mak-becie. Ja też mam swoją teorię na ten temat. Ale mój plan jest dokładnie taki sam jak twój. Czyli mamy jasność sprawy i czytelny grafik na najbliższe trzy miesiące. Jutro zaczniemy od rozliczeń. – Zamknął notes z głośnym trzaskiem i spojrzał na zegarek. Chciał dziś jeszcze zdążyć w jedno miejsce.

– Ja to myślę, czym przekupić córkę, żeby nie płakała za tobą w święta rzewnymi łzami. – Na twarzy Marcela odmalował się frasunek.

– Akurat to jest bardzo proste. Przystudiujesz jeszcze raz list do Świętego Mikołaja!

– Aleś wymyślił!

– Prawda stara jak świat, ale masz rację! Coś wymyśliłem. Przejdźmy zatem do kolejnego punktu odprawy. – Wiktor pozostał w konwencji służbowego

spotkania. – Zarezerwowałem sobie i Tatianie pokój w niewielkiej agroturystyce pod Węgorzewem. Cicho, spokojnie... Wigilijny *all inclusive*, kulig, ognisko na mrozie, te sprawy! Jeśli mała zateśni, po prostu przywieziecie ją do nas. Proste.

– Nie chcielibyście być zupełnie sami? – Marcel uniósł znacząco jedną brew.

– Czy ty myślisz, synu, że ja tylko...

– A ty przy niej tak dużo myślisz? – Mrugnął do ojca.

– Zdarza mi się i to! – odparował starszy Witecki.

Trójka mężczyzn spojrzała po sobie, a następnie każdy z nich uśmiechnął się do swoich myśli. Po śmierci Matyldy relacja braci z ojcem zacieśniła się jeszcze bardziej, a przez te wszystkie lata, kiedy z nastolatków zmienili się w dorosłych mężczyzn, nie tylko synów, ale i odpowiedzialnych partnerów w biznesie, nabrała też serdeczności i szorstkiego, ale jednak – ciepła. Zarówno Marcel, jak i Marek odetchnęli z ulgą, kiedy w orbicie ojca jakaś kobieta pojawiła się dłużej niż na mgnienie oka. Tatiana sprawiała wrażenie oddanej mu i zwyczajnie zakochanej po uszy. Obaj chcieli, by uczucie budzące się między ojcem a tą kobietą okazało się tak samo trwałe, jak niespodziewane.

– Odżyłeś przy niej, tato. To świetna dziewczyna.

– A odpowiadając na twoje pytanie, synu... – Wiktor zwrócił się do Marcela.

– Nie wszystko zależy ode mnie. – Pozwolił sobie na dwuznaczność.

– Pasujecie do siebie i tyle! Nie ma tu co deliberować, tylko działać!

– Już ty nie ucz ojca dzieci robić!

– Ooo! To taki jest ten twój plan?! No, no...

– Wszystko w swoim czasie.

Cała trójka wstrzymała na chwilę oddech, ale mieli najwidoczniej dość na dziś, bo znaki zapytania zakołysały się tylko spokojnie w powietrzu.

– Słuchajcie, ja spadam! – Jeden z braci podniósł się ze swojego miejsca, przerywając krótki moment ciszy. – Bo moja królewna znów mnie ofuknie, że każę jej czekać do podwieczorku. Zajrzę do was z małą przed wyjazdem, *okay*?

Marcel podał szybko rękę ojcu, pożegnał gestem brata i skierował się do wyjścia.

– Tato?

Jego drugi syn zapinał puchową kurtkę i obwiązywał dokładnie szyję szalikiem.

- Naprawdę coś planujecie? Zdradź coś... Przecież widzę, że coś się kroi.
- Chcesz coś pod choinkę?
- Mowa!
- To musisz wytrzymać do Gwiazdki! Jak dzieci, jak dzieci...

Pożegnał syna uściskiem, wyłączył w biurze wszystkie światła i sięgnął po klucze od pomieszczenia, z myślą, że zostanie ojcem było najlepszą rzeczą, która mu się w życiu przydarzyła. Był szczęściarzem. Był szczęściarzem? Powinien za to komuś podziękować. Jeden raz w roku jest taki dzień, kiedy zawsze ktoś czeka; nie tylko na słowa.

– Pańskie zamówienie będzie gotowe za czterdzieści minut. Prosimy jeszcze o trochę cierpliwości.

– W takim razie będę za godzinę.

Pulchna, gładko uczesana szatynka uśmiechnęła się do niego przepaszająco, po czym zwróciła pytające spojrzenie na stojącą za nim kobietę.

Zamknął za sobą drzwi sklepu jubilerskiego i skierował kroki w stronę Placu Zamkowego. Ominął zatłoczoną do granic możliwości Green Caffè Nero. Po drugiej stronie ulicy wypatrzył maleńką kafejkę, którą odwiedzili już kilka razy z Tatianą. Serwowana tam świeżo palona kawa była w dużo lepszym gatunku niż ta z popularnych kawiarnianych sieciówek. Lokal miał też dodatkową – wchodzącą przebojem w gastronomiczną modę – zaletę w postaci możliwości zakupu ciekawych propozycji wydawniczych, których próżno było szukać w księgarniach znajdujących się w modnych galeriach. Silny, nieprzyjemnie wilgotny wiatr na ulicy zmusił go do błyskawicznej decyzji. Pomyślał, że chętnie rozgrzeje się podwójnym espresso i może znajdzie jeszcze coś, co dołoży do zaplanowanego zakupu.

Zdecydował się na biografię Lempickiej pióra Tatiany de Rosnay i najnowszą propozycję Przemysława Borkowskiego, ulubieńca jego Tatiany. Z myślą o sobie położył na kawiarnianym stoliku kilka innych książek, by spokojnie zastanowić się nad wyborem i nad kawą, którą właśnie podawała mu kelnerka. Rozejrzał się. Odwiedzających kawiarnię było sporo. Niesprzyjająca aura na zewnątrz sprawiała, że kto mógł, szukał przytulnego i ciepłego miejsca w przerwie

między sprawunkami. Wiktor zauważył, że przez ostatnią dekadę widok podnieconych świąteczną atmosferą ludzi irytował i denerwował go do tego stopnia, że w tym okresie unikał załatwiania czegokolwiek na mieście. W bolesny sposób przypominał mu się bowiem czas, kiedy czuł się dla kogoś ważny, gdy jego obecność nie była dla nikogo niewygodna. Trudno było mu nawet przed samym sobą przyznać się do tego, że wykorzystał już cały wachlarz możliwości ucieczek od faktycznego stanu rzeczy, w którym – miał nieodparte wrażenie – mówi sam do siebie.

Choć bardzo go to kusiło, nie zapijał alkoholem tego uczucia tylko z jednego powodu. A właściwie dwóch: przez wzgląd na swoich synów. Obaj prawie trzydziestoletni wtedy mężczyźni po pogrzebie matki wpadli najpierw w koszmarny wir depresyjnych zachowań, a niedługo później ku jego rozpaczycy jeden z nich odsunął się zupełnie od życia towarzyskiego i rzucił bardzo dobrze płatną pracę, a drugi prawie z dnia na dzień zaczął pogrążyć się w bagnie szemranych znajomości, wciągany w nie przez przypadkowo poznawane kobiety, którym całkowicie bezmyślnie pozwalał wodzić się za nos w równie przypadkowych miejscach. Wiktor za bardzo kochał ich obydwu, żeby stracić także ich. Dlatego jego żałoba musiała poczekać. Wziął się w garść i w jednej chwili odsunął od siebie całą gorycz, żal i martwość, która jak wierny pies towarzyszyła mu od dnia, gdy dotarła do niego wiadomość o wypadku. Całą swoją uwagę i energię skupił na synach.

Z początku obaj reagowali na niego niepohamowaną złością, prowokując stale słowne utarczki, to znów milcząc i unikając kontaktów z nim. Czuł się wtedy winny, że nikt nie dał mu możliwości zatrzymania Matyldy i podarcia jej biletu lotniczego na strzępy. Ale tego uczucia również nie mógł dopuścić do głosu. Czekał, szamocząc się z własnym strachem i lękiem o synów jak ryba złapana w sieć. W końcu, żeby mieć ich tak blisko, jak to tylko możliwe, złożył im propozycję współpracy. Najpierw wprowadził do firmy Marka, niedługo po nim do zespołu dołączył Marcel. Czekali, pracując, i pracowali, czekając, aż na gruzach mijających miesięcy wyleją nowy fundament. Ten ostatni związał na dobre, kiedy zmaterializowały się ich pierwsze wspólne sukcesy, gdy chwilę potem zjawiała się głuchoniema, czarująca Pola, dla której Marek stracił głowę i którą jakiś czas temu poprosił o rękę, maleńka Klaudyna, a w końcu – Tatiana.

Tę ostatnią podarowało Wiktorowi chyba życie w nagrodę za cierpliwość...

Dziś przedświąteczny ruch i odgrzewane przeboje przyjemnie łaskotały jego wyobraźnię, a widok spieszących się ludzi i kinowych billboardów reklamujących wigilijne hity nie przygnębiał. Budził tylko nostalgię i jakiś rodzaj wewnętrznego ciepła, z którym było mu po prostu dobrze.

Jakaś znajoma barwa głosu kazała mu nagle oderwać się od lektury i rozejrzeć wokół. Przy dwóch sąsiednich stolikach zajęte były wszystkie miejsca. Wokół jednego skupiona była żeńska grupka, na oko w jego wieku, otoczona wianuszkami kolorowych toreb z logo znanych marek odzieżowych. Nie znał żadnej z kobiet. Znajomy głos dobiegał wyraźnie ze stolika stojącego najbliżej fotela, na którym siedział. Twarze dwóch bardzo podobnych do siebie nastolatków również nie do końca rozpoznawał. Nie do końca, bo jednak nie mógł oderwać od nich wzroku, próbując usilnie przypomnieć sobie, skąd tak dobrze zna ich gesty i ton głosu. Gorączkowo szukał w pamięci odpowiedzi na to pytanie, kiedy w pewnym momencie jedna z młodych kobiet zaśmiała się serdecznie z jakiegoś żartu swojej towarzyszki. Przymknął na moment oczy i dał się ponieść skojarzeniom. Wstrzymał oddech i spojrzał na dziewczęta jeszcze raz. Zajęte rozmową i słodkościami na swoich talerzykach, nie rozglądały się na boki. Błogosławił ich obopólną koncentrację, bo gdyby w tej chwili przyjrzały mu się dokładniej, musiałby się wytłumaczyć.

Pierwsza myśl była wyjątkowo czytelna. Zgadzały się wiek i jedno z imion, które padło w rozmowie sąsiadek kilka minut wcześniej. Całą resztę dopowiedziały mu znajome gesty, spojrzenia i uśmiech, którego nie zapomniał. Przy stoliku obok siedziały panny Makarskie – córki jego zmarłej żony. Odwrócił natychmiast wzrok od żywo rozprawiających o czymś kobiet. Chciał ukryć wzruszenie, które musiało być widoczne na jego twarzy jak na dłoni. Nie znały go przecież. Mógłby narazić się tylko na śmieszność i wprawić je w olbrzymie zakłopotanie. Już i tak jedna ze starszych kobiet, która miała go prawie *vis-à-vis*, przyglądała się jego gwałtownej reakcji wyraźnie zaintrygowana.

Ostatni raz widział dziewczynki, gdy miały zaledwie rok. Niedługo później wróciły w ramiona Kosmy... Od tego momentu nie miał z bliźniaczkami już żadnego kontaktu. Wszystko, co wiedział o nich i o historii nowej rodziny

Matyldy, znał z opowiadań synów, dla których dziewczynki były po prostu siostrami i z którymi obaj młodsi Witeccy nigdy nie stracili kontaktu; po latach mieli w osobach Halszki i Różanki mocno i szczerze kochającą rodzinę...

Uroda dziewcząt, to, w jaki sposób rozmawiały i wzajemnie odnosiły się do siebie, zrobiły na Wiktorze ogromne wrażenie. Miał przed sobą dwie intrygujące, mądre, piękne młode kobiety, z których mógłby być dumny każdy ojciec. To był pierwszy raz, kiedy pomyślał o drugim mężu swojej byłej żony w pozytywny sposób; że najlepsze, co w swoim życiu zrobił ten obcy mu zupełnie mężczyzna, to powrót do Matyldy i błaganie jej o wybaczenie, by dziś cieszyć się z tego niezwykłego podwójnego ojcostwa. Bo obie kobiety miały w sobie coś niezwykłego – a może tylko tak mu się wydawało...? Nie analizował tego. W ten mroźny, zimny grudniowy wieczór czyjaś dawno zgasła iskra zadrgała znów jasnym, kojącym blaskiem. Iskra, która rozpałała płomień w dwóch światach. Jeden stanowili jego synowie, drugi to wkraczające dopiero w dorosłość nastoletnie życie.

Kiedy wychodził z kawiarenki, bliźniaczki, nieświadome fali czułości, którą wzbudziła w kimś ich obecność, wciąż śmiały się serdecznie, poświęcając sobie maksimum uwagi. Witecki odebrał swoje zamówienie i prosto z Krakowskiego Przedmieścia pojechał do domu. Nie mógł doczekać się Wigilii...

Chciałem Ci tylko powiedzieć... że u mnie wszystko dobrze. Dopisuje mi zdrowie. Wiesz... cały ten koszmar pustych dni już za mną. Nie jestem sam. Chyba nie mogę jeszcze uwierzyć w to, co powiem, ale miałaś rację, kiedy mówiłaś, że życie zakpiło sobie z nas, kiedy zetknęło nas ze sobą. Chociaż... niewielu ma odwagę zagrać mu na nosie tak, jak nam się to udało. W dodatku podwójnie. Może dlatego właśnie mieliśmy się spotkać, Matylda. Żeby cały ten kosmiczny przypadek miał takie właśnie konsekwencje. Ja w to wierzę.

Nie martw się o chłopaków. Dają radę jak mało kto! Możesz być z nich dumna. Twoja wnuczka to anioł w ludzkiej postaci. Bądź spokojna, bo Twój syn ma naprawdę dobrą opiekę! Marcel świata poza nią nie widzi. Ja też... Marek żeni się na wiosnę. Będzie miał oddaną, dobrą, kochającą żonę. Pola nie słyszy. Marek uczy się migać. Dawno nie spotkałem tak rozgadanej pary! I jest bardzo

duża szansa na to, że już niedługo w naszym domu pióra z anielskich skrzydeł będą sypać się wszędzie. Jest dobrze, M. Jest dobrze... Tylko tyle chciałem Ci powiedzieć. Jeśli za mało, wybaczone. Może jeszcze jedno. Że dziękuję i proszę, byś życzyła mi szczęścia. Bo nigdy go za wiele...

Padający coraz mocniej śnieg kradł szybko ognistą czerwień różom, z których składał się duży, przyniesiony przez niego bukiet. Świeże kwiaty, pozostawione przez kogoś na mogile najpewniej również jakiś czas temu, zdążyły już oddać zimie wszystkie swoje barwy. Przybierający na sile opad szumiał cicho wokół nich, przykrywając przeszłość czystym całunem. Tak właśnie czuł się Wiktor. Czysto...

Poczuł, jak stojącą obok Tatianę wstrząsnął dreszcz. Nie było sensu przedłużania tej niecodziennej wizyty. Przytulił mocniej do siebie milczącą cały czas kobietę.

– Chodź. Bo zasypie nas na amen.

Nie wypuszczając jej dłoni ze swojej, pociągnął ją za sobą.

– Zmarłam...

– Ja też. Gotowa na świętowanie?

– Ja tak. A ty?

– Ja już też.

Teraz był gotowy. Na więcej, nawet jeżeli będzie musiał włożyć w to „więcej” dużo wysiłku.

– Tylko trzeba by przyspieszyć to świętowanie, bo z zapaleniem płuc nic z tego nie wyjdzie!

Zanim doszli do auta, przejmujące zimno jego mokrych nogawek zaczęło zagarniać dla siebie coraz większe obszary ciała. W wyiębionym samochodzie nie było dużo lepiej. Żałował, że nie pomyślał wcześniej o zabraniu ze sobą chociaż niewielkiego termosu z jakimś gorącym płynem. Był spokojny tylko dlatego, że nawigacja w telefonie wciąż działała, wskazując niecałe dziesięć kilometrów do celu.

– Nic nie widać... – Tatiana poprawiła opadającą na czoło czapkę. – Ale jesteśmy niedaleko?

– Mhmmm... – Wpatrywał się w nieprzyjazną przestrzeń migoczącą białym pyłem w blasku samochodowych świateł. Śnieżycą gęstniała z każdym kolejnym przejechanym metrem. Auto z dużym trudem pokonało kilka sporych zasp. Nieprzystosowane do ekstremalnych warunków, sunęło wolno przez białą drogę.

W chwili, kiedy Wiktorowi majaczył już przed oczami półmisek parujących i pachnących masłem pierogów z kapustą i grzybami, samochód gwałtownie zapadł się jednym bokiem w śnieg i mocno przechylił.

– Co jest?! – Kobieta spojrzała na niego oczami jak spodki.

– Mazurska zima, kochanie... Tylko spokojnie. – Drugi człon wypowiedzi wymruczał do siebie, przesuwając szybko drążek zmiany biegów. Samochód przesunął się do tyłu tylko kilka centymetrów i jeszcze bardziej zsunął się na bok. Tatiana, siedząca teraz prawie pół metra wyżej od niego, próbowała zaprzeć się stopami i dłońmi tak, żeby swoim ciałem nie zakryć drążka, na którym Witecki wciąż trzymał kurczowo rękę.

– Wiktor?!

Szybko udzielił mu się jej niepokój.

– No, tośmy już dojechali! – zasyczał głośno przez zaciśnięte zęby. – Przesiądź się.

– Do tyłu? – zapytała zdezorientowana.

– Za kierownicę. Spróbuję go wypchnąć.

Odpiął pasy bezpieczeństwa, otworzył drzwi od swojej strony i prawie wypadł na zewnątrz. Stał po pas w zbitym śniegu. Miał w zasadzie jasność sprawy, ale dla świętego spokoju zrobił kilka kroków, żeby stanąć przed maską. Dał Tatianie znak ręką, że jest gotowy, może ruszyć do tyłu. Wystarczyło kilka sekund, żeby zorientował się, że mają kłopot. Wgramolił się z powrotem do auta od strony pasażera i sięgnął po swój telefon, po czym zaklął cicho pod nosem.

– Nie ma zasięgu! – Spojrzał na kobietę niewidzącym wzrokiem i zmarszczył czoło.

– Co teraz?

Ona też jeszcze przed chwilą była myślami w ciepłym wynajętym siedlisku, pachnącym drewnem do kominka.

– Daj mi twój. – Obejrzał się za jej torebką. Przerywany sygnał w telefonie tylko potwierdził jego obawy.

– To samo.

Zamyślił się na krótko.

– Pozapinaj się porządnie i schowaj dokumenty do siebie. – Podał jej torebkę i oba telefony.

– Chcesz iść pieszo? – zapytała już spokojnie, mocując się z zamkiem błyskawicznym od swojego płaszcza.

Nie byli przecież na końcu świata! A może? – pomyślała, kiedy otworzyła drzwi na zewnątrz i wściekłą zadymkę.

– Nie wolno nam tu zostać. Wychłodziemy się w try miga. Tu w okolicy jest kilka domów, pamiętasz? Dojdziemy do któregoś z nich i tam pomyślimy, co dalej. Pomocy drogowej raczej się tutaj nie doczekamy. A na pewno nie dziś!

Zamknęli dokładnie samochód i ruszyli z powrotem w stronę cmentarza, bo właśnie niedaleko niego mignęły im światła jakichś domostw. Po paru minutach marszu Wiktorowi zdrętwiały usta z zimna i miał wrażenie, że mróz siedzi mu dokładnie na karku. Kiedy pomyślał o tym, że Tatiana pod płaszczem ma tylko jedną warstwę odzieży, w oddali zamajaczyły światła.

– Chwała Bogu! – zawołał w czerń, chwytając kobietę mocniej za rękę.

Parę minut później światła dużego terenowego auta zatrzymały się dokładnie przed nimi. W blasku samochodowych reflektorów sylwetka postawnego mężczyzny była bardzo wyraźnie widoczna.

– Potrzebujemy pomocy! – krzyknął Witecki w kierunku wysiadającego.

Nieznajomy zbliżył się do nich na odległość dwóch kroków.

– Wiktor?!

Okrzyk zdziwienia z trudem przebił się przez szum wiatru.

– Grzegorz!

Byli w domu, pomyślał z ulgą, podając rękę przyjacielowi. Koniecznej, przyjemnej prezentacji dokonano już w równie przyjemnym wnętrzu auta Xeni i Grzegorza. Spotkanie w mazurskiej głuszy niewidzianych od lat przyjaciół było jak gwiazdkowy prezent od losu. Gdyby jeszcze się zastanawiał, w jaki sposób na dobre wrócić do życia, to w tym momencie los sam podsunąłby mu gotową odpowiedź. Para artystów i ich jedyny syn Witek, który dla Witeckiego był niegdyś jak własny, na pewno nie zasługiwała na to, żeby dłużej karać ją milczeniem.

Po szybkim uzgodnieniu planu działania w sytuacji kryzysowej obrano jedynie słuszny kierunek.

Miejsce wybrane do życia przez Matyldę i Kosmę zaparło Wiktorowi dech w piersiach. Ciepłe światło z wielkich okien budynku kładło się łagodnymi falami na rozbielone obejście. Milczący, skarłowaciały sad i drobne krzewy przykryte teraz grubą warstwą śniegu tworzyły niemal mistyczny obraz. Szumiąca wciąż śnieżycą noc i kilka latarenek przy wejściu, z zapalonymi w nich świecami, dopełniały obraz i potęgowały wrażenia. Odetchnął głębiej i przestąpił przez próg.

– Gość w dom, Bóg w dom! – Powitanie wygłosiła wiekowa kobieta, gestem zapraszając przybyłych do środka. Podała mu ciepłą dłoń i uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Mancini. Violetta Margarita Mancini. Zapraszamy...

[5] *We wtorek po sezonie* (sł. Wiesław Buchcic).

Czapla biała [*Egretta alba*]. Słowo *egretta* pochodzi z języka francuskiego od słowa *aigrette*, które oznacza ni mniej, ni więcej jak pęk piór... Białe, długie, piękne piórko jest charakterystyczne dla okresu godowego tego gatunku czapli i stanowi element zdrowotnej atrakcyjności ptaka, który ma możliwość przekazania potomstwu swoich najlepszych cech. I właśnie dla owego piórka, które w kreacjach dziewiętnastowiecznych modystek było nieodłączną ozdobą eleganckich, niezwykle drogich kapeluszy, niemalże zupełnie wytrzebiono czaplę białą; cena tego jednego piórka osiągała na światowych rynkach niebotyczne sumy [...]. W 2018 roku, nad jeziorem Gołdopiwo i w Kruklankach, w okolicach Giżycka, istniała największa kolonia czapli białych i jedna z dziesięciu, jakie znajdują się w Polsce. Ptak gniazduje na drzewach, gdzie tworzy gniazdo w tradycyjny sposób, ale potrafi zbudować je również na trzcinach, zaginając rośliny około metra nad wodą i na tak powstałej platformie stworzyć bezpieczne miejsce do lęgu.

Na podstawie opowieści ornitologa z Mazur, Szymona Czernka

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Viola

Jak to jest, że w towarzystwie niektórych ludzi czujemy się tak, jakbyśmy byli nikim lub kimś niewartym krzty uwagi? Niczym bezsensownie unoszący się pył w obcej przestrzeni. Postrzegamy siebie jako przezroczystych, niezauważeni upływamy. Przy innych natomiast pączkujemy radością, pomysłami, wszystkimi odcieniami zaufania do świata. Drzwi czyjegoś domu stają się szkiełkiem, w którym załamuje się nasze światło. Za nimi jest... tęcza.

Jasna smuga słonecznego światła, które dopiero zaczynało wznosić się nad horyzontem, odbijała się od gładkiej powierzchni stołu, rozkładając się jasnym wachlarzem na barwnych dodatkach wnętrza. Czysta biel mroźnego poranka za oknem dodatkowo intensyfikowała wszystkie kolory w pomieszczeniu. Viola zbliżyła się do szyby i rozejrzała po dobrze widocznym nieruchomym ogrodzie. Cisza w środku domu i na zewnątrz muskała ją cichym tykaniem ściennego zegara. Długo przyglądała się drzewom obsypanym iskrami lodowych klejnotów. Mróz zdawał się obejmować nakazem całkowitego bezruchu wszystko, czego zdołał osiągnąć. Przezrystość powietrza przyciągała wzrok, który rozróżniał dziesiątki odcieni bieli i szarości na tle wstęgi błękitu. Dziewiczą przestrzeń bezgłośnie przeciął jakiś duży ptak. Pobiegnęła za nim spojrzeniem w kierunku linii lasu, który sam w sobie był jak gotowy obraz, niczym zastygły w oczekiwaniu na coś szczególnego niemy obserwator ludzkiej

codziennosci. Jakże inna była ta oschła biel od wirującego stale Południa. Jednocześnie od dawna już Viola nie czuła się tak... otulona.

Z tego miejsca przez pozbawioną liści siatkę konarów drzew prześwitywał wyraźnie fragment dachu sąsiadów i tylko o tej porze roku mogła dostrzec światła w połaciowych oknach domu. Świadomość, że wszystkie bliskie jej osoby ma w zasięgu wzroku, pokrzepiała ją, budząc każdego dnia skuteczniej niż cokolwiek innego.

Pamiętała dzień, w którym zakomunikowała Kosmie, że chciałaby bywać w Polsce zdecydowanie częściej, jeśli pozwoli jej przywileje gościa zamienić na rolę babci-sąsiadki. Śmiała się wtedy głośno, widząc minę Makarskiego, który uznał jej propozycję za dobry żart, nie mogąc uwierzyć, że ktoś z własnej i nieprzymuszonej woli może przedkładać surowy klimat Północy nad przesycone światłem i słońcem wszystkie smaki Południa. Choć to Kosma właśnie – zaraz za bliźniaczkami – pierwszy kręcił nosem, kiedy zaczynała wspominać o pakowaniu walizek i powrotnej podróży do Lombardii. Próbował wówczas wymusić na niej przedłużenie pobytu jeszcze o jeden dzień i zachwalał uroki mazurskiej wsi wespół z gościnnością jej mieszkańców. Któregoś razu powiedziała więc, że już nie musi się nigdzie spieszyć i że jeśli będzie mogła od czasu do czasu przychodzić do nich pożyczyć szklanek cukru albo sól, to z radością odwdzięczy się za okazaną pomoc wysłuchaniem koncertu sąsiedzkich życzeń...

Teraz w całym domu pachniało grzybowo-kapuścianym farszem do pierogów, gorącym pandoro, tradycyjnym włoskim bożonarodzeniowym ciastem, po które najchętniej wyciągały ręce Halszka i Różanka, oraz panettone, kiedyś kojarzonym wyłącznie z Mediolanem i Weroną, dziś znanym i popularnym nie tylko w całych Włoszech, a bez którego Viola nie wyobrażała sobie żadnych świąt...

Pierwsza Wigilia tysiące kilometrów od ukochanej Italii była dla niej ogromnym przeżyciem. Wtedy wigilijny poranek przywitał ją trzaskającym mrozem i wszechogarniającą białą ciszą, w której zwielokrotnione echo własnych myśli słyszała wyraźniej niż swój oddech. Tęskniła za szumem włoskich uliczek i zapachami italskiej codzienności, ale już w inny, harmonijny i pogodzony sposób. W każdej chwili bowiem mogła ten miraż zamienić na

prawdziwą podróż; tak długą, jak tylko będzie miała na to ochotę. A od pewnego czasu była głodna jeszcze wielu innych rzeczy i konstatawała z zadowoleniem, że apetyt na życie grubo po siedemdziesiątce ma swój dodatkowy, nowy i wciąż fascynujący wymiar...

Signiora Violetta Margarita Mancini owdowiała nagle i niespodziewanie. Jej szczęśliwemu, trwającemu piętnaście lat małżeństwu zamknął usta rozległy zawał, który nie dał małżonkom czasu nawet na chwilę pożegnania. Gdyby nie pasja, scalająca ten związek jak dobra zaprawa solidny fundament, nie podniosłaby się po tej stracie. Mąż był najważniejszą mężczyzną w jej życiu, odkąd w masakrze w sierpniu 1944 roku w rodzinnym Borgo Ticino zginęli jej ojciec i dwóch braci. Instynkt jednak okazał się silniejszy od żałoby.

Rzuciła się w wir pracy i artystycznych wyzwań. To wtedy też zamieniła nigdy niezasypiający Mediolan, który na wiele lat stał się ich drugim domem, na cichą willę i przedmieścia historycznej Mantui, odkrytej przypadkiem podczas kolejnej ucieczki od wspomnień. Nowe miejsce bardzo powoli wyrównywało oddech urywany strachem przed pustką kolejnych dni.

Wyssaną z mlekiem matki miłość do naturalnych tkanin wespół z umiejętnościami ich różnorodnej obróbki, którą większość mieszkańców jej rodzinnej wioski miała w jednym palcu, wzbogaciła o wyjątkowe techniki ich zdobienia. Niewielki zakład krawiecki, który prowadziła jeszcze razem z mężem w stolicy Lombardii, sąsiedował z pracownią malarską; miejscem, gdzie w dobrym tonie było i bywać, i nie wychodzić z niego z pustymi rękoma. Atelier holenderskiego sąsiada oferowało tkaniny starannie barwione tradycyjną jawańską techniką batikowania. Młodziutka krawcowa uległa fascynacji nią szybciej, niż rosły dochody starego malarza. Obie pracownie, w żaden sposób nie konkurując ze sobą, podsyłały sobie wzajemnie klientów, tworząc w końcu po kilku latach jeden symbiotyczny organizm, coraz częściej dokarmiany przez bogatszą część europejskiej stolicy mody. Kiedy okazało się, że dziewczyna zdecydowanie lepiej posługuje się tradycyjnym cantingiem niż maszyną do szycia, wyburzono ściany dzielące obie przestrzenie i wspólnymi siłami stworzono miejsce, które na modowej mapie Mediolanu zajaśniało mocno

i wyraźnie.

Nagła śmierć Roberta Manciniego była jak ślepa uliczka, z której zaledwie trzydziestopięcioletnia wdowa długi czas nie potrafiła się wydostać. Wiekowy Holender milczał, kiedy podawała mu dłoń na pożegnanie. Jednak pragnienie ujrzenia uczennicy musiało być wyjątkowo mocne, bo ponowne spotkanie nastąpiło już kilka lat później. Podeszły wiek zmusił mężczyznę do oddania steru młodszemu, a ponieważ na swoim miejscu widział tylko jedną kandydatkę...

Pani Mancini w czterdziestej wiośnie życia prowadziła więc dwie pracownie, swoim talentem i zaangażowaniem w rozwój obu miejsc ugruntowując sobie pozycję artysty, którego nazwisko kojarzone było wyłącznie z jakością, klasą i stylem. Mantua zaś, wystarczająco daleka od blichtru i szumu snobistycznej stolicy, stała się dla malarki enklawą spokojnej twórczej pracy; miejscem, gdzie dzieliła się wiedzą i doświadczeniem z tymi, którzy tak jak ona czerpali energię do życia z kolorów, faktur i form. W końcu podpisała i traktat pokojowy z tęsknotą, a wiedząc, że nigdy nie będzie mogła mieć własnych dzieci, kolejnych uczniów traktowała jak rodzinę. Wielu z nich nie chciało się później od niej zbyt mocno oddalać.

Taką też drogą do jej atelier batiku trafiła czterdziestopięcioletnia Matylda, polska malarka, która w ostatniej chwili zajęła miejsce swojej kontuzjowanej przyjaciółki. Ta nagła zamiana zaowocowała niezwykłą przyjaźnią, która rozpoczęła się jesiennym popołudniem przy warsztatowym stole, rozkwitła wraz ze wspólnie podpisywanymi kontraktami artystycznymi, a zwieńczona została szczerym zaproszeniem do grona najbliższych, tak z jednej, jak i z drugiej strony. Od tego momentu Włochy miały dla Polki coraz mniej tajemnic, a signiora Mancini, odwiedzając co jakiś czas swoją nową polską rodzinę, czuła, że w jakiś sposób wraca do domu, którego ciepła od śmierci męża nigdzie nie mogła znaleźć w zadowalającej ilości...

Towarzyszyła młodszej przyjaciółce w najniezwykleszych i najtrudniejszych momentach jej życia, trwając przy niej nawet w chwilach, w których – zdawać by się mogło – cały świat kobiety walił się w gruzy. Sama również chwilę później musiała przeżyć trzęsienie ziemi w niespotykanej skali, kiedy ta jedna z jej najzdolniejszych uczennic podczas kolejnego pobytu we Włoszech zginęła

w wypadku samochodowym. Śmierć pani Makarskiej nie zdołała jednak zamknąć Violi drogi do serc rodziny, którą Matylda zostawiła w ogromnej rozpacz i żałobie. Pani Mancini wciąż miała w nich własne miejsce i gościnny kąt w mazurskiej głuszy. Urocze bliźniaczki, córki Matyldy i Kosmy, za którego malarka zdążyła wyjść zaledwie kilka miesięcy przed wypadkiem, kochała tak, jakby były jej własnymi wnuczkami, a w oczach jej męża wciąż dostrzegała okrucieństwo blasku przyjaciółki, łączące ją z bliskimi kobiety dużo silniej niż prawdziwe więzy krwi.

Dla dziewczynek była po prostu babcią Violą, a kiedy mówiła do Kosmy: „Synku”, mars na czołe mężczyzny zniknął bez śladu. Ale to nie słowa Halszki i Różanki: „Babciu, nie wyjeżdżaj...”, zmusiły ją do zastanowienia się nad sensem męczących podróży, lecz ktoś, kto obudził w niej prawie zapomnianą chęć do wspólnego życia. Które to życie – odkrywała to ze zdumieniem na nowo – wciąż rościło sobie prawo do szczęścia.

Od ludzi nie stroniła nigdy, a odkąd całą sobą poświęciła się malarstwu, poszerzyła krąg gości swojego domu o przedstawicieli barwnego artystycznego środowiska i coraz to nowych adeptów sztuki batikowania tkanin, dotleniających swoją obecnością powietrze, którym codziennie oddychała. Czas jednak nieubłaganie robił swoje, więc zdawała sobie sprawę, że powoli, a może nie tak znów bardzo powoli, zbliża się moment, żeby pozwolić sobie zejść ze sceny. Od dawna szukała więc zastępcy, kogoś, kto będzie miał w sobie wystarczająco dużo samozaparciu i talentu, żeby nie zmarnować tego, co z takim mozolem przez pół wieku budowała. Piecza nad obiema pracowniami, warsztaty, realizacja coraz częstszych zleceń i nadążanie za zmieniającą się błyskawicznie stroną marketingową każdego współczesnego biznesu zaczynały ją zwyczajnie fizycznie przerastać. Chciała odpocząć. Pragnęła móc odsunąć się na tyle od przyziemnej sfery procesu tworzenia, żeby wreszcie skupić się na smakowaniu owoców swojej wieloletniej pracy. Przyglądała się uważnie swoim uczniom, dyskretnie śledziła ruchy ich dłoni, przysłuchiwała się rozmowom, oceniała temperament i gotowość do wzięcia na swoje barki odpowiedzialności za pracę nad kontynuacją dzieła czyjegoś życia. Kiedy w progu jej włoskiej pracowni pojawiła się drobna malarka z Polski, Mancini poczuła, że być może właśnie dobiegł końca etap poszukiwań.

To był moment, kiedy życie ich obydwu potrzebowało zmian. Wzajemnie mogły sobie pomóc przejść tę drogę dużo łatwiej i czerpać z tej niecodziennej transakcji nie tylko zawodowe korzyści. Pojawienie się Matyldy również w jej osobistej przestrzeni sprawiło, że z dnia na dzień zapomniała o bożym skąpcu, który zdecydował inne kobiety obdarowywać potomstwem. W osobie młodszej koleżanki znalazła wszystko, czego jej dotychczas brakowało. Jeśli do tego momentu czuła się zupełnie spełnionym artystą, to mając ją przy sobie, odnalazła w końcu sens przemijania i spokój, który mu towarzyszył. Nigdy nie zapomni lekkości chwili, kiedy przyjaciółka z entuzjazmem i nadzieją przystała na propozycję współpracy, i jak później w nagłej śmierci Matyldy rozpaczliwie próbowała doszukać się wskazówek, które pozwoliłyby jej odpowiedzieć sobie na pytanie, czy spotkanie dwóch tak pokrewnych sobie dusz było jedynie przypadkiem.

Jeszcze do niedawna była przekonana, że przychodzi taki moment w życiu każdego człowieka, kiedy na kolejną zmianę nie ma już czasu ani miejsca. Że gdzieś istnieje jakaś niewidzialna granica, po której przekroczeniu żadna nowa decyzja burząca stary, znany rytm nie ma już prawa głosu; że poza nią na nic się już nie czeka. Myliła się. Cieszyła ją ta pomyłka i fakt, że w porę potrafiła ją dostrzec. I to również nie mógł być tylko przypadek.

Nowymi właścicielami jej włoskiej willi na przedmieściach Mantui została więc para jej byłych uczniów, którym malarka sprzedała również prawa do swojej marki. Sama, będąc też matką chrzestną obu pociech Marca i Sophie, nie miała żadnych oporów przed tym, żeby własne dziecko oddać pod artystyczne skrzydła małżeństwa. Zastrzegła sobie tylko niezbywalne prawo do niespodziewanych odwiedzin w domu państwa Solierich o każdej porze roku. W odpowiedzi nie usłyszała żadnego słowa sprzeciwu...

Ale nie była jeszcze gotowa na umieranie, a kiedy uczyła córki Kosmy i Matyldy trzymać pędzel w dłoni i odróżniać barwy ciepłe od zimnych, w żyłach płynęło jej samo życie. Wtedy właśnie poczuła, że wreszcie wszystko jest na swoim miejscu.

Od śmierci Roberta najbliższymi jej osobami byli współpracownicy i uczniowie, którzy kiedyś jednak musieli wracać do swoich domów, nawet jeśli wigilijna kolacja przeciągała się długo w noc. W końcu i tak zostawała sama

z ciszą dzwoniącą w uszach i pustych kieliszkach po winie; w środku świętej nocy. A tej świętości nie wystarczało nawet, żeby zasnąć lekkim snem, nieszarpanym dłońmi tęsknoty i duszonej pracą samotności.

Nie myślała o powtórnym zamążpójściu przez wiele lat. Gdy owdowiała, była wprawdzie za młoda, żeby towarzystwo mężczyzny stało się jej zupełnie obojętne, ale wystarczająco dojrzała, żeby rozumieć, że bliskość bliskości nierówna. Zdawała sobie sprawę, że wciąż jest obiektem pożądania i że nie musi pokonywać życiowych schodów w pojedynkę. Ale to był jej wybór. Nawet jeśli ktoś dotykaniem pokonywał tę najintymniejszą z barier, nikomu nie powierzała już siebie do końca. Przez długi czas nie była na to gotowa. Potem nie chciała swoją obecnością mącić nurtu czyjegoś życia, utwierdzając go w przekonaniu, że jest kimś zamiast. Czekala. Żyła. Z czasem coraz spokojniej. Pogodzona z rolą, jaka została jej przydzielona, traktując życie i ludzi z czułością, ale i z pewnym rodzajem dystansu, który dawał jej pewność, że jeśli ktoś spróbuje ją zranić, sam będzie sobie po tym musiał spojrzeć w oczy.

U Makarskich odnalazła prawie zapomnianą przynależność do rodzinnego stada. Poczula się tak, jakby tylko na chwilę wyszła z domu... Grad dziecięcych pytań, smak poobiedniej kawy i wspólne rozmowy przy jednym stole były jak wielki plaster miodu na wszystkie spękania jej wygłodniałej duszy. Nagle ubyło jej lat, a niespodziewane pojawienie się dodatkowej energii nie niosło ze sobą niczego, czego nie chciałyby dotykać.

Po pogrzebie Matyldy nie odwiedzała Polski kilka lat. Musiała dać sobie czas. Kosmie również. Był wrakiem człowieka i sam wyglądał, jakby za chwilę miał podążyć w ślad za zmarłą żoną. Nie była w stanie spokojnie na niego patrzeć ani mu pomóc. Bliscy mężczyzny stanęli na wysokości zadania, więc niedługo później oddaliła się ze swoją żałobą do Włoch. Jednak obraz tej rodziny nie bladł, a z czasem dołączyło do niego poczucie jakiejś niezłałatwionej sprawy. Chociaż była ostatnią osobą, którą powinny dręczyć jakiegokolwiek wyrzuty sumienia z powodu tej tragedii, w oczach Kosmy podającego jej rękę na pożegnanie widziała tylko siebie i czubek swojego artystycznego nosa. Gdyby nie jej – wystarczająco docenionej już przecież artystki – benefis, nic by się nie stało. Równie dobrze mogłaby jednak obwiniać cały ciąg innych zdarzeń, na które nie miała żadnego wpływu. Mimo to jakiś rodzaj zupełnie obcego jej

ciężaru nie pozwalał smakować kolejnych dni. Dlatego, tknięta nagłym impulsem, po prostu przyleciała do Warszawy.

Kiedy potem, w środku grudniowej nocy, Kosma otworzył jej drzwi prawie do połowy przysypane śniegiem, w jego pełnych zdumienia, ale spokojnych oczach dostrzegła rozgrzeszenie....

Jej pobyt przeciągnął się wtedy do kilku tygodni, w czasie których zyskała pewność, że każde ludzkie istnienie ma nieskończoną wartość; pomnożoną, jeśli potrafi się ją dostrzec. Później były polskie wakacje i kolejne lato z festiwalem niespodzianek w starym dobrym stylu. Chociaż określenie „stary” nasuwało jej na myśl raczej tylko roczniki win, którym sprzyja upływający czas. Ale tak to wtedy czuła; że najlepsze w końcu przyjdzie i tak. Zaskoczyły ją wtedy zmiana, która nastąpiła w ciągu tych kilku miesięcy w osobie samego gospodarza, i fakt powiększenia się mazurskiej rodziny o dwóch nowych członków: charyzmatyczną trzydziestolatkę i jej ojca. Kosma wrócił do życia. Cokolwiek łączyło tych troje, było na tyle ważne, żeby się nad tym pochylić. Dziewczyna cierpiąca od kilku lat na postępujący bardzo szybko rodzaj stwardnienia rozsianego i jej ojciec, dystyngowany dojrzały mężczyzna, wypełnili świat Violi w sposób, o którym od dawna bała się marzyć. Wróciło poczucie bezpieczeństwa, harmonii... Czekala na ten moment wystarczająco długo, żeby teraz nie wstydzić się celebrować każdej z upływających minut. Może to właśnie było to życie po życiu, które ktoś zdążył jej przekazać w sztafecie? Chciała w to wierzyć. I wtedy, i teraz.

Do uroczystej kolacji zostało wprowadzić całe półtora dnia, ale nic nie stało na przeszkodzie, żeby zaczęła świętować już dziś. Przydzielone jej przez bliźniaczki zadania wykonała sumiennie i z dużą nawiązką, uznała więc, że zrobienie sobie prezentu w postaci leniwego dnia bezdyskusyjnie jej się należy i może przynieść tylko same korzyści. W oczekiwaniu na męża, który razem z Kosmą wybrał się z samego rana do lasu po odpowiedniej wielkości świerk, by nazajutrz tradycji stało się zadość, skierowała kroki do kuchni. Odkąd ponownie wyszła za mąż, nie przestawała delektować się chwilą, kiedy mogła przygotować podwójną porcję kawy wystarczającą do napełnienia dwóch kubków,

i zastanawiając się przy tym często, czy nie powinna częściej obruszać się na ludzi twierdzących, że seks po siedemdziesiątce może smakować tylko mężczyznom. Chociaż... czy łatwo byłoby znaleźć kogoś, kto uwierzyłby jej na słowo? I czy nie byłoby to zwyczajną stratą czasu, który mogłaby spożytkować w dużo ciekawszy sposób?

Kiedy w jej drzwiach na włoskiej prowincji stanął profesor Adam Stawski, ojciec nowej partnerki Kosmy, jeszcze zanim Viola na dobre zdążyła rozpakować walizki po powrocie z polskich wakacji, nie była zaskoczona. I tak naprawdę, gdyby nie doświadczona chorobą młoda kobieta, jej gościowi nie spieszyłoby się z powrotem. Viola natomiast bez żalu rozstała się z ciszą podczas samotnych śniadań. I nocy. „Jedź ze mną”; tę prośbę mężczyzny zapamięta na długo. Ile miała czasu, żeby się nad nią zastanowić? Skróciła go do minimum i koniec końców kupiła większą walizkę. Obydwoje doszli wtedy do wniosku, że czas na zimne kalkulacje skończył im się już dawno. Mieli go jednak wystarczająco dużo, żeby wycisnąć go jak cytrynę. I doprawić w sposób, który mógł dodać mu głębi.

To nie był grom z jasnego nieba ani mistyczne porozumienie dusz i ciał. Pojawiło się za to uczucie spokoju i pewności, że bycie sobą nie dziwi, nie irytuje, nie męczy... I ta jedyna w swoim rodzaju błogość wynikająca z czyjejś obecności, która w żaden sposób nie jest uciążliwa, ale pożądana; wypatrywana niecierpliwie, zachłannie. W końcu – tęsknota. Ta jej odmiana, która sama pcha się pod dach. Dojmująca, wszechobecna, czytelna jak pachnący świeżą farbą drogowskaz; od której powietrze gęstnieje oczekiwaniem. Nie chciała już czekać ani tęsknić. I było jej z tym wyjątkowo dobrze. Po stronie strat miała przecież tylko za duży dla siebie dom, z dnia na dzień coraz mocniej nasiąkający starością. Po stronie zysków – przyjemność niespiesznych rozmów i życie, które można było upychać po kieszeniach. Rachunek był prosty. Umiała liczyć. Była szczęśliwa. Po raz pierwszy od wielu lat tak namacalnie i krwiście... A kieszenie zawsze lubiła głębokie.

Wykroiła sobie spory kawałek z puszystego kopca panettone i położyła go na talerzyku obok kubka z parującym aromatycznym napojem. Tacę z kawą

i ciastem zaniósła do niewielkiego stoliczka, a sama usiadła w fotelu obok, przysuwając mebel bliżej okna, za którym miała doskonałą panoramę zaśnieżonego ogrodu. We Włoszech o takich widokach nawet w środku zimy mogła sobie tylko pomarzyć. Ostry mazurski klimat służył także jej zdrowiu. Czuła się silniejsza, mniej chorowała. A może był to tylko efekt dodatkowej porcji szczęścia, każdego ranka układanego pieczołowicie na talerzu?

Pod gościnnym dachem Kosmy i jego rodziny spędzili tylko tyle czasu, ile było konieczne, żeby znaleźć sobie jakiś własny kąt, możliwie jak najbliżej „Kosmo-domu”, jak wszyscy razem zwykli nazywać starą stodołę doprowadzoną do stanu używalności jeszcze przez Matyldę; nazwa przylgnęła do budynku tak mocno jak oplatający ją gęsto wiekowy bluszcz. Kiedy więc nadarzyła się okazja, żeby zaopiekować się obejściem najbliższych sąsiadów Kosmy, dwójki staruszków, którzy odeszli prawie równocześnie, nie zastanawiali się ani chwili. W tych czterech ścianach nieskażonych złym słowem i brakiem czułości znaleźli sobie nowe miejsce ze starym, czystym źródłem dobrej energii.

Viola świadomie i bez żalu zrezygnowała z pracy przy sztalugach. Z roku na rok każda godzina w wymuszonej pozycji była wystarczająco uciążliwa, żeby podjąć wreszcie decyzję o zastąpieniu jej chwilą przy książce, spacerem czy długimi rozmowami, którymi obydwójce z mężem lubili sobie wypełniać czas. Tylko raz w roku zbierała siły i opowiadała o historii swojego ukochanego batiku uczestnikom warsztatów malarskich prowadzonych w sąsiednim siedlisku przez wieloletnią przyjaciółkę Matyldy. Kiedy jednak Xenia zdecydowała się towarzyszyć swojemu mężowi w jego artystycznych wędrówkach po Europie, Viola odpuściła sobie i tę aktywność, przelewając miłość do sztuki na swoje ubóstwiane przyszywane wnuczki, które – co absolutnie nie uszło jej uwadze – piękno i wrażliwość na nią miały we krwi. I po prawdzie to one właśnie wpadły na pomysł, który kiełkował jej w głowie już od dobrych paru lat, a na którego realizację wcześniej zwyczajnie brakowało jej czasu i motywacji.

„Ty tak pięknie opowiadasz, babciu, jakbyś czytała książkę” – mówiły do niej obie bliźniaczki przed zaśnięciem, kiedy w bajkowe dziecięce opowieści wplatała im artystyczne ciekawostki i malarskie historie z różnych części świata. Dziewczynki dały jej impuls. Sama myśl o pisaniu książek powodowała, że

uśmiechała się szerzej i natychmiast prostowała sylwetkę. Poza tym było to coś, czego jeszcze nie próbowała. A przecież miała również sporo do powiedzenia, nie tylko o sztuce. W jednym miejscu miała szansę przechować wspomnienia, przekonać innych, że pasja to legendarny sezam i drugi oddech w jednym; zostawić po sobie kilka prawd wespół ze wskazówkami, jak mądrze je wszystkie wykorzystać.

Napisała książkę o kolorach. O barwach życia, odcieniach miłości, o tonach i niuansach sztuki, która choć w swojej wymowie tak niecodzienna, ma więcej wspólnego z codziennością, niż mogłoby się na pozór wydawać. Praca nad publikacją okazała się dla niej przyjemnością samą w sobie i chyba udało jej się włożyć w nią maksimum zaangażowania i serca, bo już gotową uwiodła kilku wydawców zdecydowanych na współpracę z nią od zaraz.

Nie mogła odmówić...

Spojrzała na stos zapisanych brulionów, w których robiła pierwsze notatki; przez wiele miesięcy nie mogła się bez nich obejść. Właściwie, pisząc, odbyła jedną ze swoich najciekawszych podróży i nabrała ochoty na więcej, musiała to przyznać. To był jej plan na nowy rok. Uznała, że jest wyjątkowo dobry.

Ale z jedną ważną rozmową nie chciała czekać aż tak długo. Wzięła do ręki telefon, żeby wybrać odpowiedni numer. Na zewnątrz nagle dał się słyszeć gwar kilku głosów. Tym samym cichy, spokojny dzień musiał znaleźć sobie nowe miejsce do leniuchowania.

– Babciu, podróż to podróż! – perorowała głośno Różanka. – Nie wykręcisz się. Obiecałaś!

– Ależ wcale nie zamierzam się wykręcać, kochanie. Chciałam tylko wiedzieć, czy dla tych twoich czytelników... przypomnij mi, ilu ty ich masz?

– Trzydzieści osiem i pół tysiąca, babciu – wyrecytowała z dumą w głosie dziewczyna.

– Imponujący wynik! Co to ja chciałam...? – Signiora Mancini spojrzała ponownie na nastolatkę znad oprószonego mąką stołu, którego większą część zakrywały ułożone w równych rzędkach pierogi z kapustą i grzybami, już teraz wyglądające smakowicie.

– Chciałaś, babciu, wiedzieć, czy dla czytelników Róży... – Druga z bliźniaczek przyszła kobiecie z odsieczą, modelując drobnymi palcami brzegi ciasta w perfekcyjną falbankę.

– A tak – podjęła temat malarka. – Chciałam wiedzieć, czy dla twoich czytelników wycieczka krajoznawcza zamyka się tylko w kręgu pejzaży i doznań wzrokowych. Czy oni jednak lubią też posmakować jakiegoś regionu, o którym opowiadasz?

– Chcę dopieścić wszystkie ich zmysły! – Dziewczyna bawiła się długopisem, trzymając go w gotowości nad czystą kartką otwartego notesu.

– Prawidłowo...

Dziewczęta nie mogły być pewne, czy ostatnie słowo kobiety dotyczyło jakości sztandarowej polskiej wigilijnej potrawy, czy blogerskich prób jednej z nich.

– Bez znajomości tubylczych zwyczajów nigdy nie poznasz miejsca, które penetrujesz. A nie zgłębiając jego kulinarnego pierwiastka, jako prawdziwy podróżnik zwyczajnie robisz błąd. Zatem...?

– Mogę posłuchać? – Do trzech kobiet skupionych wokół okrągłego stołu przysiadł się rosły mężczyzna.

– Nie ma nic za darmo! – Signiora Mancini plasnęła przed mężowskim nosem kulą porządnie wyrobionego ciasta. – Najpierw małe kulki, potem płaski placek; rozciągasz brzegi, farsz i zaplatasz – zrobiła profesorowi Stawskiemu szybki pierogowy wykład. – Proszę!

– Babciu? – Różanka grzecznie, acz stanowczo próbowała skierować rozmowę na właściwe tory.

– Wiesz, że wylepiłaś tylko dwadzieścia pierogów? – rzuciła Halszka w stronę siostry.

– Nie żartuj. Ja czuję w palcach dwieście!

– Leń! – Dziewczyna droczyła się ze swoją bliźniaczką, śmiejąc się głośno.

– Mów za siebie. Dziś kilkadziesiąt tysięcy łasuchów w całym kraju i na świecie będzie chciało znać przepis na genialne pandoro signiory Violetty Margarity Mancini!

– Mancini-Stawskiej – wtrącił szybko mężczyzna.

– Mancini-Stawskiej. Zgadza się! Dziękuję, dziadku. – Różanka uśmiechnęła

się do obojga starszków i poprawiła znacząco na krześle.

– Delikatnie, Adasiu, bo dziury robisz! – Malarka kręciła głową, mrużąc oczy z udawaną złością. – Cały środek wypłynie.

Przez chwilę przyglądała się pracującemu w ciszy mężowi, po czym sięgnęła dłonią do naczynia z farszem.

– Zatem! Żeby te twoje ciastojady zdążyły jeszcze przed wigilią... – Malarka utkwiała wzrok gdzieś poza głowami nastolatek, jej twarz zaś zdradzała głębokie zamyślenie. – Zanim na stole pojawią się dolci... – zaczęła powoli – ... prawdziwa włoska *mamma* podaje lasagne. To flagowe wigilijne danie ma takie samo znaczenie jak wasze pierogi, więc nie może go zabraknąć w żadnym włoskim domu, od Piemontu aż po Sycylię. W Lombardii jednak i na piemonckich nizinach przyrządza się ją z anchois i parmezanem, w Neapolu zaś i na całym niemal południu Włoch z małżami. W Borgo Ticino byliśmy jedyną rodziną, która podczas wigilii zajadała się również pierogami z kapustą. Wiecie, że nigdy nie przyznałam się mamie, że wolałam polskie smaki? Kiedy więc po głównym daniu na stół wjeżdżały sardele z chlebem i oliwą, bukiety sałatek z owocami morza, a zaraz po nich czerwona papryka faszerowana pastą z tuńczyka i warzywa przesmażone w cieście naleśnikowym, strzelałam oczami za półmiskami nadzianych frykasów, porzucanych w końcu na rzecz *frutti di mare*!

Zrobiła krótką przerwę dla nabrania oddechu. Bez trudu dało się jednak zauważyć, że w tej chwili jest gdzieś dużo dalej niż tylko poza granicami mazurskiej głuszy.

– Jagnięcinę, pierożki w rosole, tortellini i prosciutto – ciągnęła – serwuje się w pierwszy i drugi dzień świąt w postaci wykwintnego, uroczystego obiadu. Moja babka nauczyła mnie wszystkich tych smaków; nie tylko je przyrządzać.

Wiedziała, że cała trójka widzi jej wzruszenie. Nie kryła go. Tak. Tęskniła, jak tylko może tęsknić człowiek, który zostawia za sobą mrowie dobrych wspomnień. Jutro, kiedy cały dom wypełni się zapachem jemioły i prawdziwego fusilli z włoskimi orzechami, znów oplotą ją wstęgą obrazów i dźwięków sprzed lat. Procent polskiej krwi od zawsze płynącej jej w żyłach nigdy nie był w stanie zdominować włoskości, która przez całe jej życie grała pierwsze skrzypce. Urodziła się Włoszką i wciąż Italia była jej ojczyzną, ale czuła się też

obywatelem świata, przekonując się codziennie na własnej skórze, że ten w pewien sposób się skurczył i że ten fakt może mieć nawet sporo zalet. Chociażby w postaci podróży, które dziś wydają się łatwiejsze niż kiedykolwiek. Wiedziała, że przywożone z nich pamiątki potrafią wypełnić nie tylko pojawiającą się po nich dziurę w portfelu. Podczas jednej z takich wypraw znalazła przecież dużo więcej...

W ogrzanej kaflowym piecem kuchni nagle zaległa cisza. Krystaliczny letarg za oknem potęgował wrażenie chwili. Viola bardzo powoli przechodziła z powrotem do Polski z ogrzanych suchym wiatrem nizin Piemontu i kamiennych uliczek pachnących oliwą, czosnkiem i bazyliowym pesto.

– Wrócisz tam kiedyś, babciu?

Tylko młody duch mógł się zdobyć na tak odważne pytanie. Obydwie nastolatki patrzyły na malarkę szeroko otwartymi oczyma, jakby od odpowiedzi, której wyraźnie oczekiwały, zależało całe ich życie. Profesor Stawski również zdawał się wstrzymywać oddech, kręcąc się niespokojnie na swoim miejscu.

– Tutaj mam wszystko, czego mi potrzeba.

W pomieszczeniu dało się słyszeć trzykrotnie zwielokrotnione westchnienie ulgi. Viola trafiła spojrzeniem na spokojny wzrok mężczyzny. Uśmiechnęła się. Tam dom twój, gdzie serce twoje. Przytuliła do piersi tę myśl, biorąc do ręki kolejną porcję ciasta.

– Ale pojedziesz na plan, kiedy zaczną kręcić o tobie film? – wypaliła nagle Halszka.

– Możemy jechać z tobą? Powiedz, że tak! – Druga z bliźniaczek podążyła w ślad za siostrą. – Na pewno możesz zabrać ze sobą jakieś osoby towarzyszące. Możesz, prawda? Babciu?

– Już wiesz, kto cię zagra?

– Przecież to jasne! Monica Bellucci – weszła siostrze w słowo Różanka. – Jest bezkonkurencyjna!

– Chciałaś powiedzieć: najdroższa!

– I co z tego? Przecież to będzie hit! Zwróci się. – Nastolatka wzruszyła ramionami i spojrzała na starszą kobietę. – Możemy pojechać z tobą, babciu? – Posługiwanie się w rozmowach liczbą mnogą w stosunku do własnej osoby obie bliźniaczki miały opanowane do perfekcji. Patrząc na nie, Viola zastanawiała się

czasami, kiedy zmieni im się to na dobre. W tej chwili jednak odpowiedzi wymagało zupełnie inne pytanie.

– A Irene Arcos? Uważam, że byłaby jeszcze lepsza. Wygląda jak prawdziwa ognista Włoszka. I jest świetna. – Halszka chciała mieć w rozmowie ostatnie słowo.

– Nie. Tylko Bellucci. – Różanka nie zamierzała się poddawać. – Ona jest... ona jest magnetyzująca!

– Decyzja i tak należy do babci. – Mężczyzna uznał, że czas włączyć się do dyskusji. – Mam rację, Violu? Chociaż określenie „magnetyzująca” i mnie przekonuje. To jak?

– Myślę, że jeszcze jakieś trzydzieści pierogów i będzie dość. – Malarka roześmiała się serdecznie.

– Babciu!

Chór trzech zawiedzionych głosów wypełnił przestrzeń nad stołem.

– Skąd to zdziwienie? Sami wasi bracia pochłoną połowę tej produkcji!

– Babciu!! – Tym razem nastolatki wzięły kobietę w dwa ognie.

– Jeszcze nic nie postanowiłam! – Malarka spróbowała uciąć kinematograficzną dysputę.

– To kiedy to zrobisz? – Zadane chórem na dwa bliźniacze głosy pytanie zawirowało w powietrzu razem z mącznym pyłem.

– Mogłabym przy okazji zrobić cykl świetnych reportaży! – zapalała się dalej Różanka.

Signiora Mancini wstała, otrzepała dłonie, po czym wytarła je w kolorowy kuchenny fartuch.

– Ja piję podwójne espresso, dziadek małą czarną z odrobiną mleka, a panienki?

– Cappuccino.

– Kakao! Też podwójne, proszę. – Jedna z bliźniaczek ruszyła w kierunku szafki z filiżankami.

– Jeśli naprawdę przystanę na tę propozycję... – nie chciała już dłużej trzymać całej trójki w napięciu – ...to dowiedcie się o tym pierwsze! Zgoda?

– I...

– I wtedy: tak, zabiorę was obie.

– Fajowo...

Po chwili postawiła pachnące napoje na brzegu stołu obok łyżeczek i cukierniczki.

– Pandoro! – przypomniała Różance jeden z celów dzisiejszego spotkania. – Składniki.

Dziewczyna pochyliła się posłusznie nad kartką.

– Mogłabyś podyktować im jeszcze przepis na życie. – Profesor Stawski sięgnął po swoje naczynie z aromatycznym płynem. – Zgodzisz się?

Domyśliła się, że jej mąż pyta o wynik filmowych negocjacji, a nie recepturę na życiowy sukces. Chociaż jedno i drugie miało w tej chwili ze sobą bardzo dużo wspólnego. Recytując spokojnym głosem sposób wykonania słodkiego włoskiego chleba, przenosiła po kolei wzrok na wszystkie siedzące przy stole osoby.

– Jeszcze dziś dam odpowiedź.

– Monica, babciu, tylko ona. – Różanka była czujna.

Prawie równocześnie jej *La vita nei colori dell'arcobaleno* ukazywało się na dwóch rynkach wydawniczych. O ile we Włoszech jej nazwisko bez większego problemu otwierało wydawnicze podwoje, o tyle w Polsce mocną kartą przetargową w pierwszych negocjacjach był fakt, że takowej publikacji, łączącej w sobie cechy malarskiego instruktazu z prawdziwie finezyjną opowieścią o sztuce życia, zwyczajnie na księgarskich półkach brakowało. W obydwu przypadkach więc podpisanie wiążących umów stało się dla niej tylko kwestią czasu. Sukces, jaki jej niecodzienny podręcznik odnosił właśnie we Włoszech, jedynie przyspieszył cały proces wydawniczy na polskim podwórku.

Jak rynek filmowy dotarł do jej opowieści, nie dociekała. Tak naprawdę od dnia, w którym odebrała w tej sprawie pierwszy telefon, jej stopień ekscytacji tematem malał wprost proporcjonalnie do liczby miesięcy upływających jej pod mazurskim niebem... I właściwie od tamtej chwili dokładnie wiedziała, jaka będzie jej decyzja.

Posprzątała po kolacji, którą musiała dokończyć sama. Jej mąż po krótkim telefonie od Kosmy po prostu wstał od stołu, ubrał się pospiesznie i wyszedł

w noc. Nie musiała o nic pytać. Domyśliła się, że powodem nocnej wycieczki była Iza.

Poznała kobietę, kiedy ta była jeszcze zupełnie sprawna. Choroba, która już wtedy toczyła jej organizm, dla przeciętnego obserwatora była niezauważalna. O schorzeniu wiedziała na tyle niewiele, że zupełnie nie skojarzyła jej bardzo charakterystycznych objawów. Właściwie pierwsze uświadomiły ją dziewczynki, które pewnego dnia zupełnie bez skrępowania opowiedziały jej w kilku dzieciennych jeszcze słowach, dlaczego ich pani od tańca nie jest już panią od tańca. Wszystkie szczegóły wyjaśnił jej później profesor Stawski, opowiadając cichym głosem o drodze, jaką codziennie we troje pokonują, żeby możliwie w jak największym stopniu opóźnić i osłabić postępy choroby, dla współczesnego medycznego świata wciąż stanowiącej orzech z cholernie twardą skorupą. Wtedy też signiora Mancini spojrzała na dziewczynę inaczej. Zrozumiała jej napady smutku, czasem nieadekwatnej do sytuacji agresji i nagły wstręt do jakichkolwiek aktywności, która to awersja potrafiła przeciągać się na całe dni, gdy Iza niewiele mówiła, preferowała tylko własne towarzystwo i z wyraźną niechęcią przyjmowała do wiadomości fakt, że musi mierzyć się z obecnością w swojej prywatnej przestrzeni jeszcze kogoś innego niż domownicy. Zakładała wtedy maskę z obawy przed współczuciem, które w oczach otaczających ją osób potrafiła bezbłędnie wyczytać. Viola widziała wtedy, jak Iza z minuty na minutę zmienia się w swoisty barometr ludzkich spojrzeń i gestów. Jak udaje, że nie zauważa nagłych zmian tematu i prawdziwych emocji ukrywanych z trudem w pozach obojętności. Dostrzegała w jej oczach powtarzane bezgłośnie pytanie o jutro, o finał kolejnego tygodnia, miesiąca. A każdy przynosił nowe. Choroba postępowała, chociaż i Stawscy, i Kosma sumiennie pilnowali, by zalecenia lekarzy nie trafiały w próżnię. Program lekowy i rehabilitacja; to były terminy, których nikt w tym domu nie unikał. Przeciwnie – każdy liczył się z ich znaczeniem i robił, co się dało, żeby wszystkie ich zalety wykorzystał do maksimum. Jednak Viola mogłaby przysiąc, że czasami przychodziło im do głowy tylko jedno: im więcej dziewczyna się broni, tym wścieklej choroba atakuje...

Rok po tym, jak po raz pierwszy podała rękę młodej kobiecie, ta poruszała się jeszcze o własnych siłach, ale z dużym trudem. W ciągu kolejnych dwóch lat

lista czynności, które mogła wykonać zupełnie samodzielnie, skracala się niemal każdego dnia. Przed upływem pięciu lat chora musiała nauczyć się obsługi wózka inwalidzkiego, chociażby po to, żeby dać moment oddechu swoim opiekunom i jak najlepiej być przygotowaną na chwile, w których może być zdana wyłącznie na siebie. Mimo wszystko im mniej były skoordynowane jej ruchy, tym więcej miała w sobie spokoju; częściej się uśmiechała, w końcu żartowała bez ironii, nieufność zamieniała na nieskrępowaną szczerość i smakowanie codzienności. Nietrudno było się domyślić, kto ją doprawiał. Bliskość Kosmy była dla kobiety tabletką na zdrowy sen, skutecznym terapeutą i motywatorem z podwójną mocą zasilania w jednym. Choć słowo „podwójny” tyczyło się również bliźniaczek, które zupełnie nieświadome swojej roli, jaką odegrały w tej niecodziennej konfiguracji, były bożą iskrą pojawiającą się zawsze wtedy, gdy ogień zwyczajnie przygasał... I Viola była prawie pewna, że owa bliskość pojawiła się dużo wcześniej, zanim Makarski po raz pierwszy zniósł na rękach kobietę po schodach. Czułość, której nie szczędzili sobie wzajemnie i wcześniej, i potem, sprawiła, że niepokój w oczach profesora Stawskiego zniknął coraz częściej i na coraz dłużej.

Przypatrywanie się z boku oddaniu ze strony obu mężczyzn w stosunku do najbliższych im osób było jednym z najintymniejszych doznań, jakich Viola miała możliwość doświadczyć w ciągu swojego – bądź co bądź długiego – życia. I po wielokroć robiło to na niej ogromne wrażenie. Obserwując Kosmę i swojego męża, zdała sobie nagle sprawę, jak wiele w życiu ją ominęło. Jak dużo niezwykłych miejsc było przed nią zwyczajnie zamkniętych, bo nigdy nie była matką. Nie doświadczyła wprawdzie lęku, strachu, złości, rodzicielskiego gniewu i niepokoju, niebotycznego zmęczenia – wiernych towarzyszy macierzyństwa, ale obce jej były też matczyzna radość, troskliwość, czułość i duma; w końcu – sens i cel mozolnych wędrówek; bo u ich kresu nie było nikogo, dla kogo tego wysiłku nie bałaby się podjąć. Miłości wyzierającej z każdego słowa i gestu uczyła się od profesora Stawskiego od nowa; tych jej niuansów i detali, z którymi nikt nigdy nie dał jej szansy obcować, a które uwiodły ją silniej niż uniesienia pocałunków, niż fizyczne olśnienia...

Serce wciąż bić będzie w ciele, które z rozkoszy już niewiele pamięta, ale kiedy ono siebie tylko słyszy – myślała, słuchając, jak stojący zegar właśnie

obwieszcza północ – to jakby nigdy nie przetoczyło nawet grama krwi. Potrzebowała słyszeć jej zwielokrotniony szum. Wtedy i jej własna drgała w zdrowym rytmie; ufnym, spokojnym, spełnionym.

Od dobrej godziny Stawski czyścił kominek z popiołu i sadzy zalegających na hartowanej szybie obudowy.

Zasnęła, zanim wrócił od Makarskich, było więc jasne, że ta wizyta nie miała charakteru towarzyskiej pogawędki. Mimo późnego powrotu wstał na długo przed nią, choć w wigilijny poranek nic nie było na tyle ważne, żeby zrywać się o świcie. Hałas w kuchni, a później w niewielkim salonie, gdzie zwykli spędzać większość czasu, dowodziły, że jej mąż zmuszał się do zajęcia czymś rąk... Przez niemal dekadę trwania ich związku nauczyła się trafnie rozpoznawać jego stany i emocje. Wiedziała już, kiedy ukrywa coś przed nią, kiedy tłumi irytację, której wyjątkowo u niego nie lubiła, albo kiedy markuje senność, gdy jakieś bóle związane z wiekiem próbowały przykuć go do łóżka. Nietrudno było zgadnąć, że poranna nadpobudliwość ma związek z sąsiedzką eskapadą.

– Co tym razem? – Uznała, że może już przerwać krępującą ciszę i że swoimi pytaniami nie rozdrażni go jeszcze bardziej. Pochylała się nad szeroką ławą stojącą wzdłuż kanapy i używając papieru, na którym złotym kolorem mienił się drobny nadruk w postaci śniegowych gwiazdek, dekorowała wybierane pieczętowanie dla bliźniaczek drobiazgi.

– Ma zmieniony jeden lek i to chyba nie jest najszcześniejsza zamiana. Znów pojawiły się zawroty głowy. Spadła wczoraj ze schodów. – W głosie Stawskiego słychać było rezygnację i kolosalne zmęczenie. Jakby miała przed sobą maratończyka po wielogodzinnym wysiłku, a nie krzepkiego siedemdziesięcioparolatka w całkiem niezłym zdrowiu.

– Dlaczego dopiero teraz mi o tym mówisz? – W tej samej chwili przyszło jej do głowy, że chyba zadała pytanie zbyt ostro.

– Ech... Wystarczy, że ja kotłuję się z tym wszystkim. I Kosma. – Stawski wstał z kolan, wyprostował się i oparł dłoń o belkę biegnącą wzdłuż obudowy kominka.

– Wzywaliście lekarza?

– Potłukła się tylko porządnie, uparciuch! Nie zawołała nikogo, kiedy chciała zejść z góry... Ukryła, że czuje się gorzej.

– Co teraz zrobicie? – Miała nadzieję, że jej rozmówca nie usłyszy drżenia w jej głosie.

– Nic. Trzeba wrócić... musi wrócić do tamtych proszków. Choć przy ich stosowaniu już nic więcej się nie wydarzy. Nic więcej już się nie wydarzy.

Przez bardzo długi czas nie mogła pozbyć się wrażenia, że obydwójce zostaną na zawsze w zaklętym kręgu tego ostatniego zdania.

– Te, które przyjmuje od kilku dni, mają szersze spektrum. Ale...

Mężczyzna uniósł ramiona w geście bezradności, uderzył dłońmi o swoje uda, po czym usiadł ciężko w fotelu obok kosza ze świeżo przyniesionym, pachnącym jeszcze mroźną wilgocią drewnem.

– Jeśli się podda... – Ukrył twarz w dłoniach. – Jeśli ja odejdę...

– Ma Kosmę, Adam. Dziewczynki! Zastąpiła im matkę. I kochają ją wszyscy troje. Pamiętaj o tym! – Nie wiedziała, czy starał się słuchać tego, co do niego mówiła.

– A czy ona będzie o tym pamiętać? Czy w tym gniewie, który ją roznosi, będzie to miało dla niej jakiegokolwiek znaczenie?

Znak zapytania na końcu jego wypowiedzi smagnął ją gdzieś w okolicy serca jak gruby, dobrze wyrobiony rzemień.

– I jeszcze te święta, Vi... Nie wiem, czy jutro nie będzie gotowa zwymyślać wszystkich tylko dlatego, że mogą chodzić na dwóch zdrowych nogach! Bo wczoraj była właśnie w takim nastroju.

– Nie dręcz się tym; są rzeczy, których za nią nie zrobisz.

– Czasami się zastanawiam...

– To przestań to robić. Zrobiłeś i robisz wystarczająco dużo. Oni muszą z pewnymi rzeczami poradzić sobie sami. Doskonale wiedzą, jak to zrobić, tylko muszą chcieć. Sami muszą tego chcieć. Dostali swój kapitał wielkich i małych szczęść. Muszą tylko zrównoważyć nimi kilka klęsk. Ale z tym też sobie poradzą. Poradzą sobie. Rozumiesz?

– Vi...

– Lepiej nie mogła trafić, Adasiu. – Ciszę w pokoju przerywały tylko ich krótkie oddechy. – I to będą piękne, spokojne i cudownie rodzinne święta. Takie,

o jakich marzy się w gorszych czasach. Zaczynij mi wierzyć, dobrze ci radzę.

Profesor Adam Stawski wstał z fotela i usiadł obok żony na szerokiej sofie.

– Dla mnie też coś masz? Oprócz dobrych rad?

Przyglądali się sobie uważnie w milczeniu, próbując w swoich oczach dopatrzeć się wielu niezadanych jeszcze pytań. Przykryła drobną dłonią jego splecione mocno ręce. Odwróciła wzrok od swojej wiotkiej i poplamionej wiekiem skóry, przymknęła oczy i chłonęła ciepło bijące od ciała męża, jakby uczyła się rozpoznawać je po raz pierwszy.

Za oknem pociemniało. Nie najlepsze prognozy pogody na wigilijny wieczór zaczynały się sprawdzać. Drobnopadający śnieg w kilka chwil rozmył kontury uśpionego sadu, jakby chciał oddzielić ich od reszty świata. Bo tak w istocie było. Byli małą wyspą szczęśliwą, z niewielką przystanią, w której nigdy nie gasły światła.

– Spójrz... – zagadnęła cicho. – To byli kiedyś zupełnie obcy sobie ludzie.

Przyłożyła do ust brzeg kieliszka z winem, po czym upiła spory łyk. Chwilę delektowała się jego smakiem, przyglądając się grupie wypełniającej pomieszczenie przyjemnym szumem rozmów dorosłych i głosami podnieconych niecodzienną atmosferą dzieci. Stali trochę z boku, obserwując szybko ciemniejący ogród za oknem, zmieniający odcienie z szarych na granatowe. Kolorowe dodatki wypełniające salon, razem z blaskiem świec, które rozstawiono w różnych miejscach, z każdą upływającą minutą coraz bardziej ocieplały wnętrze. Powietrze wypełniał zapach świeżego igliwia i perfum, wymieszany z aromatami świątecznych dań.

– Czasami się zastanawiam...

– A więc jednak są tacy, którzy mają przywilej własnych przemyśleń?

Wiedziała, że żartuje, i uśmiechnęła się na wspomnienie ich porannej dyskusji.

– ...kiedy to się stało, że poczułam się częścią tej rodziny. – Przeniosła wzrok na męża.

– Nie ten moment jest ważny, ale fakt, że w ogóle się pojawił; choć to rzeczywiście ciekawe, jak niezauważalne są granice przeplatających się ze sobą

ludzkich dróg. Ale dla mnie coś jeszcze jest ważne, moja droga.

Zamilkł na chwilę, przyglądając się uważnie kobiecie spod wysokiego czoła.

– Tak? – Intensywny posmak winogron z ciepłem rozlewającym się powoli w przełyku potęgował błogość chwili.

– Czy nie żałujesz, że porzuciłaś gorące i żyzne niziny na rzecz przepastnych borów, gdzie liczba dni słonecznych w ciągu roku woła o pomstę do nieba, signiora Violetta Margarita Mancini?

– Jeśli już mowa o palcu bożym, profesorze Stawski... – pozwoliła sobie na pozostanie w uroczystej konwencji – to mogę tylko podziękować mu za to, że wyjątkowo dobrą wskazał mi drogę. I trudno nie przyznać mu rozmachu w tym, co uczynił.

– Dlaczego więc im odmówiłaś?

– Właśnie dlatego.

Jej mąż słyszał całą rozmowę telefoniczną, którą kilka godzin wcześniej toczyła ze swoją agencją PR-ową stojącą w tym momencie na stanowisku, że złotonośną kurę w postaci producenta filmowego trzeba mocno przytrzymać za grzbiet. Ona miała w tej kwestii całkiem odmienne zdanie, a właściwie cały ich potok.

– Przecież to może być sukces – zagaiła.

– Otóż to! O tym właśnie mówię.

– I tu, widzisz, Adasiu, tkwi cały szkopał...

Doskonale wiedział, co jego żona artystka ma na myśli i co za moment mu zakomunikuje. Ale nie mógł odmówić sobie przyjemności przedłużenia tej gry słów jeszcze o kilka chwil.

– Kiedy przyjechałam do Milano po raz pierwszy...

Szum rozmów nagle gdzieś odpłynął. Znowu usłyszała uliczny gwar i poczuła zapach świeżych bagietek z maleńkich sklepików.

– Miałam dwadzieścia lat, głowę pełną młodzieńczych szaleństw i mikroskopijną walizkę wypełnioną zaledwie do połowy. W dłoniach ściszałam płaszcz, który matka zdjęła z własnych ramion, stopy zaś obułam w jej najlepsze pantofle, za duże o numer. Włosy myłam szarym mydłem, płukałam wodą z octem, a jeśli nie uszyłam sobie czegoś sama, chodziłam w podartej sukience. A jednak nigdy wcześniej i nigdy potem nie byłam tak szczęśliwa. Nawet wtedy,

gdy moją suknię nosiła księżna Monako... Talent karmiłam pokorą i dodatkowym wysiłkiem. Świat nie miał dla mnie barier, a moja pewność siebie rosła w siłę, gdy mogłam zbierać owoce swojej pracy. I było też tak, że kiedy za dnia stroiłam się w laury pierwszych sukcesów, nocą ścisnęłam mokrą od łez poduszkę, bolejąc nad utratą kolejnych cięż. Moje zmarszczki wyłobiły samotność i łzy radości z dumą pod rękę, szczerzy śmiech, tęsknota, wdzięczność i czekanie; nadzieja... Wciąż mam pod powiekami tę dziewczynę. Jej historia jest tylko moja, choć atomy jej wyobraźni krążą w miejscach, do których sama nigdy nie dotarła. Niech mówią za nią kształty, desenie i kolory; niech budzą uśpione namiętności, podsycają pasje i poruszają struny, które dawno zostały zerwane. Nie zawsze trzeba łez, żeby ukoić żal! Nie trzeba szeroko otwierać oczu, żeby zobaczyć, i nie zawsze trzeba słów, żeby zrozumieć. Czasem wystarczy tylko poczuć...

Westchnęła cicho.

– Nie wszystko jest na sprzedaż. Ale wszystko ma swoją cenę. Ja nie lubię przepłacać. Ot... i cała moja opowieść wigilijna.

Mężczyzna ujął w obie ręce jej dłoń i przybliżył ją do swoich ust.

– Spokojnych świąt, signiora Mancini.

– Są spokojne.

– Wierzę. I dziękuję.

Brzeg czyjegoś kieliszka głośno zadzwonił o drugi. Wyprostowała się i odetchnęła głęboko. Znow otoczyły ją dziecięcy szczebiot i zapach świec, a rozmowę przerwało im zaproszenie do wspólnego stołu.

– Pozwolisz?

Profesor Adam Stawski podał malarce swoje ramię.

„Raniuszek [*Aegithalos caudatus*] [...] Gniazdo raniuszka jest konstrukcją podaj jeszcze bardziej kunsztowną niż lęgowa kolebka remiza. [...] Całe jest wykonane z mchu [...] Wyściółka jest bardzo obfita, z drobnych piór. Ktoś kiedyś zadał sobie trud i policzył piórka w gnieździe raniuszka. Było ich ponad dwa tysiące! [...] Część par przystępuje do drugiego lęgu w czerwcu. Wówczas przy odchowie piskląt z drugiego lęgu pomagają rodzicom młode z pierwszego lęgu. Dość często parom towarzyszą także piastunowie – ptaki bez pary, które przyłączają się do par lęgowych i pomagają im w wychowaniu potomstwa... [...]"

Andrzej G. Kruszewicz, *Ptaki Polski*

Postać raniuszka jest w logo Ogólnopolskiego Towarzystwa Ochrony Ptaków.

Na podstawie opowieści ornitologa z Mazur, Szymona Czernka

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wigilia

Makarski wieszał ostatnie ozdoby na imponującym świerku, który rankiem udało mu się wtaszczyć z ojcem Izy do domu. Drzewko z trudem zmieściło się w drzwiach, a po ustawieniu na stojaku wykroiło dla siebie sporą część salonu. Pachnące gałęzie trzeba było w kilku miejscach przyciąć, a górę skrócić o dobre pół metra. Odpoczywali wprawdzie po tej ekwilibryście przez godzinę, ale kiedy przyglądali się teraz drzewku, zgodnie uznali, że efekt wart był swojej ceny. W ostatniej chwili okazało się, że nie mają aż tylu drobiazgów, żeby przystroić należycie ten świąteczny niezbędnik, ale sprawę ostatecznie załatwiły słodycze w kolorowych papierkach i cytrusy pokrojone w plasterki. Pomysł okazał się trafiony, bo gęste gałęzie rośliny mieniły się teraz paletą barw i pachniały całą gamą aromatycznych olejków uwalnianych przez owoce i świeże igliwie. Wetknięcie w gniazdko elektryczne wtyczki łańcucha choinkowych lampek było ostatnim etapem pracy starszych panów. Głośne „wow”, które w tym samym momencie wydobyło się z ust pięcioletniej Klaudyny i jej rówieśnika, Malcolma, było dla obu mężczyzn najwłaściwszą i zupełnie wystarczającą gratyfikacją za poniesiony trud.

Kończył się rok, w którym obie młodsze córki Kosmy wyfruwały z gniazda, choć jeszcze tak niedawno prowadził je za małe rączki i tłumaczył im świat. Pragnął, żeby zapamiętały ten wieczór na bardzo długo i wracały do niego myślami, ilekroć poczują, że życie spogląda na nie mniej łaskawym okiem. Opakowywał w miłość i przewiązywał wstążką akceptacji ich wszystkich

wyborów ten niecodzienny podarunek, licząc na to, że takowych będzie miał szansę zrobić jeszcze wiele.

– Dziadku, kiedy będą prezenty? – odezwał się mały Malcolm, przypominając wszystkim dorosłym znajdującym się w pomieszczeniu o konieczności zadbania o ten żelazny punkt programu.

– Mikołaj na pewno o tobie nie zapomni! – Kosma wziął na ręce kilkulatka i usiadł w fotelu, sadzając sobie chłopca na kolanach. – Cieszysz się, że jesteś u dziadka?

– Tak! – Maluch uścisnął Kosmę tak mocno, że ten poczuł, jak w momencie zwilgotniały mu oczy.

Chwilę później pięciolatek siedział już na dywanie obok tak samo zaaferowanej niecodzienną atmosferą Klaudyny, recytując z pamięci zbiór marzeń ze swojego listu do Świętego Mikołaja. Dziewczynka słuchała go uważnie, ale ewidentnie czuła się trochę mniej pewnie, głównie dlatego, że od kilku chwil w jej pobliżu brakowało ojca. Marcel razem z bratem, nie chcąc ryzykować przeziębienia małej, wybrali się do matki sami; wycieczką na cmentarz rozpoczynali zresztą każde swoje odwiedziny na Mazurach. Kosma bardzo mocno doceniał fakt, że młodszy Witeccy odwiedzają nie tylko ją, ale są również w stałym kontakcie z Halszką i Różanką. Dzięki niezmiennemu zaangażowaniu mężczyzn w te regularne wizyty, rodzeństwo było ze sobą w doskonałych relacjach. Domyślał się, że były mąż Matyldy musi być przychylny tej wyjątkowej przyjaźni, bo obaj bliźniacy dzielili uczciwie swój świąteczny czas między ojca a swoje dwie przyrodnie siostry. I zapewne taktownie milczał w tej sprawie, dając im możliwość pójścia za głosem serca i po części sprawiając, że robili to bez zażenowania i nikomu niepotrzebnej frustracji. Kosma dziękował mu za to w duchu, bo nic nie wskazywało na to, że kiedykolwiek będzie miał okazję uczynić to osobiście. Pamiętał też, ile sam ma lat i że jest mu już bliżej niż dalej do chwili, kiedy córki będą zmuszone iść przez życie bez jego ojcowskiego ramienia. Dlatego bliskość między Witeckimi a jego rodziną z roku na rok nabierała dla niego coraz większego znaczenia.

Między maluchami jak dobry dzin siedziała w kucki Michalina, pilnując, żeby dzieci nawet przez moment się nie nudziły, co było tożsame z tym, że nie plątały się nikomu pod nogami. Swój najważniejszy dzisiejszy obowiązek spełniała nie

tylko bez zarzutu, ale również z dużą przyjemnością. Będąc na co dzień zabieganą samotną matką, nie miała zbyt wielu okazji do spędzania czasu w tak przyjemny sposób. Maluchy, mimo ciągłego wplatania przez chłopca brzmiących obco dla dziewczynki angielskich słów, porozumiewały się znakomicie, wykorzystując w tym celu z powodzeniem i bez żadnego skrępowania cały wachlarz min i gestów. Michalina zwyczajnie więc odpoczywała na ciepłym dywanie, rozkoszując się chwilą i zerkając co i rusz ukradkiem na zegarek w taki sposób, żeby Kosma tego nie dostrzegł. Nie chciała psuć niespodzianki zaplanowanej w najdrobniejszych szczegółach przez Halszkę i Różankę. Wszystkie trzy zresztą co jakiś czas wymieniały porozumiewawcze uśmiechy, każda na swój sposób ciesząc się na nadchodzące szybkimi krokami uroczyste chwile. Fiaska ukartowanych zabiegów również zgodnie wcale nie brały pod uwagę. Ich ojciec wprawdzie już od samego rana wyraził swoje niebotyczne zdumienie ilością wigilijnych specjałów, ale wespół z Izą i Violą, które siłą rzeczy zostały już dawno wprowadzone w temat, całym teatrem słów i niewinnych spojrzeń zdołały wmówić mężczyźnie, że ich kulinarny trud jest co najwyżej ciut na wyrost... Gospodarz połknął haczyk bez mrugnięcia okiem; być może dlatego, że na wszystko, co zewsząd kusząco pachniało, ostrzył sobie zęby.

– Kosma? Tato? – Z góry dał się słyszeć kobiecy głos.

– Pomożesz mi, Adam? – Kosma odwrócił wzrok od wystrojonej choinki.

– Oczywiście. – Profesor Stawski podniósł się szybko z fotela, w którym kilka minut temu rozparł się wygodnie. Chwilę później sprowadzili wspólnie po schodach, trzymając mocno pod rękę, drobną czterdziestolatkę i pomogli jej usadowić się w wózku inwalidzkim.

– Dziękuję... – Ubrana odświętnie pani domu, w naturalnej fryzurze i makijażu, rozejrzała się z uznaniem dookoła. – Pięknie, Kosma.

– Daj spokój, to nie tylko moja zasługa. To praca zespołowa, której finał niebawem!

– Mamo? – Do wózka podeszła Różanka, kładąc na kolanach Izy koszyczek ze sztuczkami i złożoną na nich lnianą ściereczką. – Możesz? I proszę się pospieszyć, bo za chwilę trzeba będzie witać pierwszych gości!

Różanka mrugnęła do swojej macochy, udając mentorski ton.

– Już, już... Biorę się do roboty! – Mówiąc to, Iza odjechała wózkiem z drugiej strony długiego stołu, żeby nie blokować przejścia Halszce, która kończyła właśnie rozkładanie zastawy i kieliszków do wina.

Kosma przysiadł w rogu kanapy, dopijając swoją zupełnie już zimną earl gray i dochodząc do wniosku, że cztery uwijające się jak w ukropie kobiety to wystarczająca w tej chwili liczba rąk do pracy. Spojrzał na spokojną i zaróżowioną z podniecenia Izę.

Kiedy się poznali, kobieta rozpoczynała właśnie samodzielne życie. Przez krótką chwilę byli bliskimi znajomymi i kochankami. Znajomość urwała się nagle, kiedy Kosma poznał swoją drugą żonę. Izabela Stawska pojawiła się znowu niespodziewanie dla niego samego kilka lat po śmierci Matyldy i okazała się nagłym błyskiem światła w żałobie, której nie pozwalał odejść. Dzięki dziewczynie znów rozejrzał się wokół i zaczął dostrzegać coś więcej niż tylko własny ból i obowiązek rodzicielski. Iza, zmagająca się już wtedy z początkami stwardnienia rozsianego, również w nim samym obudziła wolę walki. Zawalczył wtedy o jej godne życie, kierując się poczuciem konieczności spłaty długu, który zaciągnął kiedyś od losu... Ten ostatni musiał przyjąć zwrot z wdzięcznością, bo jako bonus podarował mu nie tylko nadzieję, ale i nową miłość. Choroba kobiety, mimo regularnej rehabilitacji i najnowszej generacji leków, postępowała szybciej, niż się tego spodziewali. Zanim bliźniaczki skończyły dziesięć lat, na dobre oswoiły się z widokiem Izy – i mamy, jak z czasem zaczęły ją nazywać – na wózku. Kobieta prawie przestała chodzić, ale uśmiechała się częściej. On z kolei odwrócił twarz od przepaści, do której świadomie zbliżał się każdego dnia. Życie samo znalazło sobie szczelinę, przez którą dostało się znowu pod ich dach. Potraktowali je jak wyjątkowego gościa.

– Tata! – Dziewczynka pierwsza zareagowała na ruch przy drzwiach.

– Ej! Tak się stęskniłaś? Przecież nawet godzinka jeszcze nie minęła... – Marcel szybko zdjął kurtkę i wziął na ręce rozgrzaną zabawą córkę.

– Witek! Witaj. – Kosma podszedł do osoby, która weszła do domu jako ostatnia. – A gdzie rodzice?

– Powinni zaraz być. – Wywołany do odpowiedzi wysoki, brodaty mężczyzna odwieszał właśnie do szafy swoje okrycie. – Nie chciałem już do nich zakręcać, bo droga w tamtym kierunku jest zdecydowanie mniej przejezdna. Zasypuje

wszystko w ekspresowym tempie...

– Bo czekamy już tylko na nich.

– Mają dobry samochód, dotrą na czas!

Gwar kilku dodatkowych głosów sprawił, że w odświętnie przystrojonym pomieszczeniu przyjemnie zgęstniało. Kosma zaproponował mężczyznom dla rozgrzania po kieliszku nalewki własnej roboty, sam zaś pozapalał przygotowane wcześniej świece, rozstawione w różnych punktach salonu. Jako ostatnia rozświetliła się kompozycja na stole. Klasyczna biała zastawa i jodłowe gałązki obsypane przez bliźniaczki złotym brokatem wyglądały i pięknie, i elegancko. Jego gospodarskie poczucie dumy było zaspokojone.

– Iza? Nie potrzebujesz czegoś? – Podszedł jeszcze do kobiety na wózk, nachylił się nad jej uchem i pocałował ją w policzek. – Bo jak dotrą w końcu nasi sąsiedzi, chciałbym zacząć rozsadzać gości. Mogę ci jeszcze coś podać, jeśli chcesz.

– Nic mi nie trzeba, dziękuję ci. Jak radzisz sobie z tym... najazdem? – Przytrzymała go za rękę i przyciągnęła mocniej do siebie.

– Sama przyjemność! Bylebyś się uśmiechała... – Uniósł w górę dłoń Izy i złożył pocałunek w jej zagłębieniu.

– Gospodarzu drogi!

Konwersację przerwał im głos signiory Mancini, dochodzący z okolic drzwi wejściowych.

– To do mnie, Izabelo! – Puścił do kobiety oko i wyprostował się.

– Kosma, przyjacielu! – Skrzypek przywitał się pierwszy. – Mamy nadzieję, że masz dodatkowe miejsca przy stole.

Uściskawszy sąsiada, mąż Xeni odsunął się na bok, żeby zrobić miejsce żonie i jeszcze komuś, kto stał tuż za jego plecami.

– Wiktor... Wiktor Witecki. – Mężczyzna wyciągnął rękę do Kosmy. Ten zamarł na ułamek sekundy, bo mniej spodziewanego gościa nie mógł sobie wyobrazić. Przez jego twarz przebiegł cień dawnych wydarzeń, w których Wiktor grał drugoplanową, ale wcale nie mniej ważną przez to rolę. Pierwszy mąż jego ukochanej Matyldy, ojciec Marcela i Marka, nigdy nie darzył go wielką sympatią. Jego obecność tutaj była tak zaskakująca, że Makarski nawet nie próbował ukryć konfuzji. Wpatrywał się w gościa, po czym zdecydowanym

ruchem podał dłoń nowo przybyłemu. Poczul mocny uścisk.

– To jest... – Witecki przeniósł wzrok na swoją towarzyszkę. Kosma dopiero teraz dostrzegł, że przy nim stoi kobieta.

– Tatiana Oleszkiewicz. Dobry wieczór... – przedstawiła się nieznajoma.

– Wracamy od Matyldy... To znaczy próbujemy wrócić od Matyldy. I obawiam się, że potrzebujemy państwa pomocy – dokończył Wiktor.

– Tania! Dziadek!! – Mała Klaudyna wystrzeliła nagle ze środka salonu i sekundę później wisiała już uczepiona mężczyzny jak przysłowiowy rzep.

– Wpadli do rowu po dach! – Grzegorz przyszedł Wiktorowi z odsieczą i z konkretami. – Żeby ich stamtąd wyciągnąć, potrzebny jest twój sprzęt, Kosma. I paru chłopca.

Młodszy Witeccy, nie mniej zaskoczeni widokiem ojca niż dziewczynka i sam gospodarz, również podeszli do nowo przybyłych.

– Tak to mniej więcej wygląda... – Mina Witeckiego dobitnie świadczyła o tym, że mężczyzna niezbyt dobrze czuje się w roli kierownika zamieszania.

– Dziadku! Mal... Malkon... ma tyle samo lat co ja – łamała sobie język pięciolatka. – I on mówi po an...po anielsku! I to jest mój nowy, fantastyczny przyjaciel, dziadku. Chodź, chodź, dziadku! – Mała ciągnęła mężczyznę za rękę w głąb salonu. – Tu jest taaaaka choinka! Widzisz?!

– Nie chcielibyśmy robić państwu kłopotu, zwłaszcza w taki dzień... – Witecki nie ruszał się z progu, chociaż wnuczka nie dawała za wygraną i twardo mocowała się z siłą jego mięśni. Towarzysząca Wiktorowi kobieta rozglądała się ciekawie dookoła, uśmiechając się uprzejmie do zgromadzonych.

– Otóż to. W takim dniu jak dziś nikt nie powinien chodzić o chłódzie i głódzie – zawyrokował spokojnie i bez wahania Kosma, ramieniem wskazując nowym gościom wewnątrz domu. – Będziemy główkować po kolacji. A teraz po prostu zapraszam do środka. Jesteśmy w komplecie! – Rozłożył ręce w geście zachęty do pogodzenia się z zastanym stanem rzeczy. – I nie będziemy marnować takiej okazji. Chodźcie, bo ciągnie z dworu chłodem.

Po trwającej dłuższy czas prezentacji nowo przybyłych oraz domowników Kosma podał młodszym mężczyznom wina i korkociąg, sam kręcąc się wokół licznych gości z pytaniami, czy czegoś im nie brakuje. Kompletnie nie zwrócił uwagi na konsternację wszystkich swoich córek, które konspiracyjnym szeptem

wymieniały się czymś między sobą, zerkając spłoszonym wzrokiem na wigilijny stół. Ten ostatni wypełnił się po kolei mnóstwem pachnących swoją zawartością talerzy i półmisek, jakimś cudem mieszczących się bez problemu na szerokim blacie. Wysokie, kryształowe kieliszki do wina zwielokrotniały odbijające się w nich płomienie kilkudziesięciu świec.

Napięcie, które pojawiło się, gdy Kosma ujrzał w progu swojego domu byłego męża Matyldy, zniknęło. Obecność obu synów mężczyzny, którzy taktownie zajęli się ojcem i jego partnerką, mocno ułatwiła mu sprawę, a szczęśliwa z bliskości ukochanego dziadka Klaudynka ostatecznie rozładowała atmosferę. Był już naprawdę najwyższy czas, żeby rozpocząć świętowanie. Z małego talerzyka na stole Kosma wziął do ręki stosik delikatnych listków opłatka, przewiązany białą wstążką. Nabral mocno powietrza w płuca.

– Ponieważ pierwsza gwiazdka... – zaczął – ...chowa się dziś za chmurami...
– Przerwał w połowie zdania, wsłuchując się w jakiś znajomy odgłos. Nie mylił się. Pukanie do drzwi powtórzyło się.

– Ki czort...

– Tato...! – Trzy damskie głosy odezwały się zgodnym, zdegustowanym chórem.

– Co to szort? – Mały Malcolm natychmiast zainteresował się znaczeniem usłyszanego słowa, domyślając się, że po polsku znaczy coś zupełnie innego niż angielskie: ‘krótki’.

Wszystkie oczy w jednej chwili zwróciły się w kierunku gospodarza, jakby to on właśnie najlepiej znał odpowiedź na postawione chwilę wcześniej pytanie. No tak, mistrz ceremonii! – pomyślał w tym momencie Kosma, odkładając z powrotem opłatki na talerzyk.

– Nie szort, ale czort – tłumaczyła synkowi wolno Michalina.

– No mówię przecież, szort!

Widok za drzwiami wprowadził pana domu w prawdziwe osłupienie.

– Kaśka?! – To było wszystko, co zdołał z siebie wyksztusić.

– Zimno! Możemy? – Jego była żona już ścisnęła go serdecznie, nie przestając się szeroko uśmiechać.

– To wy też siedzicie w zaspie?! – Makarski jeszcze nie do końca rozumiał, co się właściwie działo w jego „Kosmo-domie”.

– Nie. Skąd! Ale siedzimy po uszy w jedzeniu! Więc gdyby tak ktoś mógł nam pomóc...

Cześć zdziwionego towarzystwa przyglądała się ciekawie scenie przy drzwiach. Pozostała natomiast, w osobach trzech najmłodszych kobiet, które z kolei w ogóle nie wyglądały na zaskoczone, szybko podeszła do pary stojącej przy wejściu.

– Różyczko, Halu! Wszystko jest w bagażniku. Michalinko, kochanie! – Katarzyna Makarska-Walicka przywitała się z córką i musnęła ustami policzki bliźniaczek. – Boże drogi, tak się cieszę...

– Cześć, Kosma. – Tomasz Walicki wyciągnął dłoń w kierunku Kosmy. Ten ostatni wymienił uścisk z mężczyzną, konstatując, że właśnie doświadcza *déjà vu*...

– Cóż za wycucie czasu, Kasiu! – W tym momencie Kosma uzmysłowił sobie, że w ogóle nie czuje się zakłopotany kolejną niespodzianką wieczoru. – I skąd się tu w ogóle wzięliście?

Kiedy jego spojrzenie spotkało się ze wzrokiem Michaliny i bliźniaczek, coś nagle zaczęło mu świtać.

– Czy mogłabym, mój drogi, udzielić ci wyczerpujących informacji po wieczery? Bo jak mniemam, właśnie do niej zasiadacie?

I właśnie zrozumiał, dlaczego coś nie zgadzało mu się w obliczeniach, kiedy przyglądał się wigilijnemu stołowi...

W dodatkowych kieliszkach błysnęło czerwienią świeżo rozlane wino. Po kolejnej prezentacji, której dokonał osobiście, zagadkowy uśmiech jego trzech córek przestał już być dla niego tajemnicą.

– Moi drodzy, częstujcie się – zaczął, coraz mniej skonfundowany. – Czym chata bogata!

– Oj, bogata! – Jego była żona wyszczerzyła swoje śnieżnobiałe zęby w uśmiechu i podniosła do góry pełny kieliszek.

Kosma okrążył stół, podając każdemu z biesiadników fragment opłatka.

– A panienki śpią dzisiaj na strychu... – Rzucił szeptem do swoich trzech córek, udając złość. Znały go aż za dobrze i wiedziały, że niespodzianka udała im się perfekcyjnie. Wyraźnie dostrzegały to w jego oczach.

– Czy my jeszcze na kogoś czekamy? – Profesor Stawski spojrzał wymownie

na Kosmę, który w zagadkowym milczeniu kątem oka obserwował dwa puste miejsca przy stole. Michalina otwierała właśnie usta, żeby udzielić starszemu panu satysfakcjonującej odpowiedzi, ale ubiegła ją stojąca najbliżej gospodarza malarka.

– Na zbłąkanego wędrowca, rzecz jasna!

– Zatem gdzież on? – Profesor Stawski był niezawodny.

Kosma, rozluźniony już kilkoma łykami wina, zaczynał bawić się wyśmieniem; w myślach obliczając tylko gorączkowo liczbę potrzebnych miejsc noclegowych i czystych ręczników.

– Może w zaspie! – wypaliła nagle Klaudynka.

– Święta racja! I tak być może. I mamy tak tu czekać z założonymi rękami, gdy tam człowiek marznie? – Rzucił Stawski żywo przejęty, grając swoją scenę do końca.

– Albo dwóch! – Skrzypek uśmiechał się pod nosem.

Nie do śmiechu było tylko Halszce, Różance i Michalinie.

– O rany... – Dziewczęta najpierw w tym samym momencie wydały cichy okrzyk przerażenia, a potem spojrzały po sobie, trochę jak złapane na gorącym uczynku.

Ciszę przy stole przerwał nagle mały Malcolm, który zaczął mocno ciągnąć Kosmę za połę marynarki.

– Dziadku... – Malec wpatrywał się ogromnymi oczami w jeden punkt za plecami gości.

– Co tam, kochanie? – Pan domu kucnął przy chłopcu.

– Tam jest Mikołaj... – Malcolm wciąż mówił ledwo słyszalnym szeptem, ale jego palec wskazujący był wystarczająco czytelny. Pięciolatek celował nim prosto w czarną czeluść za oknem. Mała Klaudynka przezornie ukryła się za plecami ojca. Do szyby przyklejona była roześmiana od ucha do ucha twarz Huberta Jakubowicza. Gdy w otwartych drzwiach domu chwilę później rozległo się jego tubalne „hoł, hoł, hoł!”, w pierwszej kolejności trzeba było uspokajać dzieci.

Niezawodny Hub z pomocą uroczego żeńskiego pomocnika, w którą to rolę z konieczności wcielić się musiała jego żona Agata, sprawnie porozdzielał prezenty. Makarski przytomnie zdołał jeszcze podsunąć mu jakieś drobiazgi dla

Wiktora i Tatiany, których wizyty organizujące rodzinny zjazd Halszka i Różanka nie przewidziały. Bez żalu rozstał się z zakupionym kilka dni wcześniej bogato ilustrowanym przewodnikiem po Paryżu, który przypadł Tatianie. Dla Wiktora przygotował butelkę nalewki z czarnej porzeczki i zawsze przydatne na Mazurach ciepłe skarpety. Nic bardziej wyszukanego na szybko nie był w stanie wymyślić, ale sądząc po minach obdarowanych, prezenty odebrali z pełną akceptacją. Zresztą każdy z gości głośno komentował swój podarunek, a prym w tej licytacji wiedli oczywiście najmłodszy. Nic w tym dziwnego, jak zawsze to dzieci były w wigilijny czas najhojniej obdarowywane. Zaraz też zniknęły w kącie, tracąc momentalnie zainteresowanie dwunastoma potrawami, ale jednocześnie solennie obiecując powrót na wspólne kolędowanie.

– Pojedziemy tam? Wiktor? – zapytała szeptem Oleszkiewicz, wskazując na odpakowany album z zabytkami stolicy Francji. Mocno podświetlona wieża Eiffla kusiła z okładki, obiecując turystom przepiękną panoramę Paryża.

– Tak, pojedziemy – odpowiedział cicho Witecki, uśmiechając się tajemniczo.
– W sumie to się nawet dobrze składa, bo...

Przerwał, bo od drzwi doleciał odgłos nieśmiałego pukania. Wiktor spojrzał na gospodarza pytająco, zastanawiając się, kogo jeszcze oczekuje dzisiaj ta wesoła gromada. Kosma również usłyszał stukanie i wstając od stołu, doszedł do wniosku, że to najbardziej niecodzienna, zaskakująca wigilia w jego życiu. Kontrolnie spojrzał na córki, ale Halszka z Różanką tylko wzruszyły ramionami. Nie zapraszały nikogo więcej, więc z czystym sumieniem mogły odpowiedzieć, że to już nie ich sprawa. Rozmowy przy stole ucichły tylko na sekundę, by po chwili powrócić ze zdwojoną siłą. Każdy chciał bowiem opowiedzieć o ulubionych wigilijnych smakach z dzieciństwa, o nocnych wyprawach na pasterkę, a przede wszystkim wspomnieć tych, których przy stole zabrakło. Kosma tymczasem otwierał już drzwi, za którymi stało dwóch mężczyzn. Zmarzniętych, zupełnie nieodpowiednio ubranych do warunków na dworze, ale dziarsko ściskających świątecznie opakowane pudełka. Jeden z nich dodatkowo wyposażony był w duży plecak, jego towarzysz zadowolić się musiał niewielką, gustowną walizką.

– *Finalmente!* – odezwał się właściciel walizki.

– *Finally!* – dopowiedział wyższy, ten z plecakiem.

– Nareszcie! – bezwiednie powtórzył za nimi Kosma Makarski, bo tylko na tyle pozwoliło mu zdumienie. Przyglądał się to jednemu, to drugiemu, przez chwilę czując się, jakby był w ukrytej kamerze. Rozejrzał się dookoła, spodziewając się, że to wcale nie koniec niespodzianek – tylko kto jeszcze mógłby się pojawić tej nocy w „Kosmo-domie”? Przybysze nerwowo przestępowali z nogi na nogę, czekając na bardziej zdecydowaną reakcję Makarskiego. Ten jednak myślał intensywnie nad czymś, ignorując ich przez kolejne sekundy.

– *Va tutto bene?* – odważył się zapytać Luigi Graziano.

– To się zaraz okaże, *il mio amico italiano* – odpowiedział Kosma, po czym ruchem ręki zaprosił ich do środka. O ile obecność Luigiego nie niosła ze sobą zagrożenia przykrą reakcją domowników, to w przypadku drugiego z panów nie był już taki przekonany. Michalina mogła zgłosić swój bardzo konkretny sprzeciw, z którym musiał się liczyć zarówno on, jak i zmarznięty przybysz z plecakiem. Ian Thorpe, ojciec jego wnuka, Malcolma, nie mógł spodziewać się specjalnie ciepłego powitania.

Ale przecież nie zatrzasnąłbym mu drzwi przed nosem, uznał Kosma. Nigdy, a już na pewno nie dziś! Jakoś przez to przejdziemy, najwyżej odwiozę go do miasta, pomyślał.

Jak na zawołanie rozmowy przy stole zamarły i teraz wszyscy zgodnie wpatrywali się w stojącą przy wejściu trójkę mężczyzn. Kosma pozostał lekko z tyłu, dając sobie i obecnym czas na ochłonięcie.

– Luigi? – zawołała zdumiona Różanka. – Jakim cudem...

– *Buongiorno, principessa.* Chciałem zrobić ci niespodziankę.

– Ian? Co ty tu robisz? – Michalina podniosła się zza stołu i zamarła z rękoma na blacie. – Jak nas tu znalazłeś?

– *Forgive me, please.* – Anglik zsunął plecak na podłogę i zrobił krok naprzód. Przystanął i nie bez trudu odezwał się po polsku: – Proszę cię tylko o rozmowę i kilka momentów z małym. Proszę, nie odtrącaj mnie.

– To ty mnie odtrąciłeś, przecież wiesz – odpowiedziała łamiącym się głosem. Nagłe pojawienie się byłego partnera wytrąciło ją z równowagi. Nie tak wyobrażała sobie Wigilię w gronie najbliższych.

– *Dad!* – krzyknął tymczasem Malcolm, pojawiając się przy stole ze świeżo

odpakowanym prezentem w dłoni. Podarek natychmiast wylądował na podłodze, a jego właściciel podbiegł do ojca. – *You're back?*

– *I don't know, buddy...* – Ian wziął chłopaka na ręce i mocno przytulił. – Ale ja bardzo chcę tego, synu. Ja bardzo chcę wrócić.

Wszyscy przyglądali się tej scenie, siedząc cicho niczym publiczność w teatrze, zauroczona rozgrywającym się spektaklem. Każdy z obecnych chciałby z pewnością szczęśliwego finału, ale Michalina jeszcze nie dopisała scenariusza do końca. Chwilowo zarządziła antrakt, dając znak ręką, żeby Ian zajął się chłopcem. Potrzebowała czasu na podjęcie decyzji.

– Luigi, jakim cudem tu dotarłeś? Opowiadaj! – Makarski podjął przerwane wcześniej pytanie swej córki, przysuwając krzesło Włochowi.

– Wylądowałem dziś koło południa w Warszawie, wynająłem auto i oto jestem – odpowiedział Luigi, puszczając oko w stronę Różanki. – Aneta opowiadała, że w Polsce jest taki zwyczaj, że trzyma się miejsce dla niespodziewanego gościa.

– Musimy zrewidować ten zwyczaj! – parsknęła śmiechem Iza. – A w zasadzie go zmodyfikować. Od dziś, przynajmniej w „Kosmo-domie”, tych miejsc będzie dużo więcej!

– Róbcie nam takie niespodzianki częściej – dopowiedział Kosma i poklepał Włocha po ramieniu. Atmosfera zaczęła się powoli rozładowywać, zarówno domownicy, jak i goście oswoili się z wydarzeniami wieczoru. Michalina najwyraźniej postanowiła życzliwiej spojrzeć na wizytę Iana, bo z kieliszkiem wina w ręku usiadła przy nim. Przez chwilę wpatrywała się w mężczyznę, w końcu pokręciła głową zde gustowana.

– Wiesz, że nie lubię takich szopek.

– Wiem, ale co miałem zrobić? – odpowiedział Szkot. Przysunął się do niej odrobinę, na tyle blisko, by poczuć jej zapach i jednocześnie nie zdenerwować byłej partnerki. – Wyjechałaś i już. Jakby mnie nie było.

– Bo ciebie nie ma, Ian.

– Docień to, że już lepiej mówię po polsku. – Uśmiechnął się szelmowsko uśmiechem, który zawsze jej się podobał. Niewiele miał walorów, ale ten jeden zasługiwał na docenienie. No i jeszcze to, że uczył się trudnego języka.

– Doceniam...

– To dobry początek. Jeśli dasz mi szansę, to teraz będę! I nauczę się też kochać po polsku! – powiedział z mocą i wrócił do przerwanej zabawy z synem.

Nie widział Malcolma od wielu miesięcy, nie wiedział też, na jak długo pozwolą mu tu zostać. Chciał się zmienić i być w ich życiu kimś ważnym. Przyjazd do tego zimnego zakątka obcego kraju był tego wyraźną deklaracją. Chciał zrobić wszystko, by mu w to uwierzyła.

Michalina zostawiła ich samych i wróciła do stołu, przy którym wciąż trwało przesłuchanie Luigiego. Graziano ze śmiechem odpowiadał na wszystkie pytania, wyjaśniając przy okazji, w jaki sposób trafił na Iana.

– Jechałem tu dość szybko, bałem się że nie zdążę na czas – mówiąc to, konsekwentnie przysuwał się do Różanki. – Ale po zjechaniu z autostrady musiałem bardzo zwolnić, bo warunki na drodze były fatalne.

– Wiem coś o tym! Właśnie takim warunkom zawdzięczamy naszą obecność przy tym stole – wtrącił się Wiktor i natychmiast puszczając oko do gospodarzy, dodał: – Ale wcale nie żałujemy i, co tu kryć, my akurat jesteśmy wdzięczni losowi.

– I całe szczęście, że zwolniłem. – Podjął przerwany wątek Luigi, wskazując na Iana. – Bo ten tam wyskoczył mi przed maskę i musiałem ostro hamować.

– Nie miałem wyboru! – odkrzyknął z drugiego końca salonu Thorpe. – Przemokły mi buty i zmarzłem, a w mieście nie znalazłem żadnej taksówki. Musiałem iść pieszo, więc sam rozumiesz...

– Zabrałem go i ruszyliśmy razem, a kiedy okazało się, że jedziemy w to samo miejsce, nawet się ucieszyłem. Wygląda tak sobie, ale to porządny gość.

– Słyszę tu wszystko! – Ian ze śmiechem podniósł się z podłogi i podszedł do stołu. Z ulgą przyjął fakt, że Michalina zrobiła mu miejsce obok siebie.

– Słuchajcie, ponieważ to czas prezentów, to i ja mam dla was coś wyjątkowego – niespodziewanie zmienił temat Luigi. Podszedł do walizki i chwilę majstrował przy bocznej kieszeni, coś z niej wyciągając. Z podniosłą miną zbliżył się do Makarskiego.

– Pamiętasz, jak ostatnio w Mantui mówiliśmy o losie, który nas połączył? I o tym, że nie powinniśmy z nim walczyć?

– Pamiętam doskonale, Luigi. Nie zmieniłem zdania; los postępował z tą rodziną podle, ale takie już jest to nasze życie. – Kosma powiódł wzrokiem po

obecnych. Przez moment poczuł się starszy niż w rzeczywistości, jakby nagle z całą świadomością dostrzegł ciężar, który niósł od lat. – Jest taka piosenka, która mówi, że los daje i odbiera. Wyjątkowo do mnie przemawia.

– Chcę być częścią tej rodziny, dlatego tu i teraz, biorąc obecnych na świadków, proszę cię o rękę twojej córki. – Mówiąc to, Luigi zwrócił się do Kosmy, kolejny raz tego wieczoru wprowadzając go w zdumienie. Choć szczerze mówiąc, słowa te wprowadziły w osłupienie wszystkich obecnych. Tylko dlatego nikt nie zauważył gwałtownej reakcji Wiktora, który ściskając dłoń Tatiany, szepnął jej do ucha, że do Paryża pojedą chyba szybciej, niż się spodziewa.

– Ale której, bo jak widzisz, mam ich całkiem sporo. – Kosma, nie kryjąc zaskoczenia, uciekł w żart, dając sobie moment na zebranie myśli. – Mów konkretniej, proszę!

– *Perdonami!* – Uśmiech rozlał się po twarzy Włocha. – Wszystkie twoje córki są piękne, ale ja kocham Różankę!

– A ona? – Pytanie Kosmy było w zasadzie zbędne. Oczy wskazanej bliźniaczki mówiły wszystko. – No tak, jasna sprawa. A co tam chowasz, chcesz mnie czymś przekupić?

– U nas mówią, że mała pomoc w negocjacjach nigdy nie zaszkodzi! – Przyszły zięć puścił do niego oko i otworzył tekturową teczkę, z której wyjął pożątkły już mocno papier. – Nie pytaj jak i skąd, po prostu ciesz się tą chwilą. Trafiłem na ten list jakiś czas temu w antykwariacie w Mantui.

– Jaki list? – zapytali jednocześnie obie bliźniaczki i ojciec.

– Dlatego właśnie mówię o wspólnym losie. To nie może być przypadek. – Luigi podał Kosmie papier drżącą ręką. – I to nie mogą być zwyczajne święta!

Kosma opadł na krzesło i oddychał szybko, patrząc na znajome litery, kreślone tak kochaną przez niego ręką. A więc jest, odnalazł się po tylu latach. Ich Święty Graal.

– Spójrz... – zwrócił się do Wiktora. – Ona pisała to przecież do ciebie. Od tego wszystko się zaczęło.

Pamiętasz „Balladę g-moll” Chopina?

Poszłam wczoraj na ten skwer, wiesz, przy Żurawiej. Dawno tam ze mną nie byłęś. Teraz chyba wygląda najładniej. Świeża elewacja, zniknęły przerdzewiałe rynny... Aż dziwne, że na tak małej powierzchni dało się zmieścić tyle zieleni. Zakwitły czereśnia i jedna jabłoń. Druga uschła tej zimy.

Wieczór kołysał się nastrojowo i przyjemnie. Dzieci, zmęczone emocjami i zabawą, mocno już senne, kleiły się do rodziców, tuląc do piersi wymarzone drobiazgi. Błogo rozleniwione sutą kolacją i winem towarzystwo przeniosło się na fotele i sofę, skupione wokół trzaskającego głośno ognia w kominku. Tematy przyciszonych rozmów wirowały jeden obok drugiego jak płatki śniegu gnane przemarznętym wiatrem; mijały się, mieszały ze sobą, prowokując wspomnienia i nowe potoki opowieści, zbudzone nagle czymś słowem, skojarzeniem albo pytaniem... Kosma przez chwilę znalazł się nawet w świątecznie rozedrganym Lwowie, rodzinnym mieście swojego dziadka Zygmunta, który uroczyste celebrowanie rodzinnych tradycji uważał za święty obowiązek. I może teraz nie pamiętał już smaku wszystkich wigilijnych potraw na tamtym stole, ale wspominał spokój i poczucie bezpiecznej jedności, które towarzyszyło mu podczas tych rodzinnych spotkań; wewnętrzny *constans* i jakiś rodzaj wspólnoty z tymi, którzy byli dla niego jak ochronna tarcza i ciepły płaszcz w jednym. Pragnął, żeby w taki sam sposób i on sam był obecny w świadomości swoich najbliższych; by progi jego domu już zawsze były dla nich cichym portem, strzeżonym przytuliskiem, nie tylko wtedy, gdy życie zechce dać im w kość. Dziś jednak przeżywał jedno ze swoich najpiękniejszych świąt. Miał blisko siebie wszystkich, na których mu najbardziej zależało. Czuł ten wieczór jak przeprosinowy prezent od losu za chwile, w których ból obezwładniał każdą komórkę jego ciała. Łowił nieznanym zmysłem ulotne wrażenie, że jeśli to, czego doświadczył, musiało się wydarzyć, to właśnie teraz dostaje momenty-wskazówki, momenty-odpowiedzi na pytania, które od dawna cierpliwie czekały na swoją kolej...

Rozmawiając z biesiadnikami i spełniając wszystkie ich życzenia, przyglądał się dyskretnie i gościom, i domownikom. Z zadowoleniem rejestrował, że są zrelaksowani, swobodni i naturalnie uśmiechnięci; że wspólna kolacja, która dla

kilkorga z nich była dużym zaskoczeniem, harmonijnie zmieniała się w prawdziwe, niezakłamanie święto rodziny tak niecodziennej, jak niespodzianka podarowana mu przez jego młodsze córki. Ale chyba nikt bardziej niż on nie czuł dziś, że ta wisienka na torcie ostatnich lat może się tak szybko nie powtórzyć i że warto zapamiętać smak tej ambrozji na dłużej. Teraz wyraźniej niż jeszcze kilka dni temu dostrzegął cienką, pomarszczoną skórę dłoni Violi, przygarbioną sylwetkę profesora Stawskiego i całkiem siwe już skronie przyjaciela, który kiedyś uparcie czekał pod drzwiami, gdy Kosma w szale rozpaczy i destrukcyjnego gniewu zatrząskiwał mu je przed nosem. Patrzył na rozluźnioną twarz swojej byłej żony, uśmiechnięte oczy Michaliny i pełne życia gesty swoich najmłodszych córek; w tych ostatnich odnajdywał jasno zarysowaną ciekawość świata, stojącą dla nich otworem nową rzeczywistość i gotowość swoich latorośli do przemierzania ich obydwu z odwagą, zaufaniem i pewnością siebie.

Tak naprawdę tego wieczoru nie brakowało mu niczego oprócz świadomości, że marzenie, które nosił przy sobie jak kwiat w butonierce, doczeka się i swojego czasu. Życzyłby sobie, by jego najstarsza córka i jedyny wnuk czuli się tak kompletni, jak on w tę cichą, spokojną noc. Szczęście i miłość pod choinkę... Ojcowska, nawet ta bez granic, jest zaledwie kroplą w wodnym pyle nurtu, któremu dajemy się ponieść, gdziekolwiek zechce nas zabrać. To była jedyna rzecz, której nie mógł jej dać; choć gdyby można było ją wyszarpać z dna ziemi, nie bałby się zedrzeć swoich dłoni do krwi.

Poruszone ciepłem powietrza i oddechów choinkowe ozdoby przykuwały wzrok i uspokajały ciepłym światłem odbijającym się w ich lakierowanych i szklanych powierzchniach. Zapach cytrusów, spotęgowany temperaturą i małymi rączkami, które co jakiś czas musiały sprawdzić ich autentyczność, intrygująco przeplatał się z żywicznym aromatem świerkowych gałązek i win. W kieszeni marynarki, tuż pod sercem, schował list przywieziony przez Luigiego. Rękę oparł na ramieniu Izy. Uśmiechnął się do siebie. Był... szczęśliwy.

OD AUTORÓW

Ta książka nie powstałaby, gdyby nie Wasze głosy, domagające się jeszcze kilku rozdziałów o barwnej rodzinie Matyldy i Kosmy. Nie bez znaczenia był też upór naszej czwartostronnej opiekunki, Adriany Biernackiej, która – nie bez trudu, ale jednak – przekonała nas, że zamiar pożegnania już po trzech tomach Łodzi, Mantui oraz Mazur jest mało... rozsądny.

Adriano, dziękujemy – miałaś rację!

Wierzymy, że Czytelnicy przyjmą *Podaruj mi szczęście* jako miłą niespodziankę na Boże Narodzenie i uznają ją za godne zwieńczenie pięknej historii prawdziwej miłości.

Czas zrobił swoje; Helmut zapewne ugania się z Gabrysiem po niebiańskich łąkach, piękni czterdziestoletni przerodzili się w tylko odrobinę mniej pięknych sześćdziesięciolatków, a dzieci to już nie dzieci, mają swoje całkiem dorosłe plany na jutro. Pisaliśmy ich historię trochę dla siebie, trochę dla Was, mając nadzieję, że znajdziecie w niej przestrzeń na refleksję, uśmiech i możliwość spojrzenia również w głąb własnych serc. Z częścią z Was mieliśmy okazję o tym porozmawiać podczas spotkań autorskich – dużo przy tym ucząc się o nas samych. To klasyczny przykład sytuacji, w której zyskują obie strony. Czytelnik – porcję wzruszeń. Autor – świadomość, że wybrał dobrą drogę.

Tym razem już na pewno zegnamy Kosmę Makarskiego i resztę gromady, ale Wam mówimy jedynie – do zobaczenia. W całkiem nieodległej przyszłości przedstawimy Wam kolejny duet bohaterów; ich relacja właśnie krystalizuje się w naszych głowach.

Jakieś szczegóły? Hmm, może tak – jeśli lubicie bursztyny, będziecie

zadowoleni!

Serdecznie dziękujemy Wydawnictwu Poznańskiemu – Czwartej Stronie za umożliwienie bezbolesnego debiutu w świecie literatury właśnie tą historią. Lepiej sobie tego nie mogliśmy wymarzyć. Dziękujemy też za postawienie na naszej drodze Karoliny Borowiec, której celne uwagi porządkowały pisane przez nas teksty, dając im odpowiedni wymiar i sprawiając, że polubiliśmy je jeszcze bardziej.

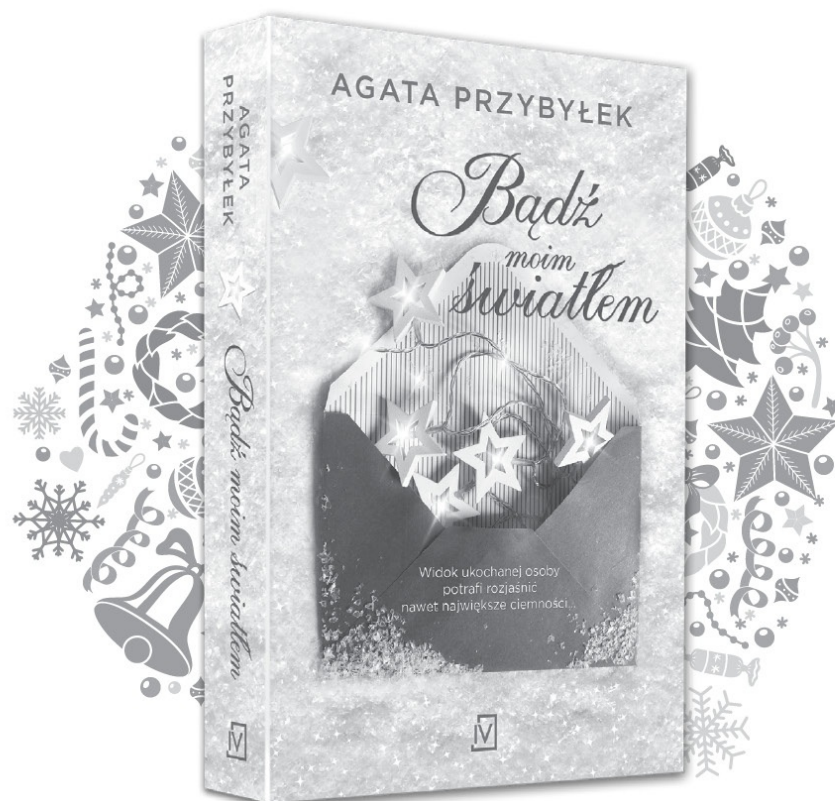
Michalinę po londyńskich ulicach prowadziliśmy dzięki wskazówkom Karoliny Tuszyńskiej. Nasz człowiek na Wyspach spisał się znakomicie, gdy nam zabrakło czasu na badania terenowe. Londyneczka udowodniła, że jest dobra nie tylko w tworzeniu bloga literackiego.

Skrzydlaty świat przybliżał nam Szymon Czernek, za co należą mu się nie tylko słowa podziękowania, ale też wyrazy uznania. Szymonie, Twoja wiedza i ornitologiczne rozeznanie robią wrażenie.

Wszystkiego najlepszego, nie tylko na Święta!

Autorzy

liszewska-kornacki.pl

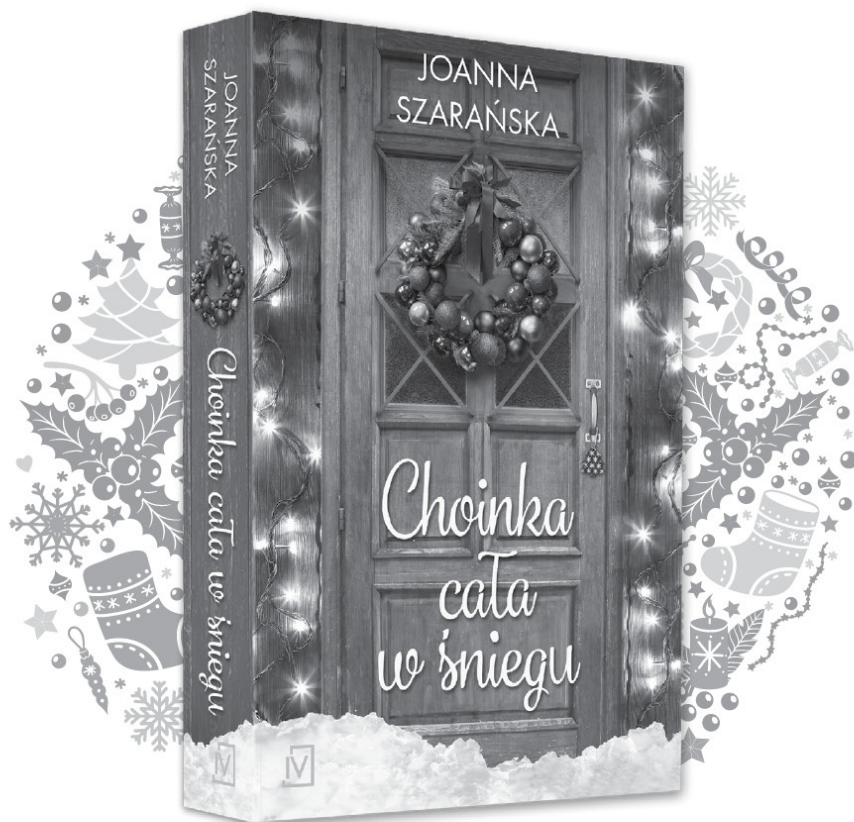


***Czy jeden spacer może zmienić całe życie?
Ta historia poruszy wasze serca...***

Gdy Magda wraca do mieszkania w pewien listopadowy wieczór, miasto niespodziewanie pogrąża się w mroku. Dziewczyna ma wyjątkowego pecha — nie dość, że w całej dzielnicy nie ma prądu, to jeszcze rozładował jej się telefon. Na szczęście przechodzący akurat z latarką mężczyzna oferuje jej pomoc. Rozmowa i wspólny spacer sprawiają, że między dwojgiem nieznajomych rodzi się nić porozumienia.

W domu na Magdę czeka mąż, z którym od lat kobieta dzieli los — przysięgali przecież, że to na dobre i na złe. Wydaje się jednak, że łączące ich uczucie dawno wygasło. Czy aby na pewno? Ponowne spotkanie z poznanym tamtego pechowego wieczoru mężczyzną sprawia, że Magda ma coraz więcej dylematów. Co wybierze, lojalność czy własne szczęście?

„Bądź moim światłem” to niezwykle dojrzała i przejmująca opowieść o wyborach z gatunku tych najtrudniejszych.



***Chwytająca za serce opowieść o ludziach,
których w święta połączy wyjątkowa więź.***

W bloku przy ulicy Weissa prym wiedzie pani Michalska — dozorczyńni zawsze gotowa służyć pomocą. Mieszkańcy przychodzą do niej po rady i wsparcie, a kiedy nadchodzi ten niezwykle czas, to jej najbardziej zależy na tym, by sąsiedzi byli sobie bliscy jak rodzina.

Zanim jednak wszyscy zaczną świętować, muszą wyjaśnić sobie kilka spraw. Pomoc potrzebującym nie tylko ich zjednoczy, ale i sprawi, że odkryją w końcu, co jest naprawdę ważne. W codziennym zabieganiu warto na chwilę przystanąć i zachwycić się magią świątecznego drzewka.

***Blask lampek choinkowych,
iskrzący się biały puch za oknem,
spotkania i rozmowy z najbliższymi...
Niech te święta będą niezapomniane!***



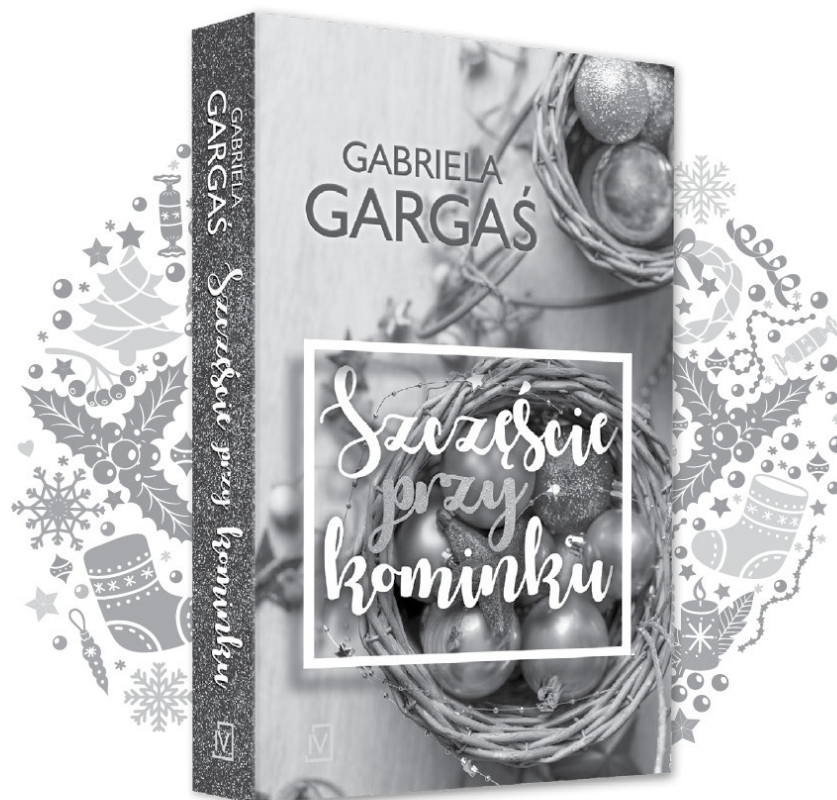
***Autorka niezapomnianych zimowych bestsellerów
zaprasza Was w kolejną magiczną podróż
do krainy najpiękniejszych opowieści o miłości.***

Jagna od zawsze kochała góry — tę miłość ma we krwi, bo z Zakopanego pochodzą jej mama i babcia. Choć rodzina wypytuje o potencjalnego narzeczonego, Jagna jest samotna. Ma tylko pracę i codzienne obowiązki w oddalonym od przepięknego południa Polski dużym mieście.

Gdy wreszcie poznaje wymarzonego mężczyznę, zaprasza go na święta do rodzinnego domu, by poznał jej bliskich. Jednak mama Jagny, rodowita góralka z charakterem, niechętnie patrzy na jej nowego wybranka.

Czy kobieca intuicja dobrze jej podpowiada?
Jagna jest przecież tak szczęśliwie zakochana...

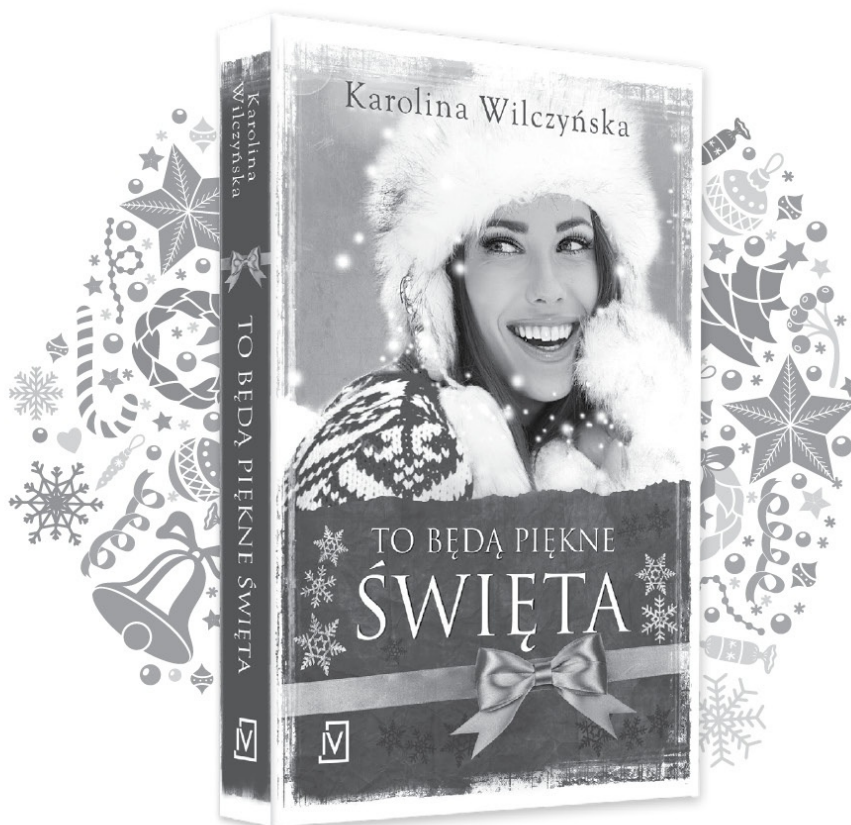
Kto w tej pięknej bajce okaże się złym wilkiem,
a kto uratuje niewinne serce? Przekonajcie się same!



***Poznaj pełną świątecznego ciepła opowieść,
która w te Święta może przydarzyć się również tobie.***

Wśród urokliwych, pokrytych śnieżnym puchem ulic kryje się wyjątkowe miejsce, gdzie rodzą się piękne opowieści — „Antykwarjat z książką i kawą”. To tu, wśród opasłych tomów, przy kubku gorącej herbaty z sokiem malinowym czeka na ciebie Bunia, gotowa, by wesprzeć radą i dobrym słowem. Kiedy z nieba spadają wielkie płatki śniegu, a na choinkach migoczą światełka, w przerwie między świątecznymi przygotowaniami antykwarjat odwiedzą okoliczni mieszkańcy. Przyjdą nie tylko na zakupy, ale również ze swoimi troskami i problemami. Czy ta wizyta odmieni ich życie?

***Cuda naprawdę się zdarzają.
Wystarczy tylko uwierzyć w magię Świąt!***

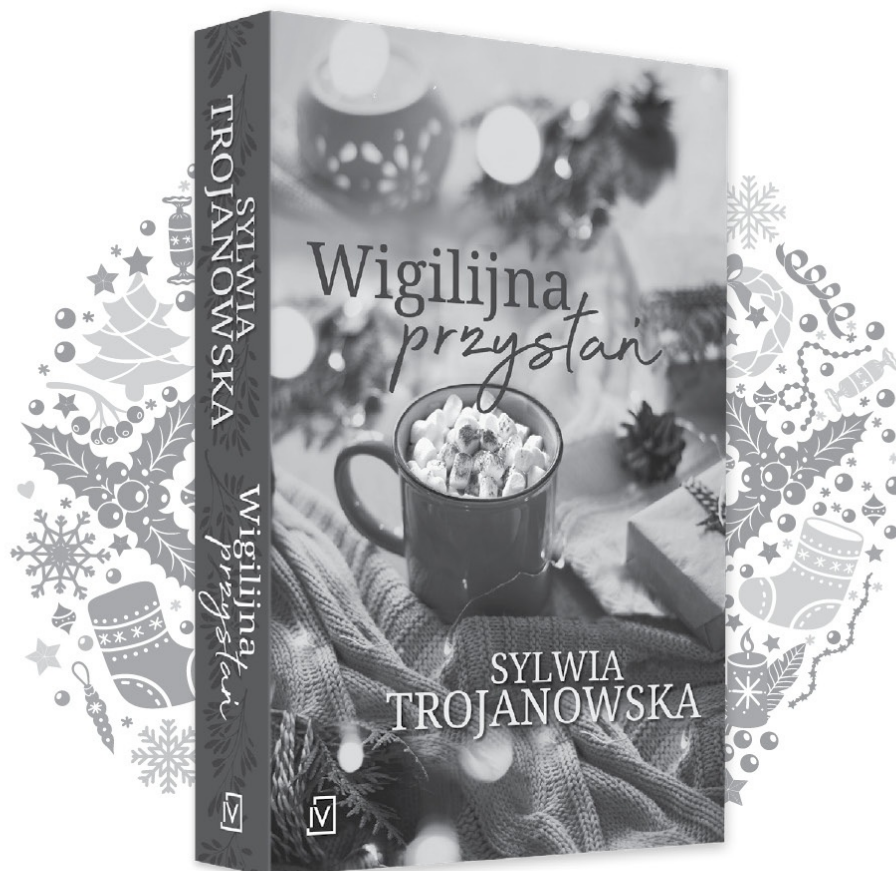


***Zanurz się w lekturze i odkryj swoje miejsce na ziemi.
Być może będzie nim właśnie Jagodno!***

Jagodno to urokliwa miejscowość położona w Górach Świętokrzyskich, gdzie smaki życia odmieniają się przez wszystkie przypadki. Z jego mieszkankami doświadczamy na równi radości i smutku, miłości i nienawiści, namiętności i samotności. W nadchodzące święta splecą się losy wielu kobiet, bo wszystkim nam towarzyszą podobne uczucia i pragnienie szczęścia. Każdej z bohaterek poświęcony jest osobny rozdział. Poznamy je bliżej i będziemy mogły poczuć się jak jedna z nich!

Ta książka to nie tylko poruszający literacki prezent dla ciebie lub bliskiej osoby, zawiera także kolorowe zdjęcia i praktyczne porady! Razem z bohaterkami oraz czytelniczkami Stacji Jagodno przygotuj niepowtarzalne dekoracje według zawartych w każdym rozdziale instrukcji. Poznaj sekrety, dzięki którym stworzysz idealną broszkę na prezent, świąteczne ozdoby na stół czy piękne szydełkowe gwiazdki.

Spędź ten wyjątkowy czas z nami!



***Odwiędź wyjątkową przystań nad Bałtykiem
i przeżyj niezapomniane Święta!***

Kiedy świat wypełnia magiczna atmosfera, a w powietrzu unosi się zapach świerku i pierników, mieszkańcy nadmorskiego Niechorza rozpoczną świąteczne przygotowania.

Przeszkodzą im tajemnice z przeszłości, które wyjdą na jaw w najmniej odpowiednim momencie, oraz kilka niespodziewanych zdarzeń.

Czy mimo to wspólne spotkanie przy stole pogodzi ich i sprawi, że miłość zatriumfuje?

***Święta to czas bycia razem, czas przebaczenia i radości.
Spraw, aby trwał jak najdłużej!***



Święta rozgrzeją nawet najbardziej skute lodem serca!

Gdy w pewien zimny, grudniowy dzień Arkadiusz dostaje telefon od dawnego znajomego, nie kryje zdziwienia. Nie rozmawiali przecież od czterdziestu lat... Zgadza się jednak na spotkanie. Wśród zapachu goździków i pomarańczy, w warszawskiej restauracji Prowansja rozmawiają o winnicy w Alzacji, którą odziedziczył przyjaciel Arkadiusza.

Tymczasem trwają przygotowania do Wigilii. Jak co roku u Arkadiusza spotykają się najważniejsi dla niego ludzie — rodzina, była żona, dzieci i przyjaciele. Bo przecież te wyjątkowe dni zawsze chcemy dzielić z najbliższymi.

Nowa powieść Agnieszki Lis w wyczekiwanej, świątecznej odsłonie!

SPIS TREŚCI

[ROZDZIAŁ PIERWSZY: Różanka i Halszka](#)

[ROZDZIAŁ DRUGI: Michalina](#)

[ROZDZIAŁ TRZECI: Kaśka](#)

[ROZDZIAŁ CZWARTY: Iza](#)

[ROZDZIAŁ PIĄTY: Xenia](#)

[ROZDZIAŁ SZÓSTY: Wiktor](#)

[ROZDZIAŁ SIÓDMY: Viola](#)

[ROZDZIAŁ ÓSMY: Wigilia](#)

[OD AUTORÓW](#)

[Polecamy również](#)